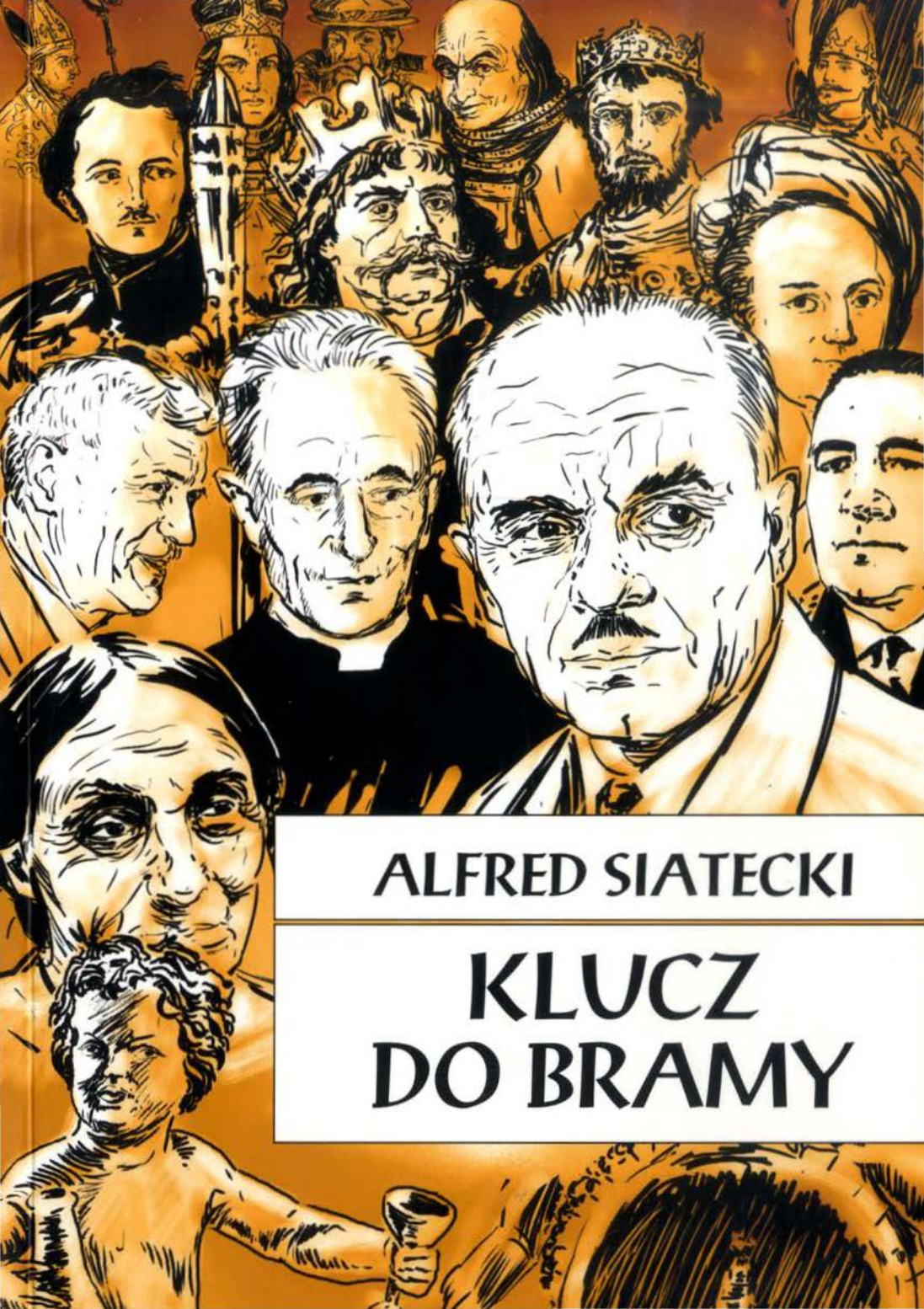

ALFRED SIATECKI

KLUCZ DO BRAMY

KLUCZ DO BRAMY

ROZMOWY NIEAUTORYZOWANE
ALBO NIEODBYTE
O PRZESZŁOŚCI ŚRODKOWEGO NADODRZA

MZK
ZIELONA GÓRA 2009

Muzeum Ziemi Lubuskiej
w Zielonej Górze

ALFRED SIATECKI

KLUCZ DO BRAMY

ROZMOWY NIEAUTORYZOWANE
ALBO NIEODBYTE
O PRZESZŁOŚCI ŚRODKOWEGO NADODRZA

Zielona Góra

Copyright © Alfred Siatecki
Copyright © Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze

Projekt okładki
Igor Myszkiewicz

Redakcja
Małgorzata Radecka

Skład
Emilia Ćwilińska

Wydano przy pomocy finansowej
Prezydenta Miasta Zielonej Góry – Janusza Kubickiego

ISBN 978-83-88426-48-3

UNIWERSYTET ZIELONOGÓRSKI BU ONHIS

Wydanie I
Zielona Góra 2009

ks2 199384

Wydawca
Muzeum Ziemi Lubuskiej
al. Niepodległości 15, 65-048 Zielona Góra
tel. 0 68 327 23 45, faks 0 68 324 65 61
www.zgora.pl/muzeum, e-mail: muzeum@man.zgora.pl

Druk i oprawa
Zakład Poligraficzny „Filip" Sz. Borowski
T. Przybyłowski, P. Nawracała
ul. Dolina Zielona 9 A
65-154 Zielona Góra

D 15-04

ZAMIAST WSTĘPU

Teraz szczęśliwym mienię siebie i swoich współczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie tych krajów ojczystych w jedną całość; lecz byłbym szczęśliwszy, gdyby doczekał za łaską Bożą odzyskania i zjednoczenia z Polską Śląska, ziemi lubuskiej i słupskiej: z radością zstępowałbym do grobu i słodszy miałbym w nim odpoczynek.

Jan Długosz, *Kroniki*

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej. Wraz ze swymi dopływami wiąże Odra łączny blok przestrzenny. We Wrocławiu pierwszych Piastów była ziemia górnej Odry – Śląsk. Była ziemia środkowej Odry – Łużyce i Ziemia Lubuska.

Józef Kisielewski, *Ziemia gromadzi prochy*

Wspólnota Wasza ma za swoich patronów męczenników, którzy – obok świętego Wojciecha – są najstarszymi świadkami Chrystusa na ziemi polskiej. Tradycja Kościoła zachowała pamięć tych eremitów: Benedykta, Jana, Mateusza, Izaaka i Krystyna, którzy żyli tutaj, w waszych stronach, za czasów Bolesława Chrobrego. Podobnie jak śmierć męczeńską świętego Wojciecha, tak również i ich męczeństwo opisał w swej kronice święty Bruno z Kwerfurtu – apostoł, biskup misjonarz, który w czasach Bolesława Chrobrego prowadził dzieło ewangelizacji na ziemiach Polski zachodniej i północnej. Nazywa się tych męczenników Braćmi Polskimi, chociaż byli wśród nich cudzoziemcy. Dwóch z nich przybyło do Polski

z Italii, ażeby tutaj zaszczepić życie mnisze według reguły św. Benedykta. Ich śmierć męczeńska, obok śmierci świętego Wojciecha, stoi niejako na progu milenium chrześcijaństwa na naszych ziemiach.

Jan Paweł II, *przemówienie w Gorzowie, 2 czerwca 1997 r.*

Gdy w roku 1945 Polska wróciła nad Odrę, gdy nieco później powstało województwo zielonogórskie, zastanawiano się, jaką nazwę dać tej ziemi. Odwołano się do polskiej tradycji historycznej i starą nazwę Ziemi Lubuskiej rozciągnięto na całe województwo, które, podobnie jak w przeszłości Ziemia Lubuska, wiąże Wielkopolskę z Odrą.

Władysław Korcz i Michał Sczaniecki,
Dzieje Ziemi Lubuskiej w wypisach

(...) przede wszystkim tę naszą odrębność kreującą region tworzy wspólnota doświadczenia, na którą składa się udział w wyjątkowym w dziejach ruchu migracyjnym, który tu wystąpił po roku 1944 oraz tradycja ciągłości administracyjnej 1946-1950 związanej z Gorzowem, a potem w latach 1950-1975 z Zieloną Górą. Powstanie dwu województw sprzyjało wykształceniu się dwu odrębnych mikroregionów, ale w ramach większej całości scalonej choćby (czy aż) redakcjami radia i gazety i szerszym promieniowaniem Zielonej Góry jako ośrodka naukowo-kulturalnego. Na dobrą sprawę zaciekła niechęć gorzowian do Zielonej Góry w przewrotny sposób wyraża emocjonalne powiązania. Wreszcie do argumentów pozwalających uznać fakt istnienia regionu lubuskiego należy też fakt występowania na tym obszarze ciągłości administracyjnej Kościoła katolickiego (mimo zmiany nazwy i siedziby) oraz fakt wykształcenia się regionalnego ośrodka kultu maryjnego w Rokitnie.

Zbigniew Czarnuch,
Studia Zielonogórskie 1997

Bolesław Chrobry – podobizna pędzla Jana Matejki – z pracy „Poczet królów i książąt polskich", Warszawa 1984

Bolesław Chrobry

Urodził się w 967, zmarł 17 czerwca 1025 r. Syn Mieszka I i Dąbrówki. Trzykrotnie żonaty: z pierwszą żoną nie miał dzieci, druga była matką Bezpryma, trzecia, Emnilda dała mu synów Mieszka i Ottona oraz córki Regelindę i nieznaną z imienia, którą poślubił książę ruski Świętopełk. Niektórzy historycy podają, że był żonaty i czwarty raz z Odą, ta miała urodzić Matyldę. Był pierwszym koronowanym władcą Polski.

BRAT CESARZA

Rozmowa z Bolesławem Chrobrym, pierwszym królem Polski

- Do historii Polski przeszło spotkanie Waszej Królewskiej Mości z cesarzem narodu niemieckiego Ottonem III w Gnieźnie 10 kwietnia 1000 roku. Pierwej, bo 24 marca było powitanie w grodzie Ilwa nad Bobrem, gdzie po latach wyrosło miasto Szprotawa.

- Każdy władca, czy to książę, czy kanclerz, czy nawet wojewoda, ma swoich zaufanych. Moi donieśli, że potomek cesarzowej Teofano i Ottona II będzie pielgrzymował do grobu świętego Wojciecha przez ziemię łużycką tak, aby jeszcze zimą, gdy grzęzawiska są skute lodem, przeprawić się przez Bóbr i Szprotawę. Tom z Gniezna wyjechał mu na powitanie, żeby już od granic państwa mego nie miał wątpliwości, kto tu włada.

- Na ostatni nocleg przed powitaniem w Ilwie zatrzymał się orszak gnieźnieński w Głogowie, stolicy Dziadoszan.

- Tak mi doradził biskup poznański Unger. Tam przekonasz się, Miłościwy Panie, ile luda za tobą ciągnie. Nie wierzyłem mu, dopiero Gall Anonim uświadomił mnie, że „z Poznania tysiąc trzystu pancernych rycerzy było i cztery tysiące żołnierzy z tarczami. Z Gniezna półtora tysiąca pancernych i pięć tysięcy tarczowników. Z Włocławka grodu ośmiuset pancernych i tarczowników. A byli też Ślężanie, Lubuszanie, Kaliszanie... procarze, siekiernicy..." An-

toni Gołubiew podaje w mojej fabularyzowanej biografii, że do Ilwy przybyło trzydzieści tysięcy zbrojnych.

- Dlaczego doradcy Waszej Wysokości wskazali akurat gród w Ilwie na przywitanie cesarza Ottona?
- Primo, od czasów ojca mego świętej pamięci Mieszka zachodnich rubieży strzegł ten potężny gród, leżący na drodze solnej z Saksonii i Łużyc do Wielkopolski. Secundo, moi zaufani donieśli, że starszyzna głogowska jest gotowa przydać ludzi, aby wybudowali specjalną kwaterę dla cesarza i jego świty.

- I wybudowali to, co obiecywali?
- Widziałem niedowierzanie w oczach Ottona, a jeszcze większe na twarzach grafa saskiego Ziazy, kardynała Roberta, możnych i panów w orszaku cesarskim. To nie była chata naprędce postawiona, to był pałac, jaki w Niemczech widziałem, kiedy ojciec oddał mnie jako zakładnika na dwór cesarski. Potem, kiedyśmy trunku znamienitego kilka kielichów wypili, biskup meseburski Thietmar był rzekł mi na ucho, że nie potrafi tego przepychu opisać. „Najjaśniejszy panie, chociażem już sławny dziejopis w sutannie, słów mi brakuje." Potem w swojej kronice napisał, że „jest wprost nie do uwierzenia i nie do opisania, jak książę przyjął cesarza".

- Gall Anonim podaje, że złoto na Waszym dworze, Panie, było w tak wielkim posiadaniu jak wiek później srebro.
- Ani krzty nie zełgał. Za moich czasów wszystkie damy dworskie zamiast sukien lnianych lubo wełnianych przywdziewały płaszcze z delikatnych tkanin. Skór, nawet kosztownych, choćby były nowe, nie noszono bez podszycia drogą tkaniną i bez złotogłowiu. Ogół rycerstwa nosił łańcuchy ze złota niezmiernej wagi, a wszyscy opływali w nadmiar pieniędzy. Nie zdziwiłem się zatem, kiedy rozentuzjazmowany Otto swoim młodzieńczym głosem wykrzyknął: „Na koronę mego cesarstwa, to co widzę, większe jest niż wieści niosły".

- W jakim języku rozmawiał Wasza Wysokość ze swoim gościem?
- Po niemiecku. Ta mowa od postrzyżyn obca mi nie była. Jakem już wspomniał, w roku 973 ojciec mój, świętej pamięci książę Miesz-

ko, jako zakładnika na dwór cesarski mnie oddał. Tam nie tylko niemieckiej mowy się nauczyłem, ale i niemieckich zwyczajów, poznałem też tych, których niemal w każdej sprawie cesarz się radził.

- Powiadają, że na dworze cesarskim nauczono przyszłego króla Polski, jak rozprawiać się z opozycją.
- Co macie na myśli?

- Chociażby to, że po śmierci księcia Mieszka I, gdy jego trzecia żona Oda chciała na tronie polskim osadzić swego syna, wypędziliście ją, Panie, do Niemiec.
- Wedle świętego prawa tron pierworodnemu, czyli mnie się należał. Tak ojciec mój, wielki książę Mieszko postanowił. W kraju Polan prawo musi być prawem. Kto go nie przestrzegał i ku własnej wygodzie interpretował albo wygodzie swojej drużyny, traktowany był jako mój wróg. Dlategom wypędził Odę i jej małoletnich synów Mieszka, Lamberta i Świętopełka, a przywódców możnowładczej opozycji Odylona i Przybywoja kazałem oślepić, żeby na tron piastowski nikt więcej ręki nie podniósł.

- Mówi Wasza Królewska Mość o przestrzeganiu świętego prawa, a sam zmieniał żony trzykrotnie.
- To prawda, że pierwszą żonę kazałem odprawić do Miśni, bo mi synów nie rodziła. Z drugiego małżeństwa z księżniczką węgierską doczekałem się Bezpryma, ale on nie miał daru do władania krajem. Dopiero Emnilda dała mi dwóch synów, Mieszka i Ottona.

- Przywoływany już tu kronikarz Thietmar twierdzi, że król Polan był srogi wobec poddanych.
- Prawdę napisał. Jeśli ktoś ośmielił się uwieść cudzą żonę lub rozpustę uprawiać, spotykała go następująca kara: prowadziło go się na most targowy i przymocowywało doń, wbijając gwóźdź poprzez mosznę z jądrami. Następnie umieszczało się obok ostry nóż i pozostawiało mu się trudny wybór: albo tam umrzeć, albo obciąć ową część ciała. Jeżeli ktoś jadł mięso po siedemdziesiątnicy, karano go surowo przez wyłamanie zębów. Tak egzekwowane prawo Boże większej nabierało mocy niż post ustanowiony przez biskupów.

- Wróćmy do Ilwy. Sądzę, że Miłościwy Pan powitał swego gościa wedle staropolskiego zwyczaju: chlebem i solą. Co było potem?
- Starym zwyczajem ojców toasty wznosiliśmy i biesiadowaliśmy. Gdyśmy napełnili żołądki, cesarz powiedział, że przy różnych stołach bywał, ale tak wyśmienitej wieprzowiny w zielonym sosie czy gołąbków w cieście z musztardą jeszcze nigdzie mu nie podano. „Tak zmyślnie ziołami namaszczonych i akuratnie upieczonych prosiaków, perliczek, karpi, sumów... moje podniebienie nie smakowało. Kapłony w ustach się rozpływały. Gdzie reńskim winom do waszego miodu, bracie mój, Bolesławie!" – Otto wesoło wykrzykiwał.

- Domyślam się, że gdy goście Waszej Królewskiej Mości nasycili żołądki, rozpoczęła się zabawa z muzyką i pląsami. Po słowiańsku, po staropolsku.
- A jakże. Bez tego żadne święto w mojej monarchii nie mogło się obyć, tym bardziej w obecności tak znamienitego gościa.

- Chodziło tylko o zabawę?
- Powiem wam, skrybo, że Otto przybył do kraju mego w interesach, co jeszcze przy stole biesiadnym jego sekretarz mi wyjawił. Ja też miałem cel w tym, żeby wylewnie i z największym przepychem go podjąć. Chciałem, żeby już tu, w Ilwie, przekonał się, z kim ma do czynienia.

- Gall Anonim pisze, że po biesiadzie w Gnieźnie Wasza Wysokość nakazał cześnikom i stolnikom zebrać ze stołów srebrne i złote naczynia...
- Pierwej kazałżem to uczynić w Ilwie. Zbierzcie kubki, puchary, misy, czarki, rogi, rozkazałem, i do izby zajmowanej przez cesarza je zanieście. Komornikom poleciłem, by zebrali zasłony i obrusy, dywany i kobierce i by również do izby cesarza je zanieśli.

- Krótko mówiąc: chciał Miłościwy Pan dać Ottonowi do zrozumienia, że jest władcą godnym korony królewskiej. Czy tak było?
- Jak powiadają mężowie stanu twojej epoki, skrybo: nie zaprzeczam i nie potwierdzam.

- Po blisko dziesięciu dniach podróży orszak cesarski dotarł do Gniezna.
- Tu Otto obuwie zdjął, a biskup poznański Unger przyjął go z wielkim szacunkiem i wprowadził do kościoła zbudowanego jeszcze przez ojca mego. Tam cesarz zalany łzami świętego Wojciecha o wstawiennictwo prosił, by łaski Chrystusa mógł dostąpić.

- Podczas biesiady Otto nałożył na Waszą, wtedy jeszcze książęcą głowę swój cesarski diadem.
- „Nie godzi się takiego i tak wielkiego męża, jakby jednego z dostojników, księciem nazywać lub hrabią, lecz wypada chlubnie wynieść na tron królewski i uwieńczyć koroną", tak cesarskie słowa Gall Anonim zanotował. Dostałem też gwóźdź z Krzyża Chrystusa i kopię włóczni świętego Maurycego. Swoim bratem i współpracownikiem, przyjacielem i sprzymierzeńcem narodu rzymskiego Otto mnie nazwał. Chociaż przybył do grobu świętego Wojciecha, potwierdził również moją pozycję wśród władców europejskich i miejsce państwa w rodzinie chrześcijańskiej.

- A mówią, że pielgrzymka do grobu świętego Wojciecha była tylko pretekstem ze strony Ottona III. I dodają, że cesarz chciał pozyskać Waszą Wysokość dla swoich planów.
- Wrogowie tak mówią. Ja wiem, że czeski książę znany jako święty Wojciech był wybitną postacią Europy moich czasów. Sprzyjał Ottonowi, to i on już jako cesarz nad jego grobem głowę chciał pochylić. Pewnie wiecie, skrybo, że gdy Wojciech był biskupem praskim, rywale polityczni prawie całą jego rodzinę wymordowali. Wtedy Ojciec Święty wysłał go z misją do mojego kraju, żeby pogan na wiarę chrześcijańską nawracał. 23 kwietnia roku Pańskiego 996 przeszyty w potyczce włócznią Prusa swe święte życie oddał. Za jego ciało dałem tyle złota, ile ważył.

- Zasługiwał na to?
- Nie o złoto mi chodziło, a o czyn, bowiem mocni w głowach mężowie doradzili, abym tak postąpił, bo to się opłaci. I rzeczywiście w roku 999 Sylwester II ogłosił bullę, która czyniła Gniezno stolicą prowincji kościelnej. Jej, a nie Pradze czy Magdeburgowi podporządkowane zostały biskupstwa w Krakowie, Poznaniu i Wrocła-

wiu. Tym to sposobem udało się oderwać Polskę od niemieckiego Kościoła.

- I rzeczywiście godził się Miłościwy Pan z projektem Ottona III, żeby powstało chrześcijańskie Cesarstwo Rzymskie, gdzie Niemiec miał mieć najwyższą władzę? Przecież to pozbawiało Waszą Królewską Wysokość samodzielności i potęgi.

- Europa chrześcijańska i zjednoczona. Taka była idèe fix Ottona Rudego, któremu papież sprzyjał. Nie mogłem przeciw nim stanąć, tym bardziej że chrześcijaństwo przyniosło do mego kraju wiele dobrego. Otto miał taki plan: on będzie cesarzem, ja i trzej inni królami. Jeden ma władzę w Italii, drugi w Galii, trzeci w Germanii, a ja w Sklawinii.

- Ale do tego nie doszło.

- Ano, z żalem to potwierdzam, nie doszło. Otto zmarł przedwcześnie, dożywając ledwie 22 lat, a bez niego plan papieża był praktycznie nie do wykonania. Na Ottonie męska linia Ludolfingów wygasła. W walce o sukcesję w Niemczech zwyciężył Henryk II Bawarski, mnie nieprzychylny, toteż Milsko, Miśnię i Łużyce siłą zająłem. Mało tego, władzę w Czechach przejąłem. Henryk II nie mógł tego znieść, wojował ze mną, ale bezskutecznie. Dopiero w roku Pańskim 1018 zawarłem z nim pokój w Budziszynie. Mając Łużyce, na wschód Europy ruszyłem, na Ruś Kijowską, żeby potęga moja była wielka.

- Dziękuję Waszej Królewskiej Wysokości za rozmowę.

Daty z życia Bolesława Chrobrego

967 – urodził się Bolesław jako syn Mieszka I i czeskiej księżniczki Dąbrówki
973 – książę przebywa na dworze niemieckim jako zakładnik
992 – Bolesław objął władzę po swoim ojcu
997 – na ziemie polskie przybył biskup praski Wojciech, podczas nawracania Prusów na wiarę chrześcijańską został zabity, Bolesław wykupił ciało za złoto
1000 – koniec lutego: powitanie cesarza Ottona III Rudego w grodzie Ilwa, zwanym też Iławą (dziś część Szprotawy)
1000 – 10 kwietnia: zjazd gnieźnieński
1002 – maj: Bolesław zajmuje Łużyce i Milsko
1007-1017 – wojna polsko-niemiecka
1018 – 30 stycznia: pokój w Budziszynie
1018 – 14 sierpnia: zdobycie Kijowa
1025 – 18 kwietnia: arcybiskup gnieźnieński Hipolit koronuje Bolesława na króla Polski
1025 – 17 czerwca: umiera król Bolesław Chrobry

Kazimierz Odnowiciel – podobizna pędzla Jana Matejki – z pracy „Poczet królów i książąt polskich", Warszawa 1984

Kazimierz Odnowiciel

Urodził się 25 lipca 1016, zmarł w 1058 r. Syn Mieszka II i Rychezy, córki palatyna reńskiego. Z małżeństwa z Dobroniegą Marią, córką księcia kijowskiego Włodzimierza Wielkiego miał Gertrudę, Bolesława Śmiałego, Władysława Hermana, Mieszka, Świętosławę i Ottona. Po burzliwych wydarzeniach lat 1031-34 objął tron, ale na wskutek wybuchu powstania przeciw Piastom w 1037 r. uciekł za matką do Niemiec. Rok później kraj najechał czeski książę Brzetysław I, który zabrał relikwie św. Wojciecha i Pięciu Braci Męczenników z katedry w Gnieźnie. W 1039 r. Kazimierz wsparty 500 rycerzami wrócił do kraju i odbudował państwo piastowskie.

ŚWIĘCI BRACIA EREMICI

Rozmowa z księciem Kazimierzem Odnowicielem, władcą Polski

- Czy Wasza Miłość też uważa, że historia pierwszych męczenników Polski wiąże się z świętym Romualdem, założycielem zakonu kamedułów?

- Podczas zjazdu gnieźnieńskiego w roku Pańskim 1000 mój dziadek Bolesław, przez jednych Wielkim, przez drugich Chrobrym zwany, świeć Panie nad jego duszą, wyraził życzenie, aby chrześcijańscy zakonnicy przybyli z misją na piastowskie ziemie. Cesarz Otto III prośbę tę skierował do biskupa Brunona z Kwerfurtu, późniejszego świętego, z którym zaprzyjaźniony był od lat młodzieńczych. A ten życzenie mojego dziadka powtórzył bratu Romualdowi, w owym czasie przełożonemu klasztoru benedyktynów w Pereum koło Rawenny.

- W tym samym zakonie przebywał książę Bezprym, pierworodny syn Bolesława Chrobrego.

- Dziadek postanowił, że po jego śmierci koronę otrzyma mój ojciec Mieszko. Gdy tylko dziadek oczy zamknął, a ojciec mój Mieszko II, zwany Lambertem, tron objął, stryj Bezprym zdjął zakonne szaty i do kraju Polan wrócił. Ojciec niedługo władcą królestwa był, muszę tu krytycznie powiedzieć: władcą słabym. Dlatego z łatwością przy ruskiej i niemieckiej pomocy stryj Bezprym odebrał mu rządy w królestwie. Mimo władania monarchią ledwie przez rok taki bałagan wprowadził, że trudno było sytuację opanować.

- W dziejach piastowskiego państwa jest mowa o tym, że książę Bezprym zginął śmiercią tragiczną.

- Mnie wtedy nie było w kraju Polan, który zbuntował się przeciw płaceniu wysokich świadczeń na rzecz armii, administracji i Kościoła. Niektórzy skrybowie, pośród nich ten najbardziej zasłużony dla historii piastowskiej Polski Gall Anonim, podają, że to reakcja pogańska była. Bezsilny wobec władzy możnych, za poradą matki pierwej na Węgry pojechałem, a potem do Niemiec. Tam, pół tysiąca wojów zebrawszy, wróciłem po dwóch latach i przy ich pomocy porządek w kraju zaprowadziłem.

- Co Wasza Miłość wie o Bolesławie Zapomnianym?

- Wolałbym o tym nie mówić, ale skoro padło pytanie, muszę odpowiedzieć. Był to koronowany król Polski, mój brat najstarszy, przez kronikarzy wymazany z historii naszego narodu, co z woli biskupów się stało. I podobnie jak stryj Bezprym został skrytobójczo zamordowany. Przez kogo? Tego nigdy nie powiedziano, domyślam się, że przez osoby wynajęte. Bolesław, zwany Zapomnianym, w walce z Kościołem za daleko się zapędził. Dlatego musiał ponieść najsurowszą karę. Pozostawił po sobie nieład.

- Ten nieład i brak rządcy w królestwie wykorzystał czeski władca Brzetysław I, który najechał ziemie polskie.

- Tym krokiem Brzetysław sprawił, że możni znowu poczuli się zagrożeni, bo Czech złupił ich majątki i zagarnął część państwa. Z katedry w Gnieźnie wywiózł relikwie świętego Wojciecha, który był Czechem, i relikwie pięciu zakonników zwanych pierwszymi męczennikami Polski, do których nie miał prawa.

- Udało się Waszej Miłości odzyskać zagarnięte ziemie, wśród nich Śląsk z Wrocławiem, ale relikwie pozostały w katedrze praskiej.

- W Kwendlinburgu układ z Brzetysławem zawarłem, na moc którego odzyskałem zagarnięte ziemie. 500 grzywien srebra i 30 złota płaconych Czechom przez pół wieku to mnie kosztowało. Majątek, skrybo, wielki. Na wykupienie szczątków pięciu braci już nie było mnie stać.

BIELSKO-NOGORSKI SIHNO 32

- Zrobił to dopiero biskup poznański Jan Lubrański, umieszczając je najpierw w Poznaniu, a w 1520 roku przenosząc do Kazimierza Biskupiego. Dlaczego tam, a nie do Międzyrzecza?

- W Kazimierzu Biskupim koło Konina klasztor bernardynów stał. Tam też kwitł kult pięciu męczenników, więc było to miejsce najwłaściwsze. Świętych braci czczono również w Obrze koło Wolsztyna, dokąd niewielką część ich szczątków przeniesiono dopiero w XVI wieku. W międzyrzeckim kościele Świętego Jana Chrzciciela są także relikwie, pochodzą one ze świątyni Świętego Marcina w Kazimierzu Biskupim. Do Międzyrzecza przeniesiono je dopiero w 1966 roku, w czasie obchodów millenium chrztu Polski.

- Wróćmy do okoliczności, w których dwaj benedyktyni wybierają się z Włoch do kraju Polan, chrześcijańskiego dopiero od 38 lat.

- Jak już powiedziałem, dziadek mój, Bolesław, prosił Ottona III, aby wysłał kilku zakonników do kraju Polan w ramach akcji misyjnej. Cesarz prośbę dziadka mego przekazał Brunowi z Kwerfurtu. W 1001 roku dotarła ona do brata Romualda z klasztoru benedyktyńskiego w Pereum, w tym samym, w którym później stryj mój Bezprym zdobywał nauki. Musisz, skrybo wiedzieć, że ja też u ojców benedyktynów się kształciłem na pożytek królestwa mego. Wolę niesienia wiary w dalekim kraju wyraziło dwóch mnichów. Byli to Benedykt i Jan. Król Bolesław wskazał im ziemię w pobliżu Międzyrzecza, na której postawili klasztor bardziej przypominający pustelnię niż budowlę, w jakich żyli zakonnicy na Zachodzie.

- Czyż nie miał z nimi być Brunon z Kwerfurtu? I potem razem mieli wyruszyć z misją chrystianizacyjną na ziemie Lutyków, zajęte przez Chrobrego?

- Takie były plany mego dziadka. Biskup Brunon z Kwerfurtu obu mnichom nakazał, aby oczekując na jego powrót przygotowywali się do podróży, a sam wyruszył do Rzymu po zgodę Ojca Świętego na prowadzenie misji. Niestety, w tym czasie wyzionął ducha cesarz Otto III, niech mu ziemia lekka będzie, ten sam, którego dziadek mój Bolesław, powitawszy w Iławie z największymi hono-

rami, przyjął w Gnieźnie. Powstałe po jego niespodziewanej śmierci zamieszanie polityczne spowodowało, że biskup Brunon musiał dłużej czekać na zezwolenie papieża niż to w zwyczaju było. Nie mogąc doczekać się jego powrotu, bracia Benedykt i Jan wyruszyli do królestwa Polan.

- Co robili benedyktyni w eremie międzyrzeckim?
- Najprościej można odrzec tak: dzielili się Słowem Bożym ze Słowianami przyjmującymi wiarę w Boga, Ojca Wszechmogącego, stworzyciela nieba i ziemi, i Jezusa Chrystusa, i święty Kościół powszechny. Tak było przede wszystkim. Ale i, polskiej mowy się nauczywszy, pokazywali, jak nastawiać zwichnięcia albo czym czyraki leczyć. W jaki sposób zioła suszyć i do czego je stosować. Jak hodować zwierzęta na mleko, na mięso, na jaja. Jak sukno tkać i bielić...

- Czy zajmowali się polityką?
- Piśmienni, wykształceni byli, wiele dobra i zła tego świata widzieli, mogli więc czytać listy kierowane do panów tej ziemi, a i odpowiedź zapisać. Mogli doradzić, do którego klasztoru najlepiej posłać młodych, żeby wiedzy o świecie nabyli. Do rządzenia państwem się nie wtrącali.

- Na pewno?
- Nie masz o tym nawet wzmianki w kronice Galla Anonima. Jan Długosz wspomina o ich kulcie, ale ani jednego słowa o działalności państwowej.

- Po śmierci Ottona III narastał konflikt między Bolesławem Chrobrym i nowym cesarzem Niemiec Henrykiem II. Wtedy Benedykt z Barnabą wybrali się po instrukcje do Rzymu.
- Po co jechali, dokładnie nie wiadomo. Gdyby tylko po instrukcje, wtedy można przypuszczać, że oprócz misji ewangelizacyjnej i inne zadania mieli. Coś w tym domniemaniu jednak jest, bo gdy do Pragi dojechali, król Bolesław zawrócił Benedykta z drogi. Do Rzymu Barnaba sam pojechał, dzięki czemu uniknął śmierci od miecza czy oszczepu, ale o tym za chwilę.

- Czy Benedykt posłuchał Bolesława Chrobrego?
- Posłuszny memu dziadkowi w drogę powrotną do klasztoru się udał. Zanim jednak koń jego wrócił do eremu pod Międzyrzeczem, dziesięć funtów srebra do kasy królewskiej Benedykt oddał. Dlatego o tym mówię, że wedle niektórych skrybów, tragiczne wydarzenie w eremie było spowodowane chęcią zdobycia tego majątku.

- Tyle mówimy o podmiędzyrzeckiej pustelni benedyktynów, a jeszcze nie opowiedzieliśmy, kto w niej przebywał.
- To jest ważne, że do dwóch włoskich zakonników, Benedykta i Jana, dołączyli miejscowi młodzieńcy, pragnący chwałę Pana Boga głosić. Byli to nowicjusze, bracia rodzeni Izaak i Mateusz, z możnych rodzin się wywodzący oraz Barnaba. Ich pragnieniem było przywdzianie habitów zakonnych i udanie się z misją na Pojezierze Meklemburskie, gdzie pogańscy Lutycy żyli. W eremie był też chłopak Krystynem czy Kryspinem albo Chrystianem nazywany. Jego zadaniem było strawę ugotować, odzienie braci wyprać, cele na spoczynek przygotować.

- W nocy z 10 na 11 listopada 1003 roku w eremie przebywało pięciu zakonników. Co się wtedy stało?
- Nie masz jasności, jak naprawdę było. Albowiem żaden z jego pięciu mieszkańców jutrzni nie doczekał.

- Skąd więc wiadomo, że mnisi zostali zamordowani przez miejscowych chłopów, jak podają jedne kroniki? Albo przez książęcego włodarza, jak pisze święty Brunon z Kwerfurtu w *Żywocie Pięciu Braci Męczenników*?
- Dzieło świętego Brunona powstało trzy lata po męczeńskiej śmierci braci zakonnych. Jeszcze zimą roku 1003 do zniszczonego eremu wrócił Barnaba. To on opowiedział Brunonowi z Kwerfurtu o tym, co usłyszał i zobaczył. Ten z kolei pospieszył do Jana XVIII, a papież bez wahania kazał zaliczyć ich w poczet świętych męczenników i cześć oddawać.

- Barnaba przeżył, bo w tym czasie na polecenie Bolesława Chrobrego wyruszył do Rzymu. W obejściu klasztornym oprócz mnichów pewnie byli i jacyś służący?

- Skrybowie o nich nie wspominają. Sądzę, że przeżyli i to oni opowiedzieli, jaką śmiercią mieszkańcy eremu zginęli. Od nich czerpał wiadomości Barnaba, a potem uznany za świętego biskup Brunon z Kwerfurtu.

- Czy to był napad rabunkowy? Może eremici zginęli za wiarę?

- Napastnicy przyszli od Obry, spodziewając się znaleźć tam srebro darowane eremitom przez mego dziadka Bolesława. Pewnie gdyby wiedzieli, że Benedykt zwrócił dziesięć funtów srebra do królewskiej kasy, na mnichów by nie napadli. „»Przyjacielu, po co tu przyszedłeś i czego chcą ci ludzie?« - spytał brat Jan niejakiego Paklisława, który wdarł się do eremu na czele grupy zbrojnych. Ten odparł, że miłościwie panujący na tej ziemi Bolesław kazał uwięzić mnichów. »Dlaczego na próżno kłamiesz, synu?« - nie wierzył Jan. Wtedy Paklisław z nienawiścią rzekł: »Zaiste chcemy was zabić! Dla tej przyczyny przyszliśmy«".

- Tak opisał tę noc święty Brunon z Kwerfurtu w *Vita quinque fratrum*, prawdaż?

- Podaje on, że pierwszy od miecza zginął brat Jan, potem opat Benedykt. W dalszej kolejności Izaak w celi obok odpoczywający. Mateusz zginął przeszyty oszczepem, gdy do kościoła wbiegł. Krystyn próbował bronić klasztoru, ale i on los braci podzielił.

- Gdyby więc nie dzieło świętego Brunona z Kwerfurtu, eremici pozostaliby tacy, jak wielu innych misjonarzy: zapomniani.

- Wieść o śmierć mnichów szybko obiegła okolicę i do Rzymu dotarła. W rok po męczeńskiej śmierci papież Jan XVIII do grona świętych ich zaliczył. W oficjalnym kalendarzu liturgicznym Kościoła: Benedykt, Jan, Izaak, Mateusz i Krystyn występują jako Pierwsi Męczennicy Polski, a nie polscy, na co uwagę zwracam, skrybo. Kult świętych braci natychmiast zaczął się szerzyć nie tylko na ziemi Polan. Kiedy ich relikwie książę Brzetysław z Gniezna do Pragi uprowadził, kult braci na całe Czechy się rozprzestrzenił. Święty Krystyn stał się patronem katedry w Ołomuńcu. Relikwie braci są też w polskich świątyniach, Jasieniu, Mniszewie, Dalewie, Obrze, Bieniszewie je znajdziesz.

- Aż do drugiej połowy lat czterdziestych XX wieku Kościół tkwił w przekonaniu, że życiem i śmiercią Pierwsi Męczennicy Polski byli związani z Kazimierzem Biskupim koło Konina.

- Nie masz ani jednego dokumentu, który potwierdza, że erem był w Kazimierzu Biskupim. Nie masz też żadnego dowodu na to, że działo się to pod Międzyrzeczem, tam gdzie jest miejscowość Święty Wojciech. Archeolodzy starali się zgłębić prawdę, niestety prace wykopaliskowe za późno rozpoczęli. Trzeba jednak przyjąć, że erem był koło Międzyrzecza, skąd blisko do ziemi Lutyków, a tam przecież bracia mieli prowadzić misję.

- Świadkowie wiary, nadziei i miłości, jak Kościół określa Pierwszych Męczenników Polski, są patronami ziem piastowskich.

- Podczas obchodów tysiąclecia chrztu Polski w 1966 roku relikwie pięciu braci zostały przewiezione z Kazimierza Biskupiego do Międzyrzecza. Tu powstało sanktuarium poświęcone czci pierwszych męczenników. W tysiąclecie śmierci mnichów w 2003 roku cząstki ich relikwii, przechowywane w katedrze w Pradze, również do Międzyrzecza zostały sprowadzone. To oni położyli fundamenty pod budowę naprawdę odważnej i mocnej wiary w polskim narodzie. Bogu niech będą dzięki.

- Dziękuję Waszej Miłości za rozmowę.

Pierwsi Męczennicy Polski

Święty Benedykt z Pereum – Włoch z zamożnej rodziny, przybył do Polski w 1001 lub na początku 1002 r. Urodził się około 970-975 r. Życie zakonne rozpoczął w opactwie Monte Cassino w 999 r. Następnie osiadł z św. Romualdem, od którego początek biorą kameduli, w pustelni w Pereum. Był opatem w międzyrzeckim klasztorze.

Święty Jan – wenecjanin z możnego rodu. Urodził się około 940 r. Najpierw przebywał w klasztorze benedyktyńskim w Cuxa koło Perpignam we Francji. Potem osiadł w pustelni Pereum. W 1001 lub 1002 r. wraz z Benedyktem udał się do Międzyrzecza. Na skutek ospy miał zeszpeconą twarz i uszkodzone jedno oko.

Święty Izaak i **święty Mateusz** – rodzeni bracia, którzy w 1002 r. przyłączyli się do włoskich zakonników w Polsce. Prawdopodobnie pochodzili z możnych rodzin. Ich dwie siostry były mniszkami. W chwili zabójstwa jeszcze nie złożyli ślubów zakonnych.

Święty Krystyn (Chrystian, Kryspin) – chłopiec z podklasztornej wsi, urodzony około 980 r. Nie wiadomo, czy był przeznaczony na służbę u zakonników czy sam się zgłosił do eremu. W klasztorze robił to, co należy do obowiązków kucharza.

Bolesław Krzywousty – podobizna pędzla Jana Matejki – z pracy „Poczet królów i książąt polskich", Warszawa 1984

Bolesław Krzywousty

Urodził się w 1086, zmarł w 1138 r. Z małżeństwa ze Zbysławą, córką księcia kijowskiego Świętopełka II, miał Władysława II Wygnańca i córkę nieznaną z imienia. Z Salomeą, córką hrabiego Bergu, miał synów: Bolesława, Mieszka, Henryka i Kazimierza oraz sześć córek. Nie koronował się na króla Polski. Bronił polskiej granicy zachodniej przed Niemcami, szczególnie jej odcinka od Sprewy do Odry.

KU PAMIĘCI DZIECI GŁOGOWSKICH

Rozmowa z księciem Bolesławem Krzywoustym, władcą Polski

- Historycy twierdzą, że Wasza Wysokość był okrutny wobec swoich poddanych.

- Panowałem w kraju chrześcijańskim z łaski Boga. Gdyby lud polski obrał mnie na swego pana i władcę, obowiązkiem moim byłoby tylko jemu służyć. A jam postanowił służyć ojczyźnie Mieszka, jego syna Bolesława, mojego stryja Bolesława zwanego Śmiałym i tych, którzy nie ugięli się przed obcą nawałą. O mnie Gall zwany Anonimem pieśń ułożył: „Bolesław, książę wsławiony, z daru Boga narodzony". Ja byłem tym, „który wrogom karki zgina".

- Wrogom, owszem, karki zgina, ale i niewinne dzieci skazuje na męczeńską śmierć.

- Jeśli synów głogowskich, skrybo, masz na myśli, to wymaga dłuższego wyjaśnienia.

- Kazał Wasza Wysokość ludzi oślepiać.

- O kim, skrybo, mówisz? Chyba nie o tym zdrajcy Zbigniewie.

- Właśnie o nim, Waszym bracie. Jemu Miłościwy Pan kazał światło sprzed oczu zabrać.

- Miarkuj z osądami. Już nie tacy jak ty, biegli w piśmie i obcych językach, o litość mnie błagali. Jednym, gdy winy ich były mniejsze, życie darowałem, innych, jak brata mego Zbigniewa, uwięzić

i oślepić kazałem, żeby nigdy więcej nie odważył się podnieść ręki na władcę swego kraju. Mój brat nie był godzien zasiadania na tronie królewskim.

- A dlaczego?

- Przykro mi to mówić, ale muszę wyznać jak na świętej spowiedzi, że ojciec mój Władysław Herman niczym szczególnym Polsce się nie zasłużył. Daru rządzenia Pan Bóg mu nie dał, to i pewnie dlatego nawet nie podjął starań o koronę monarszą. Miał dwóch synów: mnie, zrodzonego w pierwszym małżeństwie z Judytą, córką króla Czech Wratysława, i Zbigniewa. Kim była jego matka, nie wiem i nikt tego na dworze książęcym nie wiedział.

- Czyż to możliwe?

- A możliwe, możliwe, tym bardziej że na dworze najważniejszą osobą był nie ojciec mój, lecz palatyn Sieciech. Ambicje miał on wybujałe, patrzyć na to już nie mogłem. Niewiele brakowało, żeby koronę królewską na swoja głowę kazał zakładać. Tak był pewny swojej roli, że nawet wobec gości z obcych dworów nie taił, iż ja i brat mój Zbigniew go niepokoimy. To wnet Zbigniewa w klasztorze niemieckim zamknąć kazał, a na mnie, gdy tylko nadarzyła się okazja, na polowaniu, swoich ludzi nasłał.

- Zaraz po śmierci Władysława Hermana obaj, mam na myśli Zbigniewa i Waszą Miłość, przejęliście władzę w kraju.

- To było złe rozwiązanie. Państwem jeden musi rządzić i taką politykę prowadzić, żeby kraj rósł w potęgę. A Zbigniew władzą się zachłysnął i niewiele czynił na rzecz umacniania państwa. Najgorsze, że od Niemców i Czechów coraz bardziej się uzależniał. Tom, chociaż to półbrat, do pomocy Węgrów i Rusinów wezwawszy, wojnę na śmierć i życie mu wypowiedział. Nieszczęście dla kraju, w którym są dwaj władcy, synowie tego samego ojca. Wtedy nie wiesz, który podatki nakłada, wojewodów mianuje, urzędy rozdaje, przed Bogiem i historią odpowiada. Jedynym władcą Polski zostanie ten spośród nas, bracie mój, który zwycięży na polu bitewnym, a nie jak baba knując, rzekłem. Siła przy mnie była to i zwyciężyłem, Zbigniewowi na zarządzanie Mazowszem pozwalając, ale i zobowiązując go do wsparcia, gdy na wyprawę wojenną wyruszę. On

najpierw się zgodził, a potem przeciw mnie knować zaczął. Tom go jak najbardziej zajadłego wroga wygnał z kraju precz.

- Do Niemiec?
- Zbigniew spodziewał się, że cesarz Henryk V natychmiast przyjdzie mu z pomocą.

- Dobrze się spodziewał. Cesarz domagał się nie tylko przekazania Zbigniewowi połowy królestwa, ale i trzystu grzywien srebra dla siebie lub rycerzy na wojnę. Zagroził na papierze, że jeśli Wasza Wysokość nie spełni jego oczekiwań, podzieli mieczem królestwo polskie.
- Groźby cesarza się nie przestraszyłem. Odpowiedziałem mu na papierze: „Jeżeli pieniędzy naszych lub rycerzy polskich żądasz, to mielibyśmy się za niewiasty, a nie za mężów, gdybyśmy wolności swojej nie bronili. Do przyjęcia zaś buntownika lub podzielenia się z nim niepodzielnym królestwem nie zmusi mnie przemoc żadnej obcej władzy, a chyba tylko jednomyślna rada moich doradców i swobodna decyzja mojej własnej woli. Przeto jeślibyś po dobroci, a nie pogróżkami zażądał pieniędzy lub rycerzy na pomoc Kościołowi rzymskiemu, uzyskałbyś zapewne nie mniej pomocy i rady u nas niż twoi przodkowie u naszych. Zatem bacz, komu grozisz: jeśli zaczniesz wojnę, znajdziesz ją".

- I cesarz zaczął wojnę.
- Zrobił to w najgorszym dla mnie czasie, wszak latem 1109 roku wojowałem z pogańskimi Pomorzanami. On i tak by na mnie ruszył, a domaganie się połowy królestwa dla Zbigniewa tylko wojnę przyspieszyło.

- Dlaczego i tak by ruszył?
- Od roku 962, kiedy Otto Wielki koronował się na cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego ich władcy domagali się nominalnego zwierzchnictwa nad światem chrześcijańskim. Największy opór stawiały słowiańskie ludy środkowej Europy. Niemcom udało się zniewolić Czechów, Łużyczan, Miśnian, ale już wyprawy na Ziemią Lubuską czy Pomorze bezskuteczne były. Tu na ich drodze władcy państwa Polan stawali. Bitwę pod Cedy-

nią, kiedy to wojowie mego pradziadka Mieszka i jego brata Czcibora pobili wojsko margrabiego Hodona, na długo zapamiętali.

- A jednak latem 1109 r. Henryk V z łatwością pokonał Bóbr i doszedł w okolice Krosna.

- Takiego kroku z jego strony spodziewałem się właśnie o tej porze roku, wszak wszyscy rozpoczynali wojnę latem, po zbiorach zbóż, kiedy łatwiej konie wyżywić i wojów nakarmić. Obawiałem się Henryka, tym bardziej że za miedzą miałem jeszcze jednego wroga do pokonania: Pomorzan, którzy zwierzchności władcy królestwa Polan nad sobą uznać nie chcieli.

- Przecież w 1109 r. Pomorzanie nie zagrażali państwu polskiemu.

- Prawda to. Jest jeszcze i taka prawda: kto mieczem wojuje, ten wie, że nic tak nie osłabia ducha bojowego, jak czekanie na walkę. Dlatego zdecydowałem, żeby Niemcy czekali na mnie nie tam, gdzie oni chcą, ale gdzie ja sobie tego życzyłem. Ponadto bałem się, że jak na zachodzie uwikłam się w wojnę z cesarzem Henrykiem to od północy na mój kraj ruszą Pomorzanie. Z dwoma wrogami sobie nie poradzę, o czym przekonałem się roku poprzedniego, gdym wojną w Czechach był zajęty.

- Do tej wojny Niemcy przygotowali się jak do żadnej innej.

- Henryk V zebrał dziesięć tysięcy rycerstwa nie tylko z Saksonii i Czech, ale nawet z Lotaryngii i Frankonii. Wśród nich hufce w zbroi pancernej były, z kuszami. Ja zaledwie cztery tysiące zbrojnych w topory, miecze, oszczepy i łuki miałem. Henryk kalkulował, że moja klęska jest nieunikniona i on wreszcie przejdzie do historii cesarstwa jako ten, który za namową arcybiskupa magdeburskiego Adalgota wyruszył z krucjatą przeciw w dużej części jeszcze pogańskim Polanom. Jako ten, który mieczem i krzyżem chrześcijaństwo wśród Słowian umacniał. Na to jako władca samodzielny pozwolić nie mogłem.

- Niemcy posuwali się wzdłuż Odry, nie napotykając żadnego oporu.

- Moi rycerze nie atakowali, bo taki rozkaz wydałem, pojawiali się za to w pobliżu hufców Henryka, dając im odczuć, że są niepro-

szonymi gośćmi. Tacy nie mogą liczyć na życzliwość gospodarzy. Henrykowi przeszli Odrę w pobliżu Krosna, usiłując posuwać się w stronę Międzyrzecza. W okolice Krosna miał przybyć czeski Świętopełk ze swoimi rycerzami, ale na umówione miejsce Czesi nie dotarli. Nie mając wsparcia Świętopełka, Niemcy bali się zapuścić w nasze bezdrożne bory. Wysłałem szpiegów do ich obozu, a ci gadki rozpuścili, że na przesiekach zasadzki ustawiłem i wyrżnę ich rycerzy co do jednego albo głodem do odwrotu zmuszę.

- To i Niemcy skierowali się na południowy wschód.
- Nieskromnie powiem, że wojną podjazdową ten kierunek im wskazałem. Przypuszczałem bowiem, że gród w Bytomiu będą zdobywali. Jak byłem pewien obrony Głogowa, tak miałem wątpliwości, czy Bytom stawi opór, chociaż kazałem go dobrze obwarować, uzbroić i w silną załogę zaopatrzyć.

- Cesarz zobaczył Bytom tak uzbrojony i obwarowany, że nie miał zamiaru go zdobywać. Ominął więc.
- Ominął? Nie miał zamiaru go zdobywać? Wprzódy przeczytaj, skrybo, co Gall Anonim napisał. Ten zacny dziejopisarz podaje, że gdy „Niemcy pragnęli w Polsce utwierdzić swą sławę rycerską, grodzianie otwarłszy bramy i dobywszy mieczy, wyszli naprzeciw, nie obawiając się mnogości różnorodnych wojsk ani natarcia Niemców, ani obecności samego cesarza, lecz w obliczu ich stawiając odważny i mężny opór".

- Stąd cesarz ze swoimi wojami poszedł lewym brzegiem Odry aż pod Głogów.
- To mnie ucieszyło, bo rzeka tam głęboka, przeprawa nawet w środku lata niemożliwa, mimo to posłałem oddział dla wzmocnienia obrony grodu.

- Cesarz jednak przeprawił się przez Odrę.
- Zrobił to w uroczystość świętego Bartłomieja apostoła, 24 sierpnia, gdy cały lud mszy świętej słuchał. Cesarscy przeprawili się w miejscu, gdzie nikt tego nie oczekiwał i gdzie nikt przedtem się nie przeprawił ani nie wiedział o istnieniu brodu i dlatego nikt go nie bronił.

- Czy to możliwe, żeby kasztelan głogowski nie znał brodów w okolicy grodu?
- I mnie to wydało się podejrzane. Może komes zdradził na rzecz Zbigniewa, który razem z Henrykiem podążał? Może bród ten znał Zbigniew, który wcześniej przecież dzielnicą śląską władał albo ktoś z jego ludzi? Gdym się o tym dowiedział, zaufanie do głogowian straciłem.

- Przeprawiwszy się na Ostrów Tumski, cesarz zdobył podgrodzie i rozproszył wojów Waszej Wysokości. Mógł z zaskoczenia zaatakować gród, ale tego nie zrobił. Dlaczego?
- Ja, gdybym na jego miejscu był, nie wdawałbym się w żadne rokowania z dowódcą obrony grodu. Kazałbym na mury się wspinać. Nie mając litości dla obrońców zajmować place, domostwa, warsztaty, a tych, którzy jeszcze będą mieli odwagę chwycić za miecz, o głowę skrócić. Taki jest porządek wojenny od czasów najdawniejszych.

- A Henryk pozwolił na wysłanie poselstwa z grodu do Waszej Wysokości. Zażądał tylko, aby jako poręcznie zawieszenia broni głogowianie wydali mu swoich synów.
- Cesarz nie był zorientowany, ilu zwolenników w Polsce ma mój brat Zbigniew. Pewnie mu uwierzył, że niemało ich jest. Jeśli niemało, w dodatku może znaczących, to zmuszą mnie do przyjęcia warunków kapitulacji, które on podyktuje.

- Gall Anonim podaje, że Wasza Wysokość nie zgodził się na poddanie grodu Niemcom. Mało tego, zagroził obrońcom szubienicą, gdyby skapitulowali.
- Musiałem tak srodze postąpić, żeby utrzymać władzę w państwie w jednym ręku. Nie spodziewałem się jednak, że cesarz nie zwróci głogowianom ich synów, jako poręczenie zatrzymanych. Tego chrześcijańska wiara i uczciwość wymagała. On, jak mi potem doniesiono, sądząc, że litość nad synami i krewniakami serca mieszczan zmiękczy, polecił co znaczniejszych pochodzeniem spośród zakładników z miasta oraz syna komesa grodowego przywiązać do machin oblężniczych w przekonaniu, że tak, bez krwi rozlewu, bramy do miasta sobie otworzy.

- „A tymczasem grodzianie nie oszczędzali swoich synów i krewnych..."
- To zdanie z opisu obrony Głogowa pióra Galla Anonima. Przedstawiając obronę grodu podaje on, że „Niemcy osłonięci przykryciem z belek, usiłowali podejść pod mur, Polacy sprawiali im łaźnię płonącymi głowniami i wrzącą wodą. Niemcy podprowadzili pod wieżc żelazne tarany, Polacy zaś staczali na nich z góry koła, nabijane żelazem, Niemcy po wzniesionych drabinach pięli się w górę, a Polacy nabijali ich na haki żelazne i podnosili w powietrze. Szturm trwał przez wiele dni."

- Dlaczego wojowie Waszej Wysokości nie przyszli z pomocą głogowianom?
- Obrałem inną taktykę niż walkę wręcz. Moje poczynania dobrze oddał dziejopisarz, mistrz Wincenty, zwany Kadłubkiem. Napisał on, że „Bolesław nie spoczywał ani we dnie, ani w nocy, lecz nieraz rozpędzał Niemców, wychodzących z obozu po żywność, często też w obozie samego cesarza siał postrach i przebiegał to tu, to tam, czyniąc zasadzki na łupieżców i podpalaczy".

- Cesarz, nie mogąc zdobyć grodu, zaproponował Waszej Miłości: „ustąpię, jeśli uznasz moją zwierzchność nad sobą".
- Kronikarz głosi, żem odpowiedział tak: „Wolę w tej chwili stracić królestwo, broniąc jego wolności, niż na zawsze je zachować w hańbie poddaństwa".

- Ofiara dzieci głogowskich nie była nadaremna.
- Szczątki ich zostały zdjęte z machin i w poświęconej ziemi po chrześcijańsku pochowane. Uczonym w piśmie, bakałarzom i kaznodziejom nakazałem po wsze czasy sławić niezłomną wolę zwycięskiej walki grodzian. Umyśliłem tak: luboż ja, luboż moi następcy niech wzniosą pomnik na głównym placu grodu i 24 sierpnia każdego roku aż do końca świata wiązanki kwiatów tam niosą ku czci ofiar złożonych z synów, braci i krewnych głogowian.

- Dziękuję Waszej Wysokości.

Daty z życia Bolesława Krzywoustego

1086 – 20 sierpnia: urodził się Bolesław jako syn Władysława Hermana i Judyty, córki króla Czech Wratysława II

1097 – Bolesław otrzymał we władanie Śląsk i Małopolskę, jego brat Zbigniew – Mazowsze i Wielkopolskę

1107 – Bolesław wygnał Zbigniewa z kraju

1109 – obrona Głogowa i bitwa na Psim Polu

1123 – podbił Pomorze Zachodnie

1135 – złożył hołd lenny cesarzowi niemieckiemu Lotarowi III

1138 – w testamencie podzielił kraj na dzielnice, którymi mieli władać jego synowie: Władysław – Śląskiem i dzielnicą senioralną, Bolesław – Mazowszem i Kujawami, Mieszko – Wielkopolską. Po 1146 Henryk otrzymał dzielnicę sandomierską. Ziemia łęczycka miała stanowić rentę wdowią księżnej Salomei

1138 – 28 października: zmarł w Sochaczewie, został pochowany prawdopodobnie w katedrze płockiej

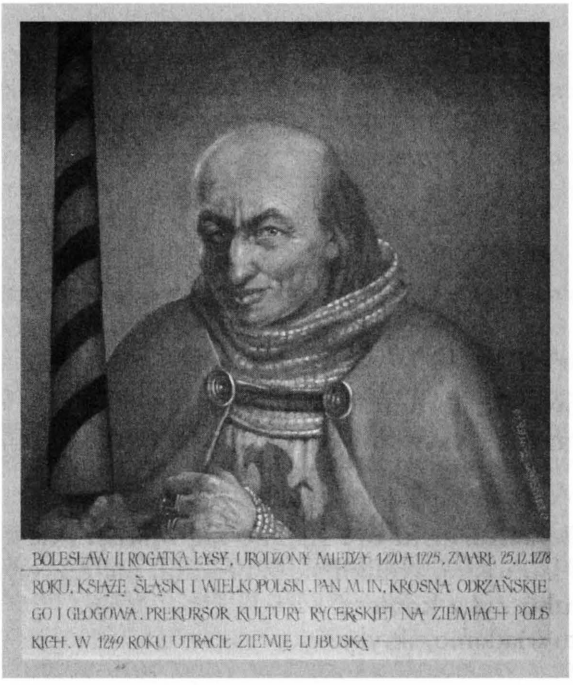

Bolesław Rogatka – podobizna pędzla Ireny Bierwiaczonek – z kolekcji Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze

Bolesław Rogatka

Książę śląski, małopolski, wielkopolski. Urodził się pomiędzy 1220 a 1225 r., zmarł na dyzenterię w 1278 r. Pochowany w legnickim klasztorze dominikanów. W 1249 r. zastawił Lubusz i połowę Ziemi Lubuskiej. Drugą połowę oddał w lenno margrabiom brandenburskim. Dopiero w 1945 r. ziemia ta znalazła się w granicach państwa polskiego.

ZAKAŁA RODZINY

Rozmowa z księciem Bolesławem Rogatką, zwanym też Łysym lub Srogim, władcą śląskim i lubuskim

- W dziejach Polski ma Książę złą opinię. Nie tylko utracił Ziemię Lubuską, wadził się z braćmi, ale też wypędził żonę i bez ślubu żył z kobietą.
- Skąd to wiadomo, skrybo?

- Choćby z kroniki Jana Długosza.
- Był „gwałtownikiem względem własnych i obcych ludzi, uwikłany aż do śmierci w ohydną miłostkę z nałożnicą"? Powtórzył to, co wrogowie moi rozpowiadali. Przecież ten klecha przyszedł na Boży świat dwieście lat po mnie. Był człowiekiem Kościoła, z którym ja miałem na pieńku. Czy takiemu trzeba wierzyć?

- Nie ma więc ani krzty prawdy w jego kronikach?
- Święty nie byłem jak moja matka Anna i babka Jadwiga, ta, którą obraliście na patronkę konkatedry w Zielonej Górze. Gdy w roku Pańskim 1256 biskup wrocławski Tomasz po raz trzeci klątwę na mnie rzucił, to kazałem w łóżku go pojmać i na zamku w Legnicy uwięzić. Dość tych kar kościelnych. Ja się do jego spraw nie mieszałem, to i on nie powinien był brać strony mojego brata Henryka III, a potem jego syna Henryka IV Probusa.

- Piotr z Byczyny napisał, że Książę „kilkakrotnie spustoszył kraj, nie tylko grabiąc, ale i pożary wzniecając".

- Mocno przesadził. Kilka razy się zdarzyło, jak choćby w roku 1249 w Środzie Śląskiej, gdzie coś pół tysiąca kobiet i mężczyzn skryło się w kościele. Okrutnie wzburzony byłem, bo za to złoto, które wydałem na wojnę o sukcesję wrocławską mógłbym jeszcze kilka zamków postawić, to kazałem podrzucić ogień i żywcem tych Henrykowych psubratów spalić. Na tym miejscu ci, co ocaleli postawili sobie nową świątynię, jeszcze większą.

- Kronikarze podają, że stał Książę za otruciem swoich braci Henryka, Władysława i Konrada.

- Niech nikt w to nie wierzy, chociaż prawdą jest, że czasem niektórych podwładnych kazałem o głowę skrócić albo mięsiwem nafaszerowanym trucizną ugościć. A wracając do moich braci, to nie ja im, skrybo, lecz oni mnie zatruwali życie. Oni ważyli się podnieść rękę na mnie, pierworodnego syna Bolesława Pobożnego, bohatera spod Legnicy, tego, co Mongołów siłą chciał zatrzymać. Na mnie, który świętym prawem dziedziczenia już w kołysce na władcę dzielnicy śląskiej został naznaczony.

- Czy można szukać winy w tym, że Bolesław Krzywousty podzielił ziemie królestwa między swoich synów?

- Nie zastanawiałem się nad tym zbyt głęboko. Nigdy nie miałem głowy do polityki i spraw obronnych. Ojciec mój prawił, że wbrew zamierzeniom króla Bolesława nie sprawdziły się ustanowione zasady senioratu. Krzywousty nie określił dokładnie granic dzielnic, a to spowodowało serię wojen domowych i powolny rozpad państwa Piastów. Dopiero Władysław zwany Łokietkiem, pokonawszy mojego bratanka Henryka IV Probusa, na powrót zjednoczył królestwo pod swoim berłem. Ale czyż ja do tego także nie dążyłem?

- W jaki sposób?

- Po śmierci ojca mego na polu bitwy pod Legnicą przejąłem władzę na Śląsku, w Małopolsce i części Wielkopolski. Ledwiem został księciem, do ziemi krakowskiej pretensje zgłosił Konrad Mazowiecki. Wojewoda Klemens z Ruszczy zorganizował opór, ale tron oddał nie mnie, a Bolesławowi Wstydliwemu. Wtedy postanowiłem utrzymać Wielkopolskę lub przynajmniej jej południowo-zachodnią część z Santokiem, Międzyrzeczem i Zbąszyniem.

Synowie Władysława Odonica, wspierani przez możnowładców wielkopolskich, i stąd mnie wypędzili.

- Dzielnica skurczyła się do Śląska z Ziemią Lubuską.
- Było nas pięciu braci. Konrad i Władysław do stanu duchownego naznaczeni zostali. Mieszko, którego osadziłem na Ziemi Lubuskiej w roku Pańskim 1242, niespodziewanie zmarł. A Henryk buntował rycerstwo przeciwko mnie, żebym do współrządzenia księstwem go dopuścił. Jako najstarszy syn Henryka Pobożnego postanowiłem być jedynym panem dzielnicy śląskiej, nie chciałem pozwolić, żeby została podzielona. To braciszek Henryk podstępem zamknął mnie w wieży zamku legnickiego i tak długo głodem morzył, aż zgodziłem się, by pod dyktando biskupa wrocławskiego Tomasza podzielono Śląsk na dwie części. Dzielnicę wrocławską Henryk objął, ja legnicko-głogowsko-lubuską.

- Nie rozumiem, dlaczego ziemie mniej zamożne Książę zostawił sobie?
- Ja sobie tak to wykalkulowałem. We Wrocławiu od dawna narastał konflikt z możnymi tego grodu, to pomyślałem, że Henryk z nimi sobie nie poradzi i za rok czy dwa lata południowa część księstwa do mnie wróci. A on, chociaż młodszy, ale brat, ani myślał rezygnował z władzy, którą z nim się podzieliłem. Ba, wspierany przez wrocławskich możnych do wojny ze mną zaczął się przygotowywać akurat wtedy, kiedy mój skarbiec jeszcze pusty był.

- Henryk zwrócił się o pomoc do margrabiego Miśni oferując mu gród Szydłów koło Gubina i ziemię krośnieńską.
- Liczył na to, że kiedy mnie pobije, tereny między Bobrem a Kwisą będą do niego należały, więc niewiele straci, jeśli zapłaci nimi Niemcowi za wspomożenie.

- Pan, Książę, jako zięć hrabiego Anhaltu również szukał pomocy po zachodniej stronie Odry.
- Arcybiskup magdeburski Wilbrandt dał pieniądze, ale 12 kwietnia Anno Domini 1249 musiałem podpisać pergamin (niech ten dzień na zawsze będzie przeklęty): zastawem jest połowa Ziemi Lubuskiej. Myślałem sobie tak, skrybo: dobrze zapłacę niemieckim

najemnikom to pokonają Henryka, będą więc łupy wojenne i bez trudu wykupię ziemię, którą zastawiłem. Muszę powiedzieć, że na początku miałem przewagę nad Henrykiem, ale potem Niemcy tak się rozpanoszyli w moim księstwie, tak grabili mój lud, gwałcili kobiety, domagali się coraz więcej ziemi, że się przeląkłem.

- Targować się z Niemcami Książę nie potrafił.
- Za połowę Ziemi Lubuskiej tylko osiemset grzywien srebra żądałem. Gdy margrabiowie brandenburscy to usłyszeli, za głowy się złapali, bo za dużo, a czasy były niepewne. Tom spuścił najpierw do sześciuset grzywien, ale oni dalej mówili: za dużo. Pięćset, powiedziałem, moje ostatnie słowo. Pokręcili głowami, że i pięćset to za dużo. Co miałem robić? Na czterysta się zgodziłem, ale natychmiast wypłacone.

- Niespodziewanie ze studiów teologicznych we Francji powrócił Konrad i zażądał dzielnicy dla siebie.
- Tegom się nie spodziewał. Załatwiłem mu przecież biskupstwo w bawarskiej Passawie, a on pastorał odstawiwszy, władzy świeckiej zażądał. Co miałem mu dać? Podziel, bracie, księstwo legnickie, mówił. O, nie! Skumał się więc z książętami wielkopolskimi, którzy tylko czekali, żeby ruszyć na moje ziemie. Ech, wszyscy wokół byli przeciw mnie.

- Wtedy to rycerstwo głogowskie podniosło bunt, popierając Konrada.
- Ha, miało ono apetyt na urzędy i godności. Konrad ożeniony z Salomeą, siostrą wielkopolskiego Przemysława I, dał początek linii głogowskiej, oleśnickiej i żagańskiej. Ja zaś zostałem już tylko protoplastą książąt legnickich.

- Może trzeba było zrezygnować z władania dzielnicą na rzecz Henryka? Przecież Książę ciągle tracił terytorium i władzę.
- Czy tylko mnie takie nieszczęście spotkało? Toż tobie współcześni, skrybo, utracili Podole, Wołyń, Polesie...

- Mnie interesuje Ziemia Lubuska.

- Dajże, skrybo, spokój. Łatwo ganić, przywoływać kroniki Długosza, z dystansu ośmiuset lat oceniać. Dlaczego tak niewiele dziejopisów przypomina, że Henryk Brodaty dwukrotnie odstępował Ziemię Lubuską Władysławowi Laskonogiemu i dwukrotnie odbijał ją z rąk niemieckich, kiedy tenże tracił Lubusz? A czy mój ojciec nie odpierał ataku Brandenburgów? Prawdą jest, że ja, nieszczęśnik... Czy mogłem przewidzieć, że arcybiskup magdeburski, jakże mu?...

- ... Wilbrandt...

- ... w 1250 r. odstąpi ją margrabiom brandenburskim Janowi I i Ottonowi II, którzy już mieli połowę tego terytorium? Tym samym otworzyłem im drogę do ekspansji na Pomorze i Wielkopolskę. Tak zaczęła powstawać Marchia Wschodnia, zwana też Nową Marchią.

- Nie było nikogo w otoczeniu Księcia, kto by wyjaśnił, że Mieszko I po to zajął Ziemię Lubuską, aby mieć klucz do państwa polskiego?

- I może jeszcze zawstydzisz mnie, skrybo, przypominając, że tu była główna brama na Połabie. Po to właśnie Bolesław Krzywousty założył biskupstwo w Lubuszu, podporządkowane metropolii gnieźnieńskiej. Ja jestem winny, bo nie potrafiłem jej utrzymać przy Polsce. Ja, przez potomnych zwany Rogatką, Łysym, Srogim, Cudacznym. Nawet zakałą rodziny. A nie pamiętają, kto pierwszy w Polsce na dzień świętego Macicja roku 1243 zwołał do Lwówka rycerzy i urządził turniej identyczny jak te, które na dworach niemieckich były organizowane. Nie wiedzą pewnie, że jam nakazał uporządkować handel mięsem we Wrocławiu. Jam postanowił zbudować gród obronny w Kopanicy.

- Mówią, że Książę zdradzał swoją drugą żonę Eufemię, córkę księcia pomorskiego Sambora?

- Czego to ten klecha Długosz o mnie nie nabazgrał?... Może jedną czy dwie noce spędziłem w łożu połowicy któregoś z moich rycerzy. Jak mi się niewiasta podobała, nie udawałem pobożnego jak mój ojciec. A wypiwszy dzban wina czy antałek przedniego miodu, zdarzało się, że zapominałem, o tej której ślubowałem miłość i wierność małżeńską.

- Wróćmy do pożyczki pieniędzy od arcybiskupa.
- Wszystko już wyjaśniłem jak na spowiedzi wielkanocnej.

- Powiadają, że pieniądze Książę pożyczył od Wilbrandta nie tylko na wojnę z braćmi.
- Znowu ten klecha Długosz czy może Piotr z Byczyny?

- Współczesny mi pisarz Zbigniew Kozłowski z Żar podaje, że za niemało pieniędzy pożyczonych od arcybiskupa dał książę prezenty swojej kochanicy.
- Musiałem, w przeciwnym razie Zośka, ta moja gołąbeczka najdroższa, ta... poszłaby do łożnicy któregoś z moich braci, a na to ja, książę legnicki, głogowski, lubuski...

- Dzielnicą głogowską już władał Konrad, a na Ziemi Lubuskiej panowali Brandenburgowie.
- Masz rację, skrybo. A ja ciągle nie mogę zapomnieć, że po śmierci mego ojca byłem panem nie tylko całego Śląska, lecz i Małopolski, i nawet połowy Wielkopolski.

- Kronikarze piszą, to na korzyść, że Książę nie dał się zniemczyć.
- O, to dobrze, to dobrze. A długo jeszcze będą przypominali, żem nikczemnik, który przehandlował Ziemię Lubuską?

- Tego nigdy Księciu nie zapomną.

Święta Jadwiga Śląska, babka Bolesława Rogatki

Urodziła się około 1178, zmarła 14 października 1243 r. Pochodziła z rodu bawarskiego Andechsów. Jej siostra, Gertruda, była żoną króla węgierskiego Andrzeja II. Na Śląsk przybyła, gdy miała dwanaście lat. Już wtedy jej rodzice zdecydowali, że zostanie żoną śląskiego Piasta Henryka, nazwanego później Brodatym. W tym małżeństwie miała siedmioro dzieci, wśród nich Henryka, zwanego potem Pobożnym, ojca Bolesława Rogatki. W 1209 r. złożyła śluby czystości i żyła jak zakonnica u boku swego męża. Była patronką pojednania, zajmowała się chorymi, wspierała biednych. W 1217 r. sprowadziła augustianów do Nowogrodu. Z jej inicjatywy powstał klasztor cystersek w Trzebinicy. Tam mieszkała w ostatnich latach swego życia, tam zmarła i tam została pochowana. 16 sierpnia 1267 r. papież, Klemens IV, kanonizował ją w kościele dominikanów w Viterbo. Dwa lata później kapituła generalna cystersów ustanowiła święto św. Jadwigi 15 października. Jest czczona jako patronka Polski i Śląska. Przedstawiana jest w habicie cysterskim. W jednej ręce trzyma obuwie, w drugiej model klasztoru i kościoła.
To pod jej wezwaniem jest konkatedra, najstarszy kościół w biskupiej Zielonej Górze.

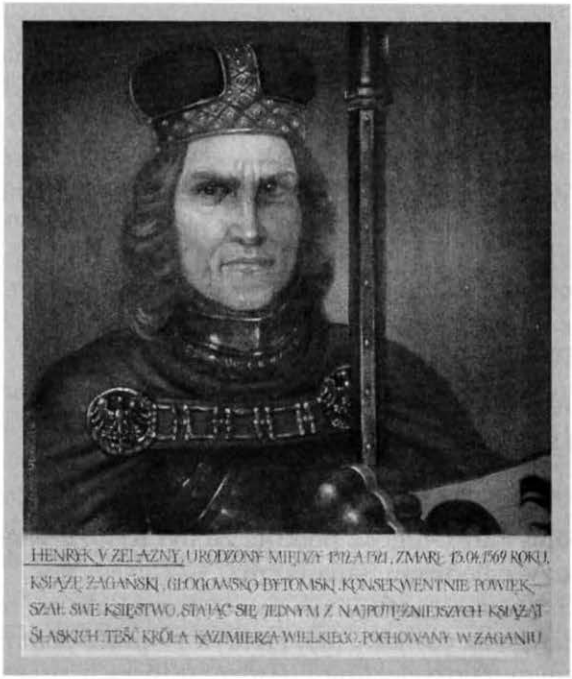

Henryk V Żelazny – podobizna pędzla Ireny Bierwiaczonek – z kolekcji Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze

Henryk V Żelazny

Urodził się między 1312 a 1321 r., zmarł 13 kwietnia 1369 r. w Żaganiu. Został pochowany w żagańskiej nekropolii Piastów w kościele Mariackim. Starał się odzyskać utracone ziemie księstwa, m.in. głogowską, wschowską, ścinawską. Ze związku z Anną, córką księcia płockiego Wańki, miał Jadwigę, którą wydał za króla Kazimierza Wielkiego, córkę Annę i trzech synów o tym samym imieniu Henryk.

KRÓLEWSKIE WESELE

Rozmowa z księciem Henrykiem V Żelaznym, władcą żagańskim i głogowskim

- Dziejopis Jan Długosz podaje, że był Książę władcą zaczepnym, bezwzględnym, surowym.

- Słabych i niezdecydowanych nawet przyjaciele nie mają woli słuchać. Dlatego to, co ojciec mój Henryk IV przez potomnych nazwany Wiernym, założyciel linii Piastów żagańskich, utracił, za wszelką cenę odzyskać postanowiłem. I nie tylko terytoria w Wielkopolsce i na Śląsku, ale i te wydarte moim dziadom na Ziemi Lubuskiej, a nawet na Mazowszu, aby księstwo żagańsko-głogowskie co najmniej równe innym było.

- Czy się udało?

- Nie wszystko. Musisz, skrybo, wiedzieć, że pretensje do Śląska zgłaszał władyka niemiecki Ludwik Wittelsbach i król czeski Jan Luksemburski. Ojciec mój został lennikiem Czechów, to i księstwo o okręg wschowski powiększył. Ja odmówiłem złożenia hołdu królowi Janowi i zwrotu połowy Głogowa domagałem się stanowczo. Gdy Czech odmawiał mi prawa do utraconego po śmierci stryja terytorium, mieczem je wydrzeć postanowiłem.

- A więc wojna?

- Wojna!

- Przecież Książę był z góry skazany na porażkę.

- Kto w zwycięstwo nie wierzy, nie jest godny stąpać po świętej ziemi, naszej rodzicielce i matce nadziei. Za mną, skrybo, był Stwórca. On widział, jaka niesprawiedliwość się działa, gdy mnie z ziemi rodzinnej Czech wypędził i do złożenia hołdu przymuszał. Jego ziemi się nie domagałem, swoje, piastowskie z dziada pradziada odzyskać pragnąłem i być władyką jedynie od Boga wszechmogącego zależnym, a nie od człowieka.

- Nie zdawał sobie Książę sprawy z tego, że rosnący w siłę król Polski, Kazimierz Wielki, też wyprawi się po swoje ziemie?
- Z jednym wrogiem może bym sobie poradził, wszak moi rycerze w żelazo zakuci, zręczni, odważni i silni nie takich jak Czesi pokonywali. Dwóch przeciwników jednocześnie nawet cesarz niemiecki by nie pokonał. To i król polski odebrał mi Wschowę. Nie przeczę, okręg ten dziad mój Henryk III zwany Głogowskim zajął, gdy Władysław Łokietek z Krzyżakami walczył.

- Wschowa zawsze należała do Królestwa Polskiego.
- Mógł miłościwie panujący w Krakowie Kazimierz Wielki odbić miasto i ze mną w zgodzie żyć. A on po zagarnięciu tam niemałej liczby jeńców, jak podaje Długosz, „poprowadził wojsko do księstwa żagańskiego. Nadto kazał możliwie najdalej rozprzestrzenić pustoszenie osiedli, wsi i wszelkich znanych miast, a grody i mniejsze miasta ograbić i spalić". Tak postąpił jeden Piast na terytorium drugiego Piasta w chwili, gdy ten z królem czeskim się mocował.

- Co wtedy Książę zrobił?
- Wolałem być poddanym króla polskiego niż Czecha, tym bardziej że w żyłach naszych ta sama piastowska krew płynęła.

- I mimo to złożył Książę hołd Luksemburczykowi?
- Złożyłem, ale nie bezinteresownie. Czech zwrócił mi połowę księstwa głogowskiego, o którą od śmierci ojca mego walczyłem.

- A kiedy w 1345 r. wybuchła wojska polsko-czeska o Śląsk stanął Książę, Piast przecież, po stronie Czecha, przeciw Piastom.

- Militarnie króla czeskiego wsparłem, wszak ten obiecywał mi pomoc w odzyskaniu utraconej Wschowy. Do tego czasu udało mi się znacznie poszerzyć granice księstwa o Nowogród nad Bobrem, Ryczeń, połowę Ścinawy, Międzyrzecze, połowę Góry. Na Śląsku byłem władcą, z którym pozostali Piastowicze musieli się liczyć. A i w polityce zagranicznej króla czeskiego niebagatelną rolę odgrywałem. To mnie z misją dyplomatyczną aż do Konstantynopola Luksemburczyk posłał, skąd przy Boskiej pomocy wybrałem się z pielgrzymką do Ziemi Świętej.

- Po latach uważanych za tłuste pogorszyły się jednak stosunki Księcia żagańskiego z królem czeskim.

- W roku Pańskim 1360 Karol IV, następca Jana Luksemburczyka, przez świdnickiego Bolka namówiony, chciał zmienić granice księstw śląskich, jego, pana na zamku w Świdnicy, potężniejszym ode mnie władyką czyniąc. To miało oznaczać utratę części moich terytoriów. Nie mogłem pozwolić, żeby mnie, tak wiernie służącego władyce czeskiemu, tenże ograbił. To i na dworze praskim przestałem bywać, dając tym sposobem do zrozumienia Czechowi, jak wielce mnie skrzywdził. Zdawałem sobie sprawę, że sam, choćbym miał trzy księstwa żagańskie, nie poradzę, do innego, większego władyki muszę się zbliżyć. Wyboru nie miałem, wszak był tylko cesarz Niemiec, przed uznaniem którego za protektora i sojusznika nawet zwyczajni kmiecie mnie ostrzegali, i król polski w Krakowie. Jak już wspomniałem: Kazimierz Wielki, syn Władysława Łokietka, i ja, syna Henryka Wiernego, który z tytułu dziedzica Królestwa Polskiego zrezygnował, pochodziliśmy z rodu Piasta.

- To i zaczął Książę bywać na dworze krakowskim.

- Nie sam, a z doradcami, raz nawet Jadźkę, córę moją najstarszą, na Wawel zabrałem. Jak na świętej spowiedzi przyznam, że w tym swój cel miałem, choć przestrzegano mnie, abym uważał na niego, bo to miłośnik niewieścich wdzięków wielki. Kiedy w roku 1329 Władysław Łokietek powierzył mu misję dyplomatyczną na Węgrzech, a miał ci on dopiero dziewiętnaście roków, córę tamtejszego dostojnika, Klarę Zach, uwiódł. Szybko ożenił się z Aldoną, córką księcia litewskiego Gedymina. Po jej rychłej śmierci za żonę pojął Małgorzatę, córkę Jana Luksemburskiego, ta po miesiącu

małżeństwa oddała Panu duszę. Za trzecią żonę heską Adelajdę sobie wziął, jednak bezpłodna była. To ją porzucił dla krótkiej miłostki z wdową po rajcy praskim Krystyny Rokiczanki.

- Do historii przeszedł romans Kazimierza z Cudką, żoną dworzanina królewskiego Niewierzy z Gałowa.

- Skryba tobie współczesny, gościu mój, Zbigniew Kozłowski tak ją opisuje: „Długie, jasne włosy okalały śliczną twarzyczkę, wielkie błękitne oczy promieniały barwą nieba, przepiękne usta wabiły karminem, a wiotka kibić tak kusiła..." Cudka trzech synów królowi dała, których Kazimierz się nie wypierał, a w testamencie nawet hojnie ich obdarował. W jego bujnym życiu miłosnym była też Żydówka z krakowskiego Kazimierza o imieniu Esterka, miał z nią kilka cór.

- Książę wiedział o tym i godził się oddać Kazimierzowi swoją córkę?

- Tu nie o moje dobro, a o dobro księstwa chodziło. Tak długo mogłem władać ziemią żagańską i głogowską, jak długo pozwalali mi na to potężniejsi ode mnie sąsiedzi. Jako protektora i sprzymierzeńca nie Niemca, nie Czecha, a króla polskiego wybrałem. Za tę opiekę wysoką cenę zapłacić musiałem. Zresztą, gdybym Jadźki za króla nie wydał, to zostałaby żoną jakiegoś pomniejszego księcia i jeszcze musiałbym ją sowicie wywianować. A tak imię jej zapisała historia, jako żony władyki, który zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Liczyłem też na to, że ze związku Kazimierza z Jadźką będą się rodzili synowie, przyszli królowie Polski, a może i innych narodów. Pan Bóg chciał jednak inaczej. Trzy córy Jadźka swemu mężowi dała.

- Nie czuł się Książę źle z tym, że ma zięcia starszego od siebie o dwa lata?

- To nie ze mną Kazimierz się żenił, a z córą moją i jej ślubował wierność. Byłem mu wdzięczny za to, że należycie mnie traktował i wspierał na ziemi książęcej.

- Ile lat miała księżniczka Jadwiga, kiedy została czwartą żoną króla?

- Na świat przyszła przed rokiem Pańskim 1350. Ślub odbył się 25 lutego, trzynaście roków później. Bardzo młoda była, prawda, ale już kobiecych kształtów nabrała i z dworem królewskim obyta, bom ją na praski zamek zabierał. Niechętny śląskim Piastom Jan Długosz pisze, że moja Jadźka była „dziewczyną godną uwagi zarówno, gdy chodzi o urodę, jak i obyczaje".

- A jaka była różnica wieku między małżonkami?
- Kazimierz już posiwiał, ale był niczym tur, chociaż szedł mu 53 rok, Jadźka skończyła 13. Dzieliło ich 40 roków.

- Gdzie młoda para ślubowała sobie wierność i uczciwość małżeńską?
- Jak zwyczaj królewski każe, w zapusty na ziemi ojca panny młodej ślub się odbył. A ponieważ Wschowa miastem i królewskim, i książęcym była, postanowiłem wydać Jadźkę we Wschowie. Arcybiskup gnieźnieński Jarosław Bogoria ze Skotnik udzielił młodej parze cichego ślubu we wschowskim kościele parafialnym. Świadkami byli biskupi, możni Śląska, Mazowsza, Wielkopolski, Małopolski i Rusi, wysłannicy zaprzyjaźnionych władców i nuncjusza papieskiego. Niejako w tajemnicy przed ludem i papiestwem ten ślub się odbył.

- Wesele też było w tajemnicy?
- Ciche było, chociaż nie tak skromne, wszak wydawałem pierworodną, w dodatku za władykę państwa, który powiększył jego obszar dwukrotnie. A i za namową kanclerza krakowskiego przy mojej pomocy zamiar miał odzyskać Ziemię Lubuską, Pomorze, odbić grody w Santoku i Drezdenku, potem może i Nową Marchię aż po Odrę zająć.

- A gdzie Książę wydał ucztę weselną?
- Na biesiadowanie gości zaprosiłem do wschowskiego zamku, zbudowanego już za panowania Kazimierza i na czas uroczystości specjalnie wystrojonego. Mięsiwa wszelakiego było pod dostatkiem, wszak jeleni, danieli, zajęcy, sarn i dzików w lasach mojego księstwa nie brakowało. Dla panów krakowskich przygotowano jadło wykwintne, takie jak mistrz Mikołaj Wierzynek był podawał wła-

dykom na zjeździe królów i książąt europejskich. Ryba faszerowana w sosie szafranowym, gęś przyrządzana z migdałami w sosie, kurczęta z farszem suto przyprawionym rodzynkami. W miodzie syconym goście mogli się kąpać. Beczki wina nie gorszego niż mozelskie czy reńskie, sprezentowali winoogrodnicy z Zielonej Góry. Dla pospólstwa i mieszczan, których delegatów kazałem zaprosić na ucztę było piwo z Grodziska.

- Młoda para siedziała przy specjalnie udekorowanym stole?
- Król się żenił, skrybo, król z Krakowa. Nie książę. Polski dwór w Europie uchodził za jeden i z najbardziej wykwintnych, coś o tym wiem, bom na dworze praskim i osmańskim bywał. Weselny stół pary młodej na wschowskim zamku czterema obrusami nakryty był, a na nim kosztowne naczynia stały.

- Co na to papież błogosławiony Urban V? Przecież jeszcze żyły dwie poprzednie żony królewskie?
- Kazimierz wielce się starał o unieważnienie związków z heską Adelajdą i Krystyną Rokiczanką. Gdyby któraś syna mu dała, wyczekiwanego następcę tronu, pewnie moja Jadźka królewską żoną by nie została. Nikt nie zaprzeczał, że Kazimierz bigamistą był, ale czy on pierwszy? Pewnie, skrybo wiesz, ile żon miał Jan Luksemburski. Wzorem średniowiecznego myślenia nie był syn jego Karol IV, który dla chwały damy na turniejach by się potykał. Papież może i by unieważnił poprzednie królewskie małżeństwa, gdyby nie jeszcze jedna przeszkoda kanoniczna.

- Jaka?
- Kazimierza i Jadźkę łączyło pokrewieństwo czwartego stopnia. To dodatkowo uniemożliwiało udzielenie dyspensy papieskiej.

- Kazimierz i Jadwiga czekali na zgodę papieża?
- Po ślubie i koronacji Jadźka w królewskich komnatach zamieszkała, tam trzy córki, a moje wnuczki wydała na świat: Annę, Kunegundę i Jadwigę. Starzejący się Kazimierz ciągle na syna czekał. Na dworze krakowskim szeptano, że to kara Boża za grzech rozpusty, bo z nieprawego łoża król synów miał, a w prawowitych związkach rodziły się same córki.

- Czy doczekał się uznania związku z Jadwigą?
- Pięć lat krakowscy wysłannicy przekonywali papieża, Urbana V, aby poprzednie małżeństwa Kazimierza unieważnił. Po to w nie jako władyka Królestwa Polskiego wstępował, aby żony synów mu rodziły. Dopiero w 1368 roku Ojciec Święty udzielił dyspensy Kazimierzowi na jego małżeństwo z Jadźką.

- Kazimierz był ostatnim królem Polski z rodu Piasta.
- Tak chciał Bóg. Krew piastowska jednak nadal płynęła w królewskich żyłach. Musisz skrybo wiedzieć, że po śmierci królowej Jadwigi, tej najbardziej kochanej przez naród, Władysław Jagiełło pojął za żonę moją prawnuczkę Annę, hrabiankę cillijską, wnuczkę Kazimierza i mojej Jadźki.

- Dziękuję Księciu za pouczającą rozmowę.

Książęta piastowscy Śląska lubuskiego

Henryk I Brodaty (między 1165 a 1170-1238) – książę śląski, wielkopolski i krakowski, pan Ziemi Lubuskiej i Marchii Łużyckiej

Henryk II Pobożny (między 1191 a 1204-1241) – książę śląski, wielkopolski i krakowski

Bolesław II Rogatka (między 1220 a 1225-1278) – książę śląski i wielkopolski; protoplasta linii książąt legnickich

Konrad I (między 1228 a 1231-1273) – książę głogowsko-bytomski i głogowski, pan Krosna

Henryk III Głogowski (między 1251 a 1260) – książę śląski, głogowski, żagański, wielkopolski, pan Wschowy

Konrad II Garbaty (1252 a 1260-1304) – książę żagański, pan Ścinawy i Lubina

Przemko (między 1255 a 1265-1289) – książę żagański, ścinawski i szprotawski

Henryk IV Prawy (ok. 1258-1290) – książę wrocławski i ścinawski, pan Ziemi Krośnieńskiej

Henryk IV Wierny (między 1289 a 1295-1342) – książę głogowski, żagański i poznański; założyciel linii Piastów żagańskich

Jan Ścinawski (między 1296 a 1300-1361) – książę głogowski, żagański, ścinawski i poznański

Przemko II (między 1300 a 1308-1331) – książę głogowski, żagański i poznański

Bolko II Mały (1308 (?) - 1368) – książę głogowski, ścinawski, jaworski, oławski, brzeski, siewierski, margrabia Marchii Łużyckiej

Henryk V Żelazny (między 1312 a 1321-1369) – książę głogowski i żagański

Henryk VI Starszy (ok. 1345-1393) – książę żagański, krośnieński i świebodziński

Henryk VII Średni Rumpold (ok. 1350-1394) – książę głogowski, ścinawski i górowski

Henryk VIII Młodszy Wróbel (między 1357 a 1363-1397) – książę głogowski, żagański, zielonogórski i szprotawski

Henryk IX Starszy (między 1387 a 1392-1467) – książę głogowski, kożuchowski, krośnieński i lubiński

Henryk X Młodszy Rumpold (między 1388 a 1396-1423) – książę kożuchowski i głogowski, pan Zielonej Góry

Jan I Żagański (ok. 1385-1439) – książę żagański
Henryk XI (między 1429 a 1435-1476) – książę głogowski i krośnieński; ostatni piastowski książę z linii głogowskiej
Baltazar (ok. 1412-1472) – książę żagański
Rudolf (między 1411 a 1418-1454) – książę żagański
Wacław (między 1420 a 1434-1488) – książę żagański
Jan II Szalony (1435-1504) – książę żagański i głogowski; ostatni piastowski książę Głogowa

Ks. bp Teodoryk von Bülow – autor nieznany – reprodukcja podobizny z pracy doktorskiej Marka Golemskiego

Ks. bp Teodoryk von Bülow

Nieznana jest data jego urodzenia, zmarł 1 października 1523 r. Kapituła katedralna w Lubuszu wybrała go na biskupa lubuskiego na polecenie margrabiego brandenburskiego. Zdaniem ks. prof. Piotra Niteckiego, był gorliwym duszpasterzem, który zaopatrywał kościoły w drukowane księgi liturgiczne. Ten sam uczony podaje, że jako rządca diecezji przyczynił się do utworzenia uniwersytetu Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. Sprzedał dobra biskupie leżące po polskiej stronie, osłabiając w ten sposób związek diecezji lubuskiej z metropolią gnieźnieńską.

KOŚCIÓŁ NAD VIADRINĄ

Rozmowa z ks. bp. Teodorykiem von Bülowem, 31. biskupem lubuskim

- Jedna z hipotez przypisuje powstanie biskupstwa lubuskiego Mieszkowi I już w 966 r. Jest też teoria, że powstało ono na Rusi i stamtąd zostało przeniesione nad Odrę.

- Któryś z dziejopisów był rzekł, jakoby wielki władca Sklawinii Bolesław Chrobry, świeć Panie nad jego duszą, miał je utworzyć w miejsce upadłego biskupstwa kołobrzeskiego. To jedynie domysł. Ksiądz profesor Anzelm Weiss z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego zapewnia, że początek biskupstwa w Lubuszu (Leubus) przypada na lata 1124-1133, kiedy to państwem Polan władał król Bolesław zwany Krzywoustym. Na jego miłą sercu Ojca Świętego prośbę papież Kalikst II upoważnił kardynała Idziego z Tuskulum do utworzenia nowej prowincji kościelnej obejmującej ziemie Lutyków.

- Dlaczego akurat Bolesławowi Krzywoustemu przypisuje się utworzenie tej diecezji?

- Ziemie po obu stronach Odry tymi były, o które już Mieszko I toczył bój. Pod Cedynią wespół z drużyną brata swego Czcibora pokonał zbrojnych margrabiego Hodona. Syn jego w królewskiej koronie Bolesław je zdobył i przyłączył do monarchii Polan. Ale dopiero Bolesław Krzywousty mądrością swą zdobył zaufanie władców słowiańskich między Sprewą a Odrą. To on za jeden z najbardziej skutecznych środków integracji Zaodrza uznał tworzenie katolic-

kich diecezji. Nie gdzie indziej, ale w Kościele powszechnym upatrywał sprzymierzeńca w scalaniu Słowian. I się nie mylił, aczkolwiek żywioł niemiecki ciągle stawał mu na drodze.

- Król Bolesław wskazał Lubusz jako stolicę biskupią, a mógł wybrać Międzyrzecz, gdzie w 1003 r. zostali zamordowani zakonnicy zwani Braćmi Międzyrzeckimi.

- Ten nadzwyczaj przebiegły władca zakładał siedziby biskupie w nadgranicznych grodach, skąd miały one oddziaływać na terytoria nieschrystianizowane. Lubusz obrał dlatego, że jego zamiarem było powiększenie monarchii piastowskiej o księstwo Sprewian oraz o Barnim i Teltow.

- Nikt nie zna dokładnej daty utworzenia biskupstwa w Lubuszu? Nie chce mi się wierzyć, że w archiwum diecezjalnym nie zachowała się bulla papieska.

- Mnie o żadnym akcie powołującym tę administrację nic nie wiadomo. W przybliżeniu można ustalić, kiedy to z woli Ojca Świętego się stało. Na pewno było to po roku Pańskim 1123, albowiem w spisie biskupstw duńskich, szwedzkich, norweskich i polskich z tegoż czasu wymieniono jedynie Gniezno, Poznań, Kraków, Wrocław i Płock. W 1133 r. dziejopisarz Jan Długosz wspomina biskupa lubuskiego Bernarda na uroczystości poświęcenia kościoła Norbertanek w Strzelnie.

- Co Wasza Ekscelencja wie o pierwszym biskupie lubuskim?

- Poza tym, że czcigodny ojciec Bernard pochodził z Hiszpanii, z zakonu benedyktynów, nic. Powiadano, jakoby odbył wyprawę misyjną na Pomorze Zachodnie, gdzie święty Otton z Bambergu akcję ewangelizacyjną prowadził. Monarcha Krzywousty zamierzał poszerzyć granice administracji lubuskiej aż na wyspę Rugię. Trudno mi to przyjąć bezkrytycznie, albowiem inny plan zakładał rychłe utworzenie biskupstw w Szczecinie i Kamieniu Pomorskim.

- Komu podlegała nowa diecezja w Lubuszu: metropolii magdeburskiej czy gnieźnieńskiej?

- W tej sprawie też pewności nie ma. Zygmunt Gloger twierdzi, że Bolesław Krzywousty uzyskał zgodę Ojca Świętego, aby admini-

stracja lubuska była pod Gnieznem. Pretensje do niej rościli arcybiskupi magdeburscy. Wygląda na to, że jednak oni byli faktycznymi zwierzchnikami duchownych lubuskich.

- Jaki to ma związek z Bolesławem Rogatką?

- Ano taki, że ów książę śląski i lubuski, przez wrogów zwany Cudacznym, ze swoimi braćmi i kuzynami wojował. A że hulaszcze życie prowadził, był biedny jak mysz kościelna. Pożyczkę wyprosił u arcybiskupa magdeburskiego Wilbrandta w roku Pańskim 1249, dając w zastaw połowę Ziemi Lubuskiej. Gdy rok później Rogatka nie oddał długu, arcybiskup odstąpił lubuskie grody i osady margrabiemu Ottonowi III Askańczykowi. To był początek końca księstwa lubuskiego i marzeń potomków Mieszka I o wielkim państwie słowiańskim po obu brzegach Viadriny. Odtąd Brandenburgowie będą parli na wschód, tworząc Nową Marchię.

- Diecezja lubuska była uboga, wszak ziemia nadodrzańska jałowa, bogactw naturalnych żadnych, za to dużo lasów i jezior. Niewielu duchownych chciało nią zarządzać.

- Toteż polscy monarchowie uciekali się do forteli, żeby zachęcić ich do niesienia posługi Bożej. W roku Pańskim 1232 oddali przebywającemu na wygnaniu biskupowi Wawrzyńcowi dobra opatowskie na ziemi sandomierskiej. Zygmunt Gloger podaje, że już wtedy w ich posiadaniu były Biskupice pod Sandomierzem. Stamtąd Lubuszanie mieli chrystianizować Ruś. O tym, że Opatów mógł być drugą stolicą biskupstwa lubuskiego świadczy zajmująca wyjątkowe miejsce wśród zabytków romańskich w Polsce tamtejsza kolegiata. Dziejopisarz Długosz wysnuł wniosek, że była to świątynia katedralna, a więc kościół biskupi. Pewnikiem należał do ordynariusza lubuskiego.

- Czy są dowody na to, że władza biskupów lubuskich sięgała aż na Ruś?

- Jego Świątobliwość Aleksander IV podporządkował Kościół w księstwie halickim biskupom lubuskim. Ich stolicą był Włodzimierz Wołyński, gdzie, jak twierdził biskup Stefan, jego poprzednicy rezydowali. Mało tego, nawet usiłowali ustanowić metropolię łacińską w prawosławnym Kijowie. Dopiero Ojciec Święty Grzegorz XI

zawrócił ich z tej samozwańczej drogi. Innym dowodem na chrystianizację Rusi halickiej przez duchownych z Lubusza był przywilej umożliwiający im nadawanie miejscowościom ruskim prawa niemieckiego. Przywilej ten lubuscy biskupi otrzymali od księcia Leszka Czarnego.

- W 1250 r. Brandenburczycy przejęli we władanie Ziemię Lubuską. Co się wtedy działo w lubuskim Kościele?

- Zaczyna się najwspanialszy okres dla tej ziemi, ale trudny dla tutejszego Kościoła, mającego 174 parafie. Wprawdzie dopiero w roku Pańskim 1424, za Jana V von Waldolwa, diecezja formalnie zostanie podporządkowana arcybiskupom magdeburskim, ale już znaczenie Lubusza maleje. A dzieje się tak dlatego, że w kurii biskupiej jest coraz więcej duchownych brandenburskich.

- I dlatego, mający niewielki wpływ na administrację kurialną, polscy duchowni w 1276 r. przenoszą stolicę biskupią na prawy brzeg Odry do Górzycy?

- To już były konsekwencje ciągu niekorzystnych zdarzeń dla diecezji. Lubuscy i śląscy duchowni mieli coraz mniejsze znaczenie na pograniczu, władzę przejmowali duchowni germańscy wspierani przez Brandenburgów. Przeniesienie stolicy biskupiej do niewielkiej Górzycy odbyło się na życzenie arcybiskupa magdeburskiego. Na ponad sto lat duchowni lubuscy stracili wpływ na znaczenie Kościoła po obu stronach Odry. Od tego czasu będzie już coraz mniej polskiej mowy, a więcej rządów germańskich, bowiem Niemcy coraz śmielej czuli się panami tej ziemi.

- Po Górzycy aż do końca istnienia diecezji stolica biskupia była w Przyborze nad Sprewą, przez Niemców nazywanym Fürstenwalde. Dlaczego biskupi nie wrócili do Lubusza?

- Jak już mówiłem, pod koniec XIII wieku podupadło polityczne i gospodarcze znaczenie Lubusza. Jego miejsce zajął Frankfurt, po słowiańsku zwany Frankobrodem. W dodatku podczas wojny czeskich Luksemburczyków z Wittelsbachami o panowanie nad Brandenburgią została spalona matka lubuskich kościołów, jaką była katedra w Lubuszu. Po powrocie siedziby biskupiej za Odrę, diecezja została oficjalnie podporządkowana arcybiskupowi magdeburskiemu.

- I od tego czasu przestała mieć jakiekolwiek znaczenie kapituła katedralna? Biskupów mianowali margrabiowie.
- A co w tym złego? Przecież większość wierzących to podwładni margrabiów brandenburskich. Margrabiowie wyznaczając ordynariuszy mieli wpływ nie tylko na życie świeckie, lecz i kościelne. W ten sposób Marchia po obu stronach Odry bogaciła się szybciej niż Wielkopolska czy Śląsk.

- Ekscelencja mówi to z przekonaniem?
- Niezbadane są wyroki Opatrzności. Proszę pamiętać, że tak jak w żywiole polskim od wieków istnieje parcie na zachód, w żywiole niemieckim zawsze było parcie na wschód. Gdyby tych żywiołów nie dzieliła rzeka Viadrina, żywioł polski byłby tym, czym stał się żywioł łużycki. Czyli wysepką na germańskim morzu.

- Ta łużycka wysepka nigdy nie znikła z mapy Europy. Trwa nadal.
- Bóg osądza nasze czyny, zanim zrobią to sąsiedzi.

- Diecezję ustanowił papież na prośbę władców polskich. Wasza Ekscelencja jako biskup lubuski bardziej służył dziełu polskiemu czy brandenburskiemu?
- Jest jeden Kościół powszechny. I tylko jemu służyłem, mając nad sobą władzę Ojca Świętego i arcybiskupa magdeburskiego. A co w tym złego, że czasem wspierałem margrabiów brandenburskich? Jako German przecież zostałem ochrzczony, ta nacja zawsze była mi najbliższa. Ze słabymi nikt nie zawiązuje sojuszy, a Polacy na środkowym Nadodrzu byli słabi, nie radzili sobie z dobrami danymi przez Pana. Cywilizację zaszczepili tu cystersi, koloniści, osadnicy z zachodniej Europy.

- Chyba nie lubił Ksiądz Biskup polskich wiernych.
- Robiłem to, co ślubowałem Kościołowi. Osądzać moje czyny powinna Opatrzność, a nie człowiek.

- Do czasu, kiedy pojawi się Marcin Luter, w Kościele katolickim zajdą zjawiska powszechnie krytykowane.
- Kościół się zmienia, bowiem kierują nim tylko ludzie. Ludzie omylni. Spośród ludzi jedynie Ojciec Święty jest nieomylny, ale

wyłącznie w kwestii wiary. Cóż, bywały czasy rozdwojenia, kiedy jeden wybrany na ziemskiego namiestnika Chrystusa był w Rzymie, drugi w Awinionie. Obrzucali się nawzajem klątwami, a duchowieństwo zamiast zajmować się obowiązkami kościelnymi, oddawało się sprawom politycznym i gromadziło majątki.

- Żądania reformy Kościoła hierarchowie traktowali jako atak na wiarę?
- Powiedzmy delikatnie: zdawano sobie sprawę z takiej konieczności, lecz odsuwano ją w czasie.

- Wtedy pojawił się w Czechach Jan Hus. Nie obawiali się biskupi lubuscy, że ruch husycki ogarnie Ziemię Lubuską?
- Była garstka, która zerwała z Kościołem. Większy zasięg miał husytyzm w Królestwie i na Litwie. Tam za cenę zerwania z Niemcami dochodziło nawet do przyłączenia Czech do Korony. Ruch husycki skończył się wielką klęską: spaleniem Jana Husa na stosie. Kto bowiem podnosi rękę na dzieło Boże, kończy swój cielesny żywot w męce.

- A w wigilię Wszystkich Świętych 1517 r. Marcin Luter przybił na drzwiach kościoła zamkowego w Wittenberdze 95 tez „w celu wydobycia prawdy". W tym czasie Ekscelencja był rządcą diecezji lubuskiej.
- Nie spodziewałem się, że tezy Lutra zostaną potraktowane jako próba wprowadzenia zmian w Kościele powszechnym. Nie był on pierwszym, który miał odwagę wystąpić z zastrzeżeniami przeciw nieomylności w rzeczach wiary papieża i soboru. Przyznam się, że tak ja, jak i bracia moi w Bogu zlekceważyli nawoływania tegoż mnicha do krytyki służby papieskiej. Myliłem się wielce, wszak niebawem ziarno zasiane przez Lutra najpierw zaczęło kiełkować w umysłach książąt niemieckich, a potem ich poddanych. O ile wiem, on sam schronił się u księcia saskiego Fryderyka w Wartburgu. W mojej diecezji idee Lutra nie przyjęły się.

- Ksiądz profesor Weiss podaje, że jednak Biskup lubuski przyczynił się do wzrostu popularności Lutra wśród mieszczan marchijskich?
- Ja?... Uchowaj Panie Boże! A w jakiż sposób?

- Wasza Ekscelencja kazał skrupulatnie ściągać należności kościelne i procenty z pożyczonych mieszczanom sum.
- Cudzego nie brałem. Postępowałem zgodnie z obowiązującym prawem. Zresztą był to majątek na chwałę Pana naszego i świętego Kościoła.

- Tyle że ubogą szlachtę marchijską raziło bogactwo rządcy diecezji. Raziło ją też to, że Ekscelencja miał zgubny wpływ na politykę schorowanego elektora Joachima I Nestora.
- I może powtórzysz jeszcze, synu, że wyrazem tej niechęci był napad rycerza Mikołaja Minkwitza na miasto biskupie Przybórz (Fürstenwalde)? Tego grzechu nigdy mu nie odpuściłem. Wszak kto podnosi rękę na sługę Bożego, zachowuje się tak, jakby podnosił ją na jego braci i siostry w wierze.

- Wspomniany już ksiądz profesor Weiss nie ukrywa, że po zgonie Ekscelencji gminy protestanckie powstały we wszystkich miastach marchijskich.
- W roku Pańskim 1539 elektor Joachim II Hektor oficjalnie przystąpił do protestantyzmu. Dwaj kolejni biskupi lubuscy Jerzy von Blumenthal i Jan VII Horneburg rozpaczliwie bronili wiary katolickiej i porządku kościelnego w Marchii. Ich sprzeciwy wobec rządów margrabiów były bezskuteczne.

- Ostatnim rządcą był książę Joachim Fryderyk Hohenzollern, powołany na ten urząd przez margrabiego Jana z Kostrzyna, gdy miał zaledwie 17 lat.
- Było to w roku Pańskim 1556. Rok później protestanci z Przyborza (Fürstenwalde) rozpędzili kapitułę, a to oznaczało koniec biskupstwa podporządkowanego Stolicy Apostolskiej. Wtedy też w diecezji lubuskiej wygasła katolicka służba Boża, bowiem katedrę przyborską zajęli luteranie.

- W 1945 r. prymas Polski kardynał August Hlond utworzył administrację apostolską kamieńską, lubuską i prałatury pilskiej z siedzibą ordynariusza w Gorzowie.
- Nawet kiedy formalnie nie istniała diecezja lubuska, Kościół sprawował opiekę nad lubuskimi katolikami. Najpierw obowiązki te

pełnił apostolski wikariat północy w Kolonii, potem diecezja w Padernborn i delegatura wrocławska na Brandenburgię i Pomorze Zachodnie.

- Jestem wdzięczny Waszej Ekscelencji za rozmowę.
- Bogu niech będą dzięki.

Biskupi lubuscy w latach 1133-1598

Bernard (1133-1141)
Stefan I (1148-1158)
Gaudenty (1180)
Przecław (1189)
Arnold (1191-1196)
Cyprian (1196-1201)
Wawrzyniec (1201-1233)
Henryk I (1233-1244)
Nanker (1248-1250)
Wilhelm I (1252-1273)
Wilhelm II z Lubusza (1274-1284)
Konrad I (1284-1299)
Fryderyk I (1308-1313)
Stefan II (1326-1345)
Apeczko Deyn von Frankenstein (1345-1352)
Henryk II Bencz (1353-1366)
Piotr I von Oppeln (1366-1392)
Wacław II Legnicki (1375-1382)
Jan von Kittlitz (1382-1392)
Jan II Frost (1392-1397)
Jan III z Borsznic (1397-1418)
Jan IV von Waldow (1420-1423)
Jan V von Waldow (1423-1424)
Krzysztof z Rotenham (1424-1436)
Piotr II von Burgsdorf (1437-1439)
Konrad II Kron (1440-1443)
Jan VI von Dreher (1443-1455)
Fryderyk II Sesselmann (1455-1483)
Liborius von Schlieben (1484-1486)
Ludwig von Burgsdorf (1487-1490)
Teodoryk von Bülow (1490-1523)
Jerzy von Blumennthal (1524-1550)
Jan VII Horneburg (1550-1555)
Joachim Fryderyk Hohenzollern (1555-1598)

Ks. Mikołaj Jakubica – autor nieznany – reprodukcja podobizny z pracy Jerzego Piotra Majchrzaka „Terra Sarovie", Zielona Góra 1996

Ks. Mikołaj (Miklawš) Jakubica

Urodził się w 1500 w Lubsku (?), zmarł w 1563 r. w Lipinkach Łużyckich (?). Należał do zgromadzenia augustianów w Żaganiu. W 1523 r. objął parafię w Lubanicach w państwie stanowym Żary - Trzebiel. Od 1540 r. przebywał w Kulowie na Górnych Łużycach, gdzie pracował nad pierwszym przekładem Nowego Testamentu na dialekt żarowski. Biblia zwana lubanicką albo Ewangeliarzem Jakubicy powstała w 1548 r., wydrukowana została dopiero w 1967.

BIBLIA LUBANICKA

Rozmowa z ks. Mikołajem Jakubicą, pastorem luterańskim, autorem pierwszego przekładu Nowego Testamentu na język dolnołużycki

- Jakiej Ksiądz Proboszcz był narodowości: niemieckiej, łużyckiej, może polskiej?

- Jako dziecko i młodzieniec myślałem, że wszyscy ludzie na całym świecie mówią: dźeń, gora, swajźba, zgło. Dopiero u augustianów dowiedziałem się, że na Górnych Łużycach to samo określano jako: źeń, hora, kwas, košlaw, a w Polsce: dzień, góra, wesele, koszula. W języku niemieckim oznaczało to: Tag, Berg, Hochzeit, Hemd. Tutejszy byłem, czyli na Dolnych Łużycach urodzony, w pobliżu miejscowości Żemr, potem znanej jako Lubsko. W młodości posługiwałem się tylko dialektem żarowskim. Tym samym, którym mieszkańcy Nemaszkleba, Lubenicz, Kralowa, Dobrawy, czyli wiosek koło Gubina, Lubska, Żar mówili.

- Mieszkał Ksiądz w państwie niemieckim i nigdy nie chciał być Niemcem?

- Nigdy. Gdy mnie pytano, skąd pochodzę, odpowiadałem: stąd jestem, gdzie przez lasy pełne pachnących jagód i grzybów Nysa przemyka, a bogobojni ludzie bardzo pracowici są. Skąd niedaleko do takich grodów jak Wratislavia, Budyšin czy Frankobród. Gdzie Słowianie przez Niemców nazywani Wendami żyją, a przez Polaków określani jako Łużyczanie. Moja kraina to Sorawia.

- Skąd się wzięli Łużyczanie na ziemi niemieckiej?
- Moi prapradziadowie tu przed Niemcami byli. Już w VI wieku plemiona łużyckie osiadły między Odrą, Bobrem i Kwisą na wschodzie a Sławą na zachodzie. Podczas wielkiej wędrówki ludów to się stało. Należymy do grupy zachodniej Słowian, tak jak Czesi i Polacy. Stąd między innymi pokrewieństwo językowe.

- Czesi i Polacy stworzyli swoje państwa, Łużyczanom to się nigdy nie udało. Czy próbowali?
- Zrozumieć trudno, dlaczego tak się stało. Prawdopodobnie przeszkodziły temu najazdy frankońskie i germańskie za panowania Karolingów. W X wieku, kiedy nastąpiła silna ekspansja wczesnofeudalnego państwa niemieckiego na nasze ziemie, było już za późno na własną państwowość. Odrębność Łużyczan klęską się kończy i utratą politycznej niezależności.

- Czyż nie jest to dziwne: nie ma państwa łużyckiego, ale trwa język, kultura, tradycja?
- Nasi ojcowie powiadali: Łużyczanie są i pozostaną po wsze czasy słowiańską wyspą na niemieckim morzu. To fenomen etniczny. Jak mawiają Łużyczanie: *To je Bozi dziw*. Zresztą podobne zjawisko występuje na Kaszubach.

- Co sprzyjało zachowaniu języka łużyckiego?
- Przede wszystkim powszechna niechęć wobec Niemców. Nie wszystkim Niemcom, tylko tym, którzy zgermanizować nas chcieli, czyli przede wszystkim możnym. To taka słowiańska cecha: im więcej wrogów mamy i ci wrogowie mocniej nas gnębią, tym bardziej zwarci i silniejsi jesteśmy. Tym wyraźniej naszą odrębność narodową podkreślamy. Twoi rodacy, skrybo, przecież nie tylko z pieśnią na ustach *Jeszcze Polska nie umarła* na odzyskanie niepodległości aż 123 lata czekali.

- W polskich warunkach ogromną rolę odegrał Kościół. Tym najistotniejszym spoiwem stała się religia katolicka.
- Identyczne zjawisko od wieków na Łużycach występuje. Kościół swoją uniwersalną religią sprawia, że ludzie w miłości do jednego Boga i jednej ojczyzny się jednoczą. Nie zawsze, ale często przeciw rządzącym to się obraca. Nasi duchowni swoimi prostymi, acz

mądrymi kazaniami przy każdej nadarzającej się okazji przypominali Łużyczanom, skąd się wywodzą, kim ich dziadowie byli, gdzie słowiańskich braci mają, kogo powinni unikać.

- Czy dlatego młodzieniec spod Lubska postanowił zostać duchownym?

- Do klasztoru augustianów w Żaganiu przyjęty zostałem na zasadzie: weźmiemy go, spróbujemy kształcić, a potem zobaczymy, czy zostanie proboszczem, czy tylko mnichem w zakonnym majątku pracującym. Na moje szczęście okazałem się łatwy do ukształtowania na obraz i podobieństwo Boże, toteż u augustianów biegle pisać i czytać się nauczyłem. A ponieważ z domu rodzinnego umiejętność mówienia w dialekcie żarowskim wyniosłem, wielebny opat Paweł wysłał mnie do dużej parafii w Lubanicach, przez miejscowych Lubenicz zwanej. To była wieś klasztorna.

- Co to znaczy: wieś klasztorna?

- Kościoły i kaplice, drogi, mosty i przepusty zakon budował, drukarnię miał, młodzież kształcił, a i utrzymanie potężnego klasztoru niemało kosztowało. Na to ściągał daninę ze wsi, które do niego należały. Stawy rybne, stawiał pasieki pszczele w tych wsiach zakładał, browary, młyny, winnice miał. Roki sądowe wiosną i jesienią sprawował, o sprawiedliwość dbając.

- Łużyccy chłopi we wsiach klasztornych byli podwójnie gnębieni, bo raz składali daninę opatowi i jeszcze raz władcom żarskiego państwa stanowego.

- Położenie ludu we wsiach klasztornych ciężkie było. Zakon zalecał picie piwa żagańskiego, Bibersteinowie przeciwnie, namawiali do piwa z żarskiego browaru. Przyznaję, że dochodziło też do swad między zakonem a władcami świeckimi na tle spraw sądowych, łowieckich czy nawet obsady stanowisk kościelnych.

- Czy to nastawiało chłopów przeciw zakonowi?

- Jako proboszcz lubanickiej parafii krzywdę doznawaną przez chłopów tak ze strony zakonu, jak i świeckich rządców widziałem. Ponieważ mnichem byłem i posłuszeństwo zakonowi ślubowałem, parafianom niewiele mogłem ulżyć. Zresztą i opat augustianów przeciw ciemiężeniu ludu przez rządzących występował.

- Kiedy dotarła do Lubanic wiadomość o 95 tezach przybitych przez Marcina Lutra do drzwi kaplicy zamkowej w Wittenberdze?

- Doktor Marcin Luter był mnichem należącym do tego samego zakonu augustiańskiego jak nasz w Żaganiu. Toteż o decyzji ogłoszonej przez naszego brata w Wittenberdze już w 1517 r. usłyszeliśmy. Część spośród nas do wiadomości przyjęła, że jedynym autorytetem dla chrześcijanina Pismo Święte jest, jak głosił doktor Luter, część przy dotychczasowych kanonach wiary pozostała.

- A Ksiądz do której części należał?

- Długo nie umiałem pogodzić się z tym, że w łonie Kościoła powszechnego podział na zwolenników i przeciwników papieskiego porządku nastąpił. Ja miałem wpojone posłuszeństwo wobec zwierzchności zakonnej. Ale kiedy w 1523 r. na żagańskiego opata pochodzący z Żar Paweł Lemberg wybrany został, coś we mnie, dotąd posłusznym mnichu augustiańskim, zaczęło się zmieniać. Z pacierza na pacierz miałem coraz więcej pytań i wątpliwości o sens nakazanego porządku w Kościele katolickim.

- Opat Lemberg przekonywał Księdza do przejścia na stronę Lutra?

- Wielebny Paweł, zanim zwierzchnikiem żagańskiego opactwa został, na uniwersytecie w Wittenberdze się kształcił, tam słuchał wykładów duchownych zaniepokojonych prywatą w Kościele papistów. Usiłujących zreformować organizację kościelną, która ze względu na swoje skostnienie była coraz dalsza od ziemskich spraw ludu bożego. Najpierw jedynie za pośrednictwem naszego opata nauki doktora Lutra do Żagania docierały. Potem wielebny opat sprowadził trzech lektorów z Wittenbergii, którzy Biblie w nowym duchu interpretowali. Wysłuchawszy ich wykładów przekonany byłem, że na nowe prawdy obojętny nie powinienem pozostawać. Przekonany tym bardziej że może połowa braci zakonnych, wśród nich i wielebny Lemberg, myśli doktora Lutra jako swoje przyjęli.

- Wtedy z katolickiego zakonnika przemienił się Ksiądz w luterańskiego pastora?

- Bogu niech będą dzięki... Nie tylko ja, prosty mnich, ale i wielu duchownych katolickich na Dolnych Łużycach reformację poparło.

Panom władztwa żarskiego nie dziwię się, że tak szybko do nowej wiary przystali, bo oni niezły prezent na zmianie wyznania sobie sprawili. Sorawskie dobra papistów, czyli majątki należące do Kościoła katolickiego oni zgarnęli.

- A jak zachował się lud łużycki?
- Prosty lud też reformację poparł, tym bardziej że zamiast niezrozumiałej dla wiernych łaciny pastorzy zaczęli odprawiać msze i głosić kazania w tutejszym języku.

- Po usunięciu Lutra z zakonu augustianów, udał się on na dwór elektora saskiego, Fryderyka III Mądrego, i tam tłumaczył Pismo Święte na język niemiecki.
- W 1523 r. z polecenia wielebnego opata Lemberga rządy w lubanickiej parafii objąłem. Wtedy już był gotowy przekład Nowego Testamentu na język niemiecki, przez doktora Lutra dokonany, ale ja o tym jeszcze nie wiedziałem. Starałem się, tak jak nakazywał reformator, nauczać wiernych w języku, którego mieszkańcy Lubanic na co dzień używali. Tam też, idąc za przykładem doktora Lutra postanowiłem, że Biblię na język moich parafian przetłumaczę.

- Kiedyż to się stało?
- Pracę nad przekładem Nowego Testamentu na znany mi od dziecka język dolnołużycki w 1540 r. podjąłem. Wtedy zamieszkałem w Kulowie na Górnych Łużycach, gdzie łatwiejszy dostęp do Pisma Świętego w różnych językach miałem. Na przekładzie doktora Lutra się oparłem. Korzystałem też z czeskiej *Biblii Seweryna*. Również *Wulgatą* się wspierałem. Po ośmiu latach mordęgi językowej, ale jakże potrzebnej, moim braciom w wierze mogłem oznajmić: z Bożą pomocą Nowy Testament udało mi się na język Łużyczan przetłumaczyć.

- *Nowy Zakon Serpsky... do Serpskeye Rexey pozińessony* z 1548 r. okazał się pierwszą książką w języku dolnołużyckim.
- Byłbym bardziej zadowolony, gdyby owoc mojej translatorskiej pracy drukiem się ukazał. Niestety, w parafialnej kasie pieniędzy brakowało, a Bibersteinowie nie byli zainteresowani upowszech-

nianiem języka łużyckiego. Do 1827 r. w Bibliotece Królewskiej w Berlinie rękopis przeleżał i tylko dzięki polskiemu historykowi Andrzejowi Kucharskiemu ujrzał światło dzienne. Dopiero w 1967 r. Heinz-Hinc Schuster-Šewc, profesor sorabistyki na lipskim uniwersytecie, drukiem go ogłosił, ale w ograniczonej liczbie egzemplarzy i tylko dla potrzeb filologiczno-językoznawczych. Ta publikacja charakter pomnika ma.

- Mimo to jest Pastor uważany za ojca języka dolnołużyckiego.

- Biblia przez jednych lubanicką zwana, przez drugich Ewangeliarzem Jakubicy wpływu na rozwój pisanego języka łużyckiego nie miała. Jedynie zabytkiem kultury się stała. Do historii mojego ludu wiele podobnych pamiątek weszło. Pochodzący z polskiej Skwierzyny pastor Jan Bogumił Fabricius na potrzeby swoich parafian we wsi Korjeń pod Chociebużem przełożył Mały Katechizm Marcina Lutra i Nowy Testament. W 1709 r. to było. Cała Biblia po dolnołużycku dopiero pod koniec XVIII wieku w tłumaczeniu Jana Biedricha Fryca się ukazała.

- Poznański językoznawca profesor Tadeusz Lewaszkiewicz pisze, że mimo iż Luter głosił potrzebę szerzenia zasad wiary w językach narodowych to z pogardą wyrażała się o Łużyczanach.

- Doktor Luter z okolic Erfurtu pochodził i jak wielu Niemców tkwił w błędnym przekonaniu, że język Wendów niebawem zaniknie. Zanim rozpocząłem swoje dzieło translatorskie w Kulowie, doktor Luter obwieścił, że Biblii na język łużycki nie warto tłumaczyć, skoro nikt jej nie będzie używał. Kłóciło się to z zasadą wprowadzenia do obrządku Kościoła luterańskiego języka narodowego. Można z tego wyciągnąć wniosek następujący: wbrew sobie doktor Luter do utrwalenia tożsamości narodowej Łużyczan się przyczynił.

- Czy pastorzy protestanccy walczyli ze zwyczajami ukształtowanymi przez katolicyzm?

- Przyznaję ze wstydem, że po reformacji w parafiach wiejskich rozpoczęła się ostra walka ze zwyczajami ludowymi dotąd aprobowanymi przez Kościół katolicki. Choćby ze zwyczajem znanym tylko

na Łużycach, jakim było objeżdżanie pól przez jeźdźców wielkanocnych. Luterańscy pastorzy przekonywali, że jakakolwiek praca oraz organizowanie uroczystości świeckich w niedziele i święta z Pismem Świętym jest sprzeczne. Targi, występy komediantów, nawet zabawy ludowe więc na dni powszednie przenoszono. Pastorzy nawet regulowali życie obyczajowe wsi łużyckich, co popierali możnowładcy. Usprawiedliwia ich jednak to, że postępując wedle wskazań nauki doktora Lutra ogromny wpływ na zachowanie języka łużyckiego, tradycji i kultury naszego ludu mieli.

- I ostatnie pytanie: czy ziemia łużycka ze wschodniej strony Nysy wydała jeszcze innych ludzi, którzy tak jak pastor zapisali się złotymi zgłoskami w historii świata?

- Mam pretensję do Niemców, którzy nazywając mniejszość słowiańską Wendami upowszechniali tezę, że Łużyczanie to naród chłopski, wręcz prymitywny. W porównaniu z Niemcami nas mało było, ale proporcjonalnie Sorawia wielu światłych humanistów wydała. Oto dwa przykłady osób zasłużonych dla kultury polskiej. Z Trzebiela leżącego w pobliżu Żar pochodził Jan Solfa, filozof i medyk, u szczytu swojej kariery nadworny lekarz Jagiellonów. W Krakowie nauczał Jan Rak z Lubska, przyjaciel Mikołaja Kopernika i Konrada Celtesa. Skoro godnego siebie miejsca we własnym kraju nie mogli znaleźć, w słowiańskiej rodzinie musieli go szukać.

- Pięknie dziękuję za rozmowę.

Trójjęzyczne nazwy miejscowości na wschodnich Łużycach

(polska – łużycka – niemiecka)
Biedrzychowice – Biedrichojce – Friedersdorf
Bieniów – Benow – Benau
Brody – Brody – Pföften
Budziechów – Budeszow – Baudach
Chlebowo (Nemaszkleba) – Nemaszkleba – Landenhaim
Grabik – Grabig – Grabig
Gubin – Gubin – Guben
Drożków – Droškaw – Droskau
Jasień – Gozewa – Gassen
Kadłubia – Kadłubja – Goldbach
Koło – Kolow – Kohlo
Lipinki Łużyckie – Lindroz – Linderode
Lubanice – Lubanice – Laubnitz
Lubsko – Zemsz – Sommerfeld
Marszów – Marišojce – Marsdorf
Miłowice – Miłojce – Mildenau
Olbrachtów – Albrechtojce – Albrechtsdorf
Olszyniec – Wolšynce – Wellersdorf
Przewóz – Pribuz – Priebus
Siodło – Sedło – Zeidel
Trzebiel – Třebule – Ttiebel
Tuplice – Welike Tuplice – Teuplitz
Wicina – Witzyn – Witzen
Złotnik – Złotnik – Reinswalde
Żary – Zara – Sorau

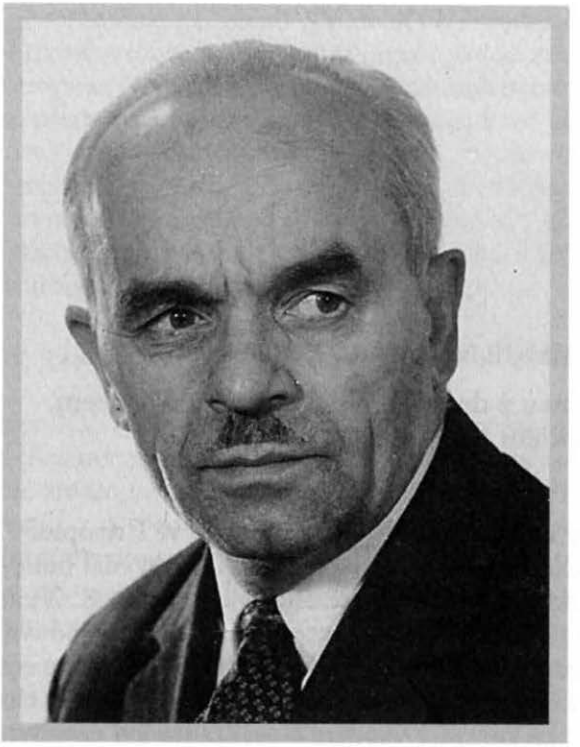

Władysław Korcz - fot. archiwum autora

Władysław Korcz

Urodził się 4 stycznia 1913 w Samborze koło Lwowa, zmarł 8 lipca 1997 r. w Zielonej Górze. W 1945 r. po śledztwie został skazany na osiem lat łagrów, był trzy lata na Syberii. W 1948 r. przyjechał do Zielonej Góry. Zajmował się historią, wykładając w Wyższej Szkole Pedagogicznej do ogłoszenia stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Nigdy nie otrzymał stopnia naukowego profesora, był doktorem habilitowanym. Jest autorem, m.in. *Tradycji polskości na Ziemi Lubuskiej*, *Historii Towarzystwa Polskich Rzemieślników w Zielonej Górze*, *Zarysu dziejów Lwowa*.

POLOWANIE NA CZAROWNICE

Rozmowa z dr. hab. Władysławem Korczem, historykiem i regionalistą

- Kiedy zaczęły się procesy o czary w Europie?
- W 1326 roku Ojciec Święty, Jan XXII, wydał bullę, która wszelkie praktyki magiczne określała jako herezje. Temu papieżowi bardziej chodziło o rozprawienie się z niewygodnymi biskupami niż o czary jako takie. Jan XXII bał się bowiem, że zostanie pozbawiony życia przy pomocy magicznych sztuczek. O chrześcijańskim obowiązku ścigania wiedźm i osądzania ich czynów przypomniał papież Innocenty VIII w 1484 roku.

- A jakie jest oficjalne stanowisko Kościoła katolickiego w tej sprawie?
- Nie ma takiego stanowiska, mimo iż od czasów Jana XXII minęło prawie 700 lat. Jedynie w Biblii znajdujemy zdanie: „Czarownikom żyć nie dopuścisz". Nic więcej.

- Czy Kościół nadal piętnuje konszachty z demonami?
- W diecezjach katolickich są księża egzorcyści, chociaż teologicznie sprawa nigdy nie została wyjaśniona. Mimo to nauka katolicka nie podważa istnienia obszaru demonicznego. Inne Kościoły chrześcijańskie tego tematu nie podnoszą.

- Polowanie na czarownice zaczęło się w średniowieczu. Wyrządziło wiele krzywdy często niewinnym ludziom.

- Badacze dziejów podają, że od XV do XVIII wieku było około stu tysięcy spraw o czary w Europie. Nie wszystkie z nich zostały udokumentowane. W wiejskich miejscowościach samozwańczym trybunałom przewodzili proboszczowie. Taki sąd zwykle stosował łagodne kary, na przykład pokutę w postaci modlitwy. Rzadziej nakazywał noszenie specjalnych szat z żółtymi krzyżykami na piersiach. Bardzo rzadko konfiskował dobytek osoby, którą uznał za winną. W miastach zajmowała się tym władza świecka, a ta często wydawała najsurowsze wyroki.

- Jakie były podstawy prawne osądzania osób podejrzanych o czary?

- Pod koniec XV wieku niemieccy dominikanie Jakub Sprenger i Heinrich Kramer napisali książkę *Młot na czarownice*. Było to podstawowe źródło informacji o diabelskich sztuczkach czarownic i czarnej magii, coś w rodzaju podręcznika postępowania z osobami oskarżonymi o stosowanie czarów. Twierdzili oni, że świat został opanowany przez diabelski spisek, można go zwalczyć ludzką dłonią poprzez represje i wiarę. Z ochotą posługiwali się nią inkwizytorzy. Przeklęta książka.

- Po czym wedle tej książki poznać czarownicę?

- To osoba, najczęściej kobieta, która wyparła się Boga, zawarła pakt z diabłem, przypieczętowany aktem seksualnym, w celu szkodzenia przykładnym chrześcijanom.

- Czy tylko Kościół katolicki polował na czarownice?

- Do czasów buntu Marcina Lutra w 1517 r. sprawa ta dotyczyła wyłącznie tego Kościoła. Potem również protestanci przyłączyli się do polowania na czarownice. Nie słyszałem, aby łowienie osób podejrzanych o konszachty z diabłem miało miejsce wśród prawosławnych.

- Co sprzyjało temu zjawisku?

- Przede wszystkim wojna religijna znana jako reformacja i kontrreformacja. Proszę pamiętać, że w niespokojnej Europie średniowiecznej toczą się też wojny między państwami, szczególnie wyniszczająca była wojna trzydziestoletnia. Na pograniczu polsko-niemiec-

kim dochodzi jeszcze wojna etniczna. W Zielonej Górze ofiarami stają się protestantki, ale i katoliczki polskiego pochodzenia.

- Czy wiadomo, kiedy odbył się pierwszy proces o czary na środkowym Nadodrzu?

- Zachował się rękopis zatytułowany „Extract Protocolli Judycij Gruenbergensis ex actis de annis 1663, 1664, 1665". Księga zawiera 73 wyciągi z protokołów spisanych na 283 stronach papieru wyprodukowanego w Krępie. Niemiecki historyk Hugo Schmidt podaje, iż w 1640 r. na rozkaz dowódcy stacjonującego w Zielonej Górze oddziału szwedzkiego spłonęły na stosie cztery kobiety „za uprawianie czarów". W bardziej protestanckim Gorzowie pierwszy stos zapłonął prawie osiemdziesiąt lat wcześniej, bo 5 stycznia 1563 r. Gorzowski sąd uznał za winne uprawiania czarów 17 kobiet. Dla upamiętnienia tego zbudowano „Studnię czarownic", pomnik stojący na Wełnianym Rynku.

- W tym polowaniu chodziło wyłącznie o czystość wiary czy jeszcze o coś innego?

- Wśród prostego ludu pod płaszczykiem walki z opętaniem najczęściej chodziło o zemstę. W nieco wyższych sferach była to okazja do wzbogacenia się o przejęty po skazańcu majątek. Tak było w Gorzowie, gdzie margrabia Jan z Kostrzyna miał ochotę na dwa młyny należące do Asmusa Müllera. Człowiek margrabiego, a był nim nadproboszcz parafii ewangelickiej, oskarżył nie wprost, lecz za pośrednictwem niejakiej Treppiny żonę młynarza o czary. W tamtym czasie wystarczyło tylko wskazać osobę, a proboszcz na wsi albo sąd w mieście brał sprawę w swoje ręce i najczęściej doprowadzał do ukarania nieszczęśnicy.

- Czy to oznacza, że trybunały nie przestrzegały prawa świeckiego?

- Najlepiej to opowiedzieć w oparciu o zachowane protokoły sądowe w Zielonej Górze. 10 lipca 1663 r. na stosie spłonęła Helena Klich z Przylepu. Zaczęło się od pożaru oberży należącej do protestanckiego radnego Melchiora von Landkronego. O podpalenie oskarżył on wspomnianą Helenę Klich. I dodatkowo wskazał jej cztery wspólniczki, również mieszkanki Przylepu.

- Przedstawił jakieś dowody?
- Wystarczyło, że von Landkrone je oskarżył. Udowodnienie winy należało do niewiarygodnie gorliwego sądu. Ten na początku rozprawy zadawał pytania. Na przykład Annę Jaschke pytał: „Przyznajesz się, żeś działała w porozumieniu z diabłem i jemu ciało i duszę sprzedała? Przyznajesz się, żeś szwagrowi swemu troje dzieci uśmierciła? Przyznajesz się, żeś ze złym już przez cztery lata nierząd uprawiała? Przyznajesz się, żeś osoby niżej wymienione (Annę Memmel, Annę Baran, Ewę Werner i Helenę Klich) na Łysej Górze widziała?" Anna Jaschke zaprzeczyła.

- A co sąd na to? Czy ją uniewinnił?
- Z protokołu wynika, że na drugiej rozprawie kobieta odpowiedziała twierdząco na te pytania. Prawdopodobnie była już storturowana.

- To torturami wymuszano przyznanie się do winy?
- W zachowanych dokumentach nie ma jasnego wyjaśnienia, co spowodowało zmianę zeznań. Z opisów w innych protokołach wiem, że jeśli brakowało sądowi dowodów, a oskarżona nie przyznawała się do winy, stosowano tortury. W średniowieczu sposobów torturowania było tak wiele, że dziś powoduje to zdziwienie. Do najczęściej stosowanych, uważanych za najłagodniejsze, należało łamanie palców, rozciąganie ciała na drabinie i opalanie go pochodnią, zamykanie w szafie nabitej gwoździami. Jeśli to nie przynosiło przyznania się do winy, oskarżoną o kontakty z demonami wrzucano do wody. Wierzono bowiem, że czysta woda odrzuca kobietę mającą do czynienia z czarami. Która nie umiała pływać, a większość nie umiała, topiła się.

- A jeśli mimo tych drastycznych sposobów kobieta nie przyznawała się do magicznych sztuczek?
- W miejskim domu kijów, jak pospólstwo nazywało zielonogórskie więzienie, zdarzały się nieszczęśliwe wypadki. Oczywiście, trzeba to wziąć w cudzysłów. Profesor Majchrzak w zbeletryzowanej opowieści o Annie Klich z tamtych czasów pisze tak: „Na początku do niczego się nie przyznając, jednak przez sąd i prawo poddana surowym badaniom, dobrowolnie swoje okrutne niechrześcijańskie grzechy i złe czyny wyznała, poczem jednak znaleziona została

w swojej celi więziennej martwa, przez diabła uduszona, bo szyja jej całkiem chwiejna i opuchnięta była. Rzeczona Klich z diabłem w postaci młodego parobka na czarno ubranego, bez zarostu, miała bliski stosunek cielesny, a on przyrzekł jej pieniądze w zamian za jej duszę i zerwanie związku z wiarą i świętymi sakramentami."

- Czy czary uprawiały wyłącznie proste kobiety?

- Na początku oskarżenia dotyczyły nędzarek, które z powodu biedy chodziły na żebry. Łatwiej było oskarżyć wiejską kobiecinę niż żonę sukiennika, kupca czy właściciela winnicy. Potem zdarzyło się w Zielonej Górze, że przed sądem stanęły trzy żony poważanych i szanowanych obywateli miasta. Wskazała je jako wspólniczki oczekująca na stos Anna Stach, którą, mimo że po torturach przyznała się do uprawiania czarów, poddano jeszcze jednemu srogiemu badaniu.

- Obroniły się owe trzy zielonogórzanki?

- Mężowie dwu pań wystosowali pismo do sądu, w którym zapewniali, że ich żony nie mają nic wspólnego z grzeszną i bezbożną czarownicą Anną Stach. Trzecią oskarżoną była żona właściciela winiarni Elżbieta Grassowa. Jej córka wpadła w oko pisarzowi miejskiemu i notariuszowi Johannowi Schwolkemu, a ponieważ nie był on jej miły, wymusił na Annie Stach oskarżenie niedoszłej teściowej o czary.

- Jak się ta sprawa skończyła?

- Trybunał musiał mieć wątpliwości, bo gdy mimo nacisków Elżbieta Grassowa nie przyznała się do winy, o zdanie spytał sędziów w Lwówku Śląskim, będących wyższą instancją. Ci odpowiedzieli tak: „Należy ją dokładnie zbadać. Wobec tego, że jest oskarżona przez dwie osoby, należy ją wziąć na tortury." I poradzili: „należy nie według zwyczajnego stopnia, jeno sznurami skrępować, hiszpańskimi butami ścisnąć i dalej próby te dozować, gdyż tego rodzaju zatwardziali ludzie często mimo krańcowych nawet tortur nie chcą zeznawać".

- Czy po tych radach Elżbieta Grass zeznawała zgodnie z oczekiwaniem oskarżycieli?

- W dokumentach widnieją zadane jej pytania i uzyskane odpowiedzi. Czy prawda, że jest czarownicą i była na Łysej Górze? Czy prawda, że amant przyszedł do niej na balkon? Określenie „amant", posłużyło sędziom do stwierdzenia, że Grassowa związała się z diabłem. Czy prawda, że zawsze kiedy przyszedł, przeciwny naturze nierząd uprawiała? Zadano jej 65 takich pytań. Ponieważ była kobietą odważną, na wszystkie pytania odpowiedziała: „Nie". „Tak" odpowiedziała wówczas, gdy spytano ją o to, czy ma w domu luterską Biblię, uważaną przez katolików za heretycką.

- Po tym sąd ją uniewinnił czy skazał na więzienie?
- Skazał na śmierć. Wyznaczył o tyle łagodniejszą karę, że miała nie spłonąć żywcem, tylko najpierw ścięta mieczem, a potem spalona na stosie. I gdy już stała przy palu na placu Drzewnym, oświadczyła, że „całe zeznanie co do jej własnej osoby wszystko z męczarni wyznane". Zgodnie z obowiązującym prawem, wykonanie egzekucji przerwano i ponownie postawiono ją przed sądem. Nie ma w dokumentach ani słowa o tym, czy znowu stosowano wobec niej tortury. Jest natomiast zdanie, iż do odwołania poprzednich zeznań namówił ją zły duch Marcin, który był u niej w więzieniu. 6 lutego 1665 r. zakończyła swoje życie płonąc na stosie.

- Na podstawie tego, co usłyszałem dochodzę do wniosku, że oskarżonymi o magię były nie młode, lecz starsze kobiety.
- Z zachowanych dokumentów wynika, że były to nawet bardzo stare kobiety. Anna Stach miała 85 lat, Maria Woyten – 74, Anna Knosch – 70. Najmłodsza skazana na śmierć w ogniu przekroczyła 67 rok życia.

- I tylko kobiety, wedle sądu, zajmowały się czarami?
- Tak, uważano, że uprawianie magii to kobiece zajęcie, wszak kobiety są bardziej lekkomyślne i mniej pozostające w szczerej wierze. O konszachty z diabłem oskarżano przede wszystkim wiejskie żebraczki, nędzarki, zielarki. Zdarzało się, że przed sądem stawiano niewiasty nie ulegające seksualnym propozycjom zamożniejszych grzeszników. Z protokołów zachowanych w Zielonej Górze nie wynika, aby tu oskarżano kobiety w celu zdobycia majątku ich mężów. Tak jednak było w Gorzowie, gdy margrabia przejął młyn. Ponad-

to uważano, że mężczyźni są bardziej odporni na zakusy szatana, czego przykładem był choćby Jezus. Proszę pamiętać, że sędziami byli mężczyźni, nie godziło się oskarżać przedstawicieli tej samej płci. A i jak oskarżać mężczyzn o kontakty cielesne z diabłem, skoro diabeł jest płci męskiej?

- Czy winę skazanych na śmierć kobiet przenoszono również na ich dzieci?
- Zielonogórskie czarownice jeśli miały dzieci, to były one dorosłe. W innych miastach zdarzało się, że na stos posyłano młodsze kobiety i razem z nimi ich małe dzieci. Wierzono bowiem, że potomkowie czarownic też są opętani przez diabła.

- Palenie skazanych miało charakter widowiska z udziałem publiczności?
- Tak nakazywali autorzy przywołanej na początku naszej rozmowy książki *Młot na czarownice*: ma się ono odbywać w miejscu publicznym z udziałem gapiów. Skazana na stos musiała się rozebrać na oczach gawiedzi po to, żeby można było wskazać na jej ciele diabelskie znamię. Nie było to trudne, ponieważ wraz z wiekiem na skórze człowieka przybywa pieprzyków, blizn, plam, myszek.

- Oskarżoną Annę Stach zielonogórski sąd pytał: „Czy to prawda, że Łysa Góra jest daleko stąd i że stoi tam budynek podobny do opuszczonego kościoła lub zamku?". Gdzie leży Łysa Góra?
- Pytał też, czy „tam żarto, chlano i tańczono?". Anna Stach i pozostałe skazane na śmierć na stosie kobiety odpowiadały twierdząco. Niestety, w żadnym protokole nie ma wyjaśnienia, gdzie jest ta Łysa Góra. W podaniach ludowych było to miejsce położone za miastem, w którym zlatują się czarownice na schadzki z diabłami. Geograficzna Łysa Góra leży w Łysogórach na ziemi świętokrzyskiej. Nie sądzę jednak, żeby zielonogórski sąd miał to miejsce na myśli, przesłuchując kobiety oskarżone o magię.

- Gdzie jeszcze płonęły stosy?
- W Europie w ciągu trzech stuleci spalono co najmniej sto tysięcy czarownic. Połowa z tej ilości przypadła na Niemcy. W Polsce

mogło spłonąć nawet 20 tysięcy. Na środkowym Nadodrzu, poza Gorzowem i Zieloną Góra, stosy płonęły w Bytomiu Odrzańskim, Głogowie, Gubinie, Krośnie, Sulechowie, Świebodzinie, Szprotawie. W Strzelcach Krajeńskich w ciągu dwu miesięcy zginęło 150 pięćdziesiąt kobiet.

- Dziękuję za przypomnienie tamtych mrocznych zdarzeń.

Z Dawnej Zielonej Góry z lat 1623-1795:

(...) we wtorek po Zielonych Świątkach o godzinie dwunastej w nocy cała ulica Jedności, pół Moniuszki wraz z kościołem i prawie cała ulica Wandy zostały strawione w ciągu trzech godzin. Czarodziejka zwana Kahl Schmieden, podłożyła ogień, ponieważ nie otrzymała tutaj jałmużny. Została potem spalona w Przylepie w dniu 1 września 1663 roku, gdy przyznała się do winy.

opracowanie Jarochna Dąbrowska-Burkhardt,
Zielona Góra 2004

Z Kroniki lub krótkiego opisania dziejów Zielonej Góry z lat 1222-1881
Johanna Gottfrieda Johna i Heinricha Adolpha Pilza:

Próba ta polegała zwyczajnie na pławieniu kobiet. Stosowano ją jednak dopiero wówczas, gdy te nie wyznały prawdy dobrowolnie. Wówczas to siłą wrzucano je do stawu zwanego Herrenteich. Jeśli „czarownica" nie utonęła, świadczyło to o jej winie bardziej niż gdyby znalazła śmierć w zimnych wodach stawu. Wówczas skazywano ją na śmierć w płomieniach. Mocy piekielnych obawiano się do tego stopnia, że tylko w roku 1663 w podobny sposób w samej Zielonej Górze spalono sześć nieszczęśnic. Takie zachowania miały miejsce nie tylko na terenie Niemiec, ale również w tak przepełnionym ideami oświeceniowymi kraju jak Francja. Niestety, czarownice nie tylko topiono. By dowieść prawdziwości podejrzeń, na ich ciele doszukiwano się znamion, które określano znakami diabelskimi. Nieszczęśliwi ci, którym natura dała w prezencie znamiona barwnikowe czy inaczej poznaczyła ich ciało, gdyż takowe były dla inkwizytorów pierwszym przeciw nim dowodem. (...) Taka wiara w czary, procesy i stosy, na których palono czarownice, miała miejsce na Śląsku aż do czasu objęcia rządów przez Fryderyka II. Wówczas to definitywnie położono im kres.

tłumaczenie Jarosław Kuczer,
Zielona Góra 2005

Edwald Christian von Kleist – autor nieznany – obraz w zbiorach muzeum we Frankfurcie nad Odrą

Ewald Christian von Kleist

Szlachcic pomorski, młodszy kuzyn sławnego Heinricha von Kleista. Urodził się w 1715 r. w majątku Zeblin. Zmarł zaraz po bitwie pod Kunowicami (Kunersdorf) we Frankfurcie nad Odrą w 1759 r. Ukończył studia na uniwersytecie w Królewcu. Był porucznikiem regimentu księcia Heinricha, potem kapitanem sztabowym i majorem, dyrektorem szpitala polowego w Lipsku. Podczas służby w Poczdamie związał się ze szkołą poetycką kanonika Christiana Ludwiga Gleima. Był pierwowzorem bohatera pierwszej niemieckiej tragedii narodowej *Minna von Barnhelm, czyli Żołnierskie szczęście* Lessinga.

PRZESŁAWNE LANIE

Rozmowa z mjr. Ewaldem Christianem von Kleistem, żołnierzem pruskim i poetą

- Kto to napisał: „Ból sprawia, że odczuwamy radość tak jak zło sprawia, że odczuwamy dobro"?
- Na pewno to moje słowa są, lecz nie pamiętam, w jakich okolicznościach je zanotowałem.

- Może z powodu nieszczęśliwej miłości do Wilhelminy von der Goltz?
- Nie przypominaj mi o niej, waszmość. Ta białogłowa niepospolitej urody serca nie miała. Wbrew moim oczekiwaniom ona jedna moją pogodę ducha zmąciła. Ani słowa więcej na jej temat.

- Jak to się stało, że Pan, z uniwersyteckim wykształceniem, zamiast błyszczeć na salonach w królewskim Poczdamie, został wojakiem?
- Kiedy się urodziłem, królestwo pruskie istniało od czternastu lat. Fryderyk Wilhelm I zbudował mocne państwo, będące wzorem dla innych monarchii w Europie. Po śmierci pierwszego króla Prus jego syn Fryderyk II tron objął. Człowiek nie tylko porywczy, bystrego umysłu, ale i niezwykle ambitny. Ponad wszystko wszechstronnie uzdolniony. Prawdziwy miłośnik literatury, muzyki, sztuki i nauki. Fryderyk II Hohenzollern, przez potomnych Wielkim zwany, swoim entuzjazmem do solidnej pracy i mądrością synów szlacheckich porwał. Mieliśmy wspólny cel: potęgę militarną kró-

lestwa umocnić, aby sława nasza po Europie się rozniosła jak dobra nowina. W przyszłości doprowadzić do odtworzenia Cesarstwa Niemieckiego pod berłem pruskim.

- Drogą podbojów i grabieży. Wikłając Prusy w wojnę z Habsburgami między innymi o panowanie na Śląsku.

- To opinia krzywdząca mój *vaterland*, ojczyznę. Winni są Austriacy. Gdyby nie wyciągnęli rąk po nasz Śląsk, by nie doszło do bitcw choćby pod Kijami czy Kunowicami. O swoje się upomnieliśmy, czego nie uznała prawie cała Europa, przeciw naszej monarchii stając. Jedynie Anglicy byli po naszej stronie. Caryca rosyjska, Elżbieta, porozumiała się nie tylko z Austriakami, ale i z Francuzami, i Sasami, i nawet ze Szwedami. Pan nasz Fryderyk II został zmuszony do walki o utrzymanie jedności królestwa. Gdyby tego nie zrobił, koalicja antypruska przeprowadziłaby rozbiór naszej monarchii. Saksonia miała zagarnąć Magdeburg i Halle, Francja – Nadrenię, nasz największy przeciwnik Austria - Śląsk, Szwecja – Pomorze, Rosja – Kurlandię, a Polska – Prusy Wschodnie.

- Panie Majorze, takie postępowanie koalicji wymusiła zaczepna postawa króla Fryderyka.

- Naszym celem nigdy nie było wtargnięcie na terytorium Austrii czy Rosji. Jedynie podniesienie kultury rolnej i rozpowszechnianie postępu w ościennych krajach interesowało Prusy. Mam na myśli przede wszystkim graniczący z nami Śląsk, zaniedbywany przez Austrię.

- Tymczasem dwory wiedeński i francuski zawarły przymierze, wyciągając wnioski z zachowania Prus. Zdaniem historyków doszło do pierwszej w dziejach globu wojny światowej.

- Można tak to określić. Nie tylko w Europie toczyły się ciężkie walki. Była wojna w Ameryce Północnej o panowanie nad kolonią i na wyspach karaibskich. Hiszpania i Portugalia też włączyły się do konfliktu. Nawet starająca się zachować neutralność Holandia została zaatakowana w Indiach. Ale to przecież nie z powodu Prus.

- A czyje wojsko pierwsze podniosło szable? Kto najpierw zajął Śląsk, potem zaatakował Saksonię?

- Prawdą jest, że 30 sierpnia 1756 roku potężna armia pruska weszła do Saksonii. Dłużej nie można było zwlekać ze zrobieniem porządku w tym niemieckim państwie. Wojska saskie szybko się poddały, a nieudolny monarcha Fryderyk August do Warszawy uciekł szukać pomocy. Bez skutku. Widać Bóg tak chciał.

- To, że Prusy okazały się agresorem potwierdziły inne państwa niemieckie. Przecież w styczniu 1757 r. parlament Rzeszy powołał armię okręgową. Wtedy większość monarchii niemieckich wypowiedziała wojnę Prusom.
- Niezrozumienie, wielki błąd z ich strony. W Rzeszy spokojnie mogliśmy żyć, rozwijając naszą potęgę pod berłem jego królewskiej mości Fryderyka II Wielkiego. Kiedyś cesarzowa Austrii, Maria Teresa, zrozumiałaby swój błąd i przeciwko Rosji też by się do nas przyłączyła. Jej wojska natomiast wbrew zdrowemu rozsądkowi armię pruską zaatakowały. Nie było mi dane walczyć ani pod Kolinem na ziemi czeskiej, ani pod Grossjägersdorem. Jako szlachcic przyznaję, że tam niepotrzebnie polała się żołnierska krew. Ale czy to pierwsze takie miejsce? Błądzić jest rzeczą ludzką. Trzeba umieć wyciągać wnioski. Z Bożą pomocą nasza niezwyciężona armia pokonała wojska austriackie pod Lutynią i odzyskała Śląsk. Gdyby Austria nie wiadomo dlaczego tak uparcie nie dążyła do odbicia ziemi śląskiej, po wieczne czasy w Europie byłby pokój.

- Wielki Fryc sądził, że przechytrzy dyplomację europejską.
- Bardzo proszę, aby w mojej obecności waszmość powstrzymał się z używaniem takiego określania.

- Określenie to nie jest poniżające. Dostosuję się jednak do oczekiwania Pana Majora.
- Ze wszystkich cech człowieczych honor cenię sobie najbardziej.

- W drugim roku wojny, w końcu lipca 1758 r. Rosjanie byli w Międzyrzeczu. 5 sierpnia weszli do Gorzowa, 13 sierpnia dotarli do przedmieść Kostrzyna.
- Miasto spalili doszczętnie, twierdzy jednak nie zdobyli. Miłościwie nam panujący Fryderyk II zdążył przyjść z pomocą obrońcom aż z Moraw. 25 sierpnia nieopodal wsi Sarbinowo rozpoczęła się jedna z najkrwawszych bitew, w historii Europy zapisana jako nie-

rozstrzygnięta. Po naszej stronie było 36 tysięcy doborowej piechoty. Po stronie rosyjskiej stanęły 44 tysiące żołnierzy i machiny zwane jednorogami. Czytałem jakoby do dział były one podobne, a pociski nawet na odległość czterech kilometrów nosiły. Gdybyśmy my je mieli, na placu boju pod Sarbinowem poległoby więcej niż 19 tysięcy Rosjan. Do niewoli wzięlibyśmy nie tylko 941 oficerów rosyjskich, w tym generałów Sałtykowa, Czernyszewa, Manteuffla, Thiesenhausena i Sieyersa, ale wszystkich, którzy odważyli się służyć w rosyjskiej armii. Powinieneś waszmość wiedzieć, że wśród pojmanych znajdowało się wielu wysoko urodzonych Polaków. Między innymi był tam Antoni Sułkowski, późniejszy wielki kanclerz koronny.

- W kolejnych bitwach wojska pruskie dostawały tęgie lanie. Choćby 23 lipca 1759 r. pod Kijami koło Sulechowa.

- To była raczej potyczka niż regularna bitwa. I, wstyd się przyznać, przegrana trochę na nasze własne życzenie. Kiedy król Fryderyk II dowiedział się, że z okolic Gorzowa na południe Rosjanie ciągną po to, aby połączyć się z armią austriacką generała Laudona, rozkazał generałowi Dohnowi tę operację uniemożliwić. Niestety, manewr okazał się spóźniony, bo Rosjanie rozłożyli się biwakiem w okolicach Babimostu czyniąc wszystko, aby sforsować Odrę. Niezadowolony król zbyt pochopnie na miejsce generała Dohna mianował generała Kurta von Wedella.

- Ten również nie spełnił oczekiwań Fryderyka II.

- Generał von Wedell za późno objął dowództwo 23-tysięcznego korpusu. Jeszcze nie zdążył wyznaczyć celów dowódcom batalionów, a już 37-tysięczna armia Sałtykowa zajęła pozycje w rejonie Pałcka. Gdyby generał von Wedell wiedział, że pomiędzy naszym korpusem a Rosjanami są rozlegle torfowiska i jeziorka, nie wydałby rozkazu do ataku. W dodatku Sałtykow kazał swoim żołnierzom otworzyć niekarzyńskie śluzy, wtedy woda ze stawów rybnych zalała nasze pozycje. W trzęsawiskach, ostrzeliwani krzyżowym ogniem artyleryjskim nasi niezłomni żołnierze nie mogli przełamać oporu wroga. Von Wedell wycofał korpus za Odrę, zostawiając pod Kijami pięć tysięcy zabitych i rannych. 23 lipca Rosjanie zajęli Krosno, sześć dni później Gubin. Tu połączyli się z armią austriacką Laudena.

- I wtedy wreszcie Fryderyk II pojął, że przegrana po przegranej bitwie może oznaczać koniec niezwyciężonych Prus. Z Kostrzyna, gdzie był z wojskiem, wyruszył na południe wzdłuż Odry. Dotarł w okolice Frankfurtu, gdzie dostał przesławne lanie.

- Działo się to 12 sierpnia 1759 r. Na przedpolach wsi Kunowice nieopodal Frankfurtu spotkały się dwie potęgi. Po naszej stronie było 48 tysięcy doborowych żołnierzy, Rosjanie i Austriacy dysponowali 70-tysięczną armią. Z przykrością przyznaję, że nasza klęska była do przewidzenia. Już w czasie marszu z Kostrzyna generałowie prosili jego królewską wysokość, aby wstrzymał atak. Musimy się lepiej przygotować. Odpocząć i nabrać sił. Mimo to król nakazał uderzyć. Dlaczego nikt z królewskiego otoczenia nie był w stanie powstrzymać Fryderyka II, tego nie mogę zrozumieć. Przecież nasza przegrana otwierała bramę nieprzyjaciołom do Berlina. W Prusach nikt by nie wybaczył królowi, gdyby tak umiłowane państwo przestało istnieć jako samodzielna monarchia.

- W bitwie pod Kunowicami Pan też brał udział.

- Każdy mężczyzna, czy to szlachcic, czy chłop miłujący wolność i porządek pruski, chwycił za szablę. Nie mogłem być wyjątkiem tylko dlatego, że szpitalem wojskowym rządziłem. Ile sił w piersiach, wołałem: *Vorwärts!*, a mimo to moi żołnierze już nie parli do przodu. Kiedy w prawą rękę ranny zostałem, szablę do lewej przełożyłem i z jeszcze większą zawziętością na najeźdźców mojej ojczyzny nacierałem. *Vorwäts! Vorwärts!*

- Co się działo później?

- Nie pamiętam. Mówiono, że ciężko ranny pośród zabitych całą noc leżałem. Kozacy plądrujący pole bitwy odnaleźli mnie przy życiu. Gdy zobaczyli, że jestem oficerem, zawieźli mnie do szpitala polowego we Frankfurcie.

- Bezpośrednio po bitwie w liście do swego ministra von Podewilla król Fryderyk II napisał, że omal sam nie został wzięty do niewoli.

- „Z armii liczącej 48 tysięcy mam w chwili gdy piszę nie więcej jak trzy tysiące koło siebie, nie jestem już panem mojej armii. To jest

wielka klęska i nie chcę jej przeżyć. Następstwa tej bitwy będą gorsze niż sama bitwa. Nie mam już żadnych źródeł pomocy i aby prawdę powiedzieć, uważam wszystko za stracone. Nie chcę przeżyć unicestwienia kraju". Takiego wyznania nie spodziewałem się po moim królu.

- Zamiast ścigać rozbitą armię pruską, zwycięzcy pozwolili na jej koncentrację. 15 sierpnia Fryderyk II pokonał przeciwników.
- Mimo to Prusy utraciły na rzecz Austrii Śląsk. Moje Pomorze też utraciły. Nawet Berlin okupanci zajęli. Wydawało się, że już tylko cud może uratować Prusy.

- W historii to wydarzenie określono właśnie jako cud domu brandenburskiego.
- W 1762 r. po niespodziewanej śmierci carycy Elżbiety, która nienawidziła Fryderyka Wielkiego, Piotr Ulryk został carem Rosji, a ten władcę Prus wręcz ubóstwiał. Ledwie tron petersburski objął, natychmiast nakazał rozpocząć rozmowy pokojowe.

- W których, paradoksalnie, mimo przegranej warunki dyktował król Prus.
- Car Piotr III wojsko rosyjskie z Prus wycofał. Zrzekł się praw do zajętych ziem. Na potwierdzenie swojego uwielbienia Fryderyka Wielkiego, doborowym korpusem jeszcze wsparł.

- Jednak pokój nie trwał długo. Na życie Piotra III zorganizowała zamach jego żona, która przeszła do historii jako caryca Katarzyna II Wielka.
- Można powiedzieć, że wojna siedmioletnia nie zmieniła układu sił w Europie. To zaledwie część prawdy. Z mojego, pruskiego punktu widzenia, niebawem wzrosło znaczenie Rosji i zaznaczył się upadek korony polskiej. 13 stycznia 1773 r. trzy dwory ościennych państw wydały postanowienie o podziale Polski. Prusy miały w tym niemały udział, co sprawiło, że na 123 lata staliśmy się sobie wrogami.

- Dziękuję za przypomnienie epizodu w historii ziemi, która nam obu jest bliska.

Wojna siedmioletnia na środkowym Nadodrzu

1758 – 25 sierpnia: bitwa pod Sarbinowem (Zorndorf) między wojskami króla pruskiego Fryderyka II Wielkiego i armią rosyjską generała Wilhelma Fermona; nierozstrzygnięta.

1759 – 23 lipca: bitwa pod Kijami (Kay) między armią rosyjską dowodzona przez feldmarszałka Piotra Sałtykowa i armią pruską pod dowództwem generała Kurta von Wedella; przegrana Prusaków.

1759 – 12 sierpnia: bitwa pod Kunowicami (Kunersdorf) między wojskami pruskimi pod dowództwem króla Fryderyka II Wielkiego i siłami sprzymierzonymi rosyjsko-austriackimi dowodzonymi przez feldmarszałka Piotra Sałtykowa; klęska Prusaków.

Stendhal – portret pędzla Olofa Södermarcka, około 1839 r. – ze zbiorów muzeum w Grenoble

Marie Henri Beyle (Stendhal)

Urodził się 23 stycznia 1783 w Grenoble, zmarł 23 marca 1842 r. w Paryżu. Był uczestnikiem kampanii napoleońskiej. W latach 1814-42 żył we Włoszech, gdzie powstały prawie wszystkie jego prace literackie, m.in.: *Czerwone i czarne*, *Pustelnia parmeńska*, *Kroniki włoskie*. Dzieła Stendhala za jego życia nie były doceniane, dopiero po śmierci zyskał miano wielkiego realisty, mistrza analizy psychologicznej. Współcześni krytycy uznają go za jednego z największych francuskich ludzi pióra XIX wieku. Jako żołnierz napoleoński przez półtora miesiąca stacjonował w Żaganiu.

PUSTELNIA ŻAGAŃSKA

Rozmowa z Marie Henri Beylem, intendentem wojsk napoleońskich w Żaganiu, bardziej znanym pod pseudonimem Stendhal, pisarzem francuskim

- 6 czerwca 1813 r. otrzymał Pan nominację na intendenta armii napoleońskiej w księstwie żagańskim. Przypadek to czy świadomy wybór tego miasta?

- Na pewno przypadek. Zresztą jak wszystko w moim życiu. Nigdy niczego nie umiałem zaplanować, chociaż zawsze robiłem plany i czyniłem starania.

- Jak było z objęciem posady w Żaganiu?

- Po zwycięskiej bitwie pod Weissenfels na terenie Saksonii armia francuska zepchała wojska pruskie i rosyjskie aż za Odrę. Gdy zajęła ziemię śląską, ogłoszono pięćdziesięciodniowy rozejm. Od zawsze wiadomo, że tam gdzie kwateruje wojsko, potrzebne jest zaopatrzenie.

- Ktoś z przełożonych więc, nie pytając Pana o zdanie, rozkazał udać się do Żagania?

- Dzień, w którym zostałem intendentem rozpoczął się od wywrócenia powozu. Stało się to o wpół do pierwszej w nocy, w odległości strzału karabinowego od bram Legnicy. Powodem była głupota pocztyliona.

- To wtedy administrator podbitych ziem pruskich i austriackich hrabia Pierre Daru tak się poturbował, że musiał oddać się w ręce medyka?

- Około drugiej w dzień, kiedy wszyscy skupili się wokół obolałego pana Daru, ten spytał: „Słuchajcie no, który chce być intendentem?" Otoczyliśmy go kołem. Umyślnie trzymałem się z tyłu, mając nadzieję, że mnie nie wyznaczy i że dziesięć albo dwanaście dni z tych pięćdziesięciu, podczas których miał jeszcze trwać rozejm, spędzę w Wenecji. Ponieważ nikt nie odpowiadał, pan Daru spytał: „Więc dobrze, kto jest oficerem pierwszej klasy?" Zaczęto bąkać pod nosem ich nazwiska. Pan Daru, zniecierpliwiony brakiem odpowiedzi i widokiem durni, którzy zbaranieli wobec decyzji ich bogini Ambicji, spytał ponownie: „Kto służy w randze najdłużej?" Zaczęto wolno ich wyliczać. Pan Lafond powiedział parę słów. „Aa, wiem, że pan służy w randze najdłużej. Więc dobrze, nie pozostaje nic innego jak wysłać pana Lafonda do Głogowa, pana Pastoreta do Szprotawy, pana Beyle'a do Żagania".

- I wykonując rozkaz, natychmiast udał się Pan do Żagania?

- Ależ nie. Po drodze zatrzymywałem się a to w Lubinie, a to w Głogowie, a to w Szprotawie, gdzie obiadowałem w towarzystwie miłych panów. Starałem się jak najpóźniej objąć intendenturę korpusu kawalerii generała de la Tour-Marbourga, który stacjonował w Żaganiu. Nienawidziłem tego, czym miałem się zajmować, mimo że od 1799 r. piastowałem stanowisko oficerskie w wojsku. Miałem głowę pełną pomysłów na sztuki dramatyczne i powieści. Pragnąłem tylko, usiąść przy stole, wziąć pióro i pisać. Tylko pisać. Marzyłem, aby czytano moje powieści z takim samym zapamiętaniem jak książki Diderota czy Woltera. Jeszcze jako dziecko postanowiłem, że moje nazwisko będzie we wszystkich encyklopediach, a każdy student na pytanie o autorów najważniejszych dzieł literackich nowożytnego świata wymieni mnie na równi z Szekspirem, Molierem, Cervantesem. W 1813 r., kiedy przyjechałem do Żagania, miałem już 31 lat.

- Gdzie się Pan zakwaterował w Żaganiu? Pewnie w pałacu książęcym?

- Gdy w Szprotawie podczas obiadu opowiadano mi, czym był Żagań w czasach Wacława Lobkovitza i Piotra Birona, natychmiast pomyślałem o wygodnej kwaterze w pałacu. Ale gdy 10 czerwca o godzinie czwartej po południu wysiadłem z powozu i kazałem zaprowadzić się do pałacu, jeden z oficerów odradził mi ten krok.

- Dlaczego?
- „Od lat puste, rozlegle salony były zimne, nieprzytulne, mroczne", powiedział to, co prawie dwieście lat później słusznie napisał historyk Jerzy Piotr Majchrzak. „Zamieniona w magazyn sala teatralna obróciła się w zupełną ruinę. Nieszczelny dach przeciekająca woda deszczowa doprowadziła do przegnicia belek stropowych. Sufity w wielu pomieszczeniach przypominały sito, a opłakany stan podłóg sprawiał, ze strach było do tych sal wejść."

- To gdzie Pan się zakwaterował?
- Zamieszkałem u pana André'a, pełnomocnika księżnej kurlandzkiej Wilhelminy, byłego radcy we Wrocławiu, który popadł w niełaskę po zajęciu stolicy Śląska przez naszą armię. Pałacyk ten, zwany wdowią siedzibą, stoi nadal przy ulicy Szprotawskiej nr 3 i obecnie mieści się tam sąd rejonowy.

- Czy poznał Pan księżnę kurlandzką, właścicielkę dóbr żagańskich?
- Nigdy jej nie widziałem, ale dużo słyszałem o niej, jej matce i siostrach. Musi pan wiedzieć, że uchodzący w 1797 r. z Francji Ludwik XVIII zatrzymał się w Żaganiu. Pałac Piotra Birona na pół roku zamienił się w rezydencję byłego monarchy, co kosztowało księstwo ponad sto tysięcy talarów. Zwrotu tych pieniędzy domagała się księżna kurlandzka po śmierci księcia, swego małżonka. Zamiast pieniędzy otrzymała obietnicę wydania swojej najmłodszej córki Doroty za monarszego bratanka księcia, de Berry. Temu mariażowi zapobiegł car Aleksander I. Po latach Dorota Talleyrand-Périgord napisała: „Błogosławię te chwilę, w której cesarz odwiódł księżnę kurlandzką od pomysłu wydania mnie za tego odrażającego typa".

- A sama księżna miała ochotę zająć miejsce u boku cesarza Napoleona.
- Doszły do mnie słuchy, że spotkała cesarza w Tylży w 1807 r. W liście zwierzyła się przyjaciółce: „Tego człowieka mogłabym poślubić". Gdy cesarz przebywał w Moguncji, natychmiast tam pojechała z nadzieją, że ją przyjmie na prywatnej audiencji i ulegnie jej wdziękom. Do audiencji nie doszło, ale spotkała się z Maurycym Talleyrandem, co w przyszłości zaowocowało związkiem.

- Czy ma Pan na myśli mariaż córki księżnej Doroty z bratankiem napoleońskiego ministra spraw zagranicznych Talleyranda?
- Ślub odbył się we Frankfurcie nad Menem w 1809 r. ku zadowoleniu księżnej matki i pana Talleyranda. Niestety, ku rozpaczy wtedy zaledwie szesnastoletniej Doroty. Pan Edmond Talleyrand-Périgord więcej czasu bowiem poświęcał wojsku niż młodej żonie, a rzadkie powroty do Paryża zwykle kończyły się kolejną ciążą księżnej. Małżeństwo od początku było nieudane, nie dziwię się więc, że zakończyło się rozwodem w 1822 r. Ale zanim to się stało, księżna miała wiele romansów.

- Wróćmy do Żagania. Wiem już, że księżnej Wilhelminy nigdy Pan nie spotkał. Dlaczego?
- Rzeczywiście nie było mi to dane, czego bardzo żałuję. Majątkiem księstwa zarządzał pan André, pełnomocnik księżnej kurlandzkiej Wilhelminy. Księżna przebywała w Pradze i Wiedniu. Zresztą ówczesny Żagań przedstawiał marny widok. Kobieta wrażliwa, oczytana, ładna, mądra nie miała tu czego szukać. Pałac, wcześniej będący galerią sztuki znakomitych mistrzów pędzla, teatrem, w którym przebywali najbardziej znani artyści epoki czy salonem politycznym, wymagał gruntownego remontu. Książęcy Żagań stracił na znaczeniu na rzecz Głogowa, Legnicy, nie wspominam o metropolitarnym Wrocławiu.

- Jakby Pan nazwał to, co zastał w mieście nad Bobrem?
- Mmm... Pustelnia żagańska.

- Czy Żagań naprawdę tak męczył oficera napoleońskiego, jak żalił się Pan bliskim?
- Bardzo męczył. Trudno było znieść ten bezowocny spokój, nudę. W liście do siostry Pauliny określiłem miasto jako dziurę, z której z największą ochotą się wydobędę. Miało to się stać dopiero 26 lipca.

- Dlaczego więc zgodził się Pan zostać intendentem?
- Nie miałem wyboru. Będąc żołnierzem, musiałem podporządkować się rozkazom przełożonych. W skrytości ducha liczyłem na to, że jako uczestnik wprawdzie przegranej kampanii moskiewskiej

1812 r. w końcu dostanę kiedyś obiecywaną intendenturę w Italii. Musisz pan wiedzieć, że początek mojej kariery wojskowej to był Piemont, Lombardia, wtedy też odkryłem uroki Mediolanu. Pokochałem ten kraj, wierzyłem, że tylko tam muza literatury będzie wodziła moje pióro. Z Żagania ponowiłem swoją prośbę o intendenturę we Włoszech. Byłem gotów nawet zrezygnować z ubiegania się o tytuł barona.

- O ile wiem, w epoce napoleońskiej wcale nie było trudno uzyskać tytuł szlachecki. Tytuł barona otrzymywali merowie miast czy sędziowie zasłużeni dla cesarstwa.
- To prawda, że baronów nagle namnożyło się co niemiara. Ale mimo sporych ułatwień w zdobyciu tego tytułu, nie każdy mógł zostać baronem. A kto już go otrzymał, jakaż w nim musiała tkwić duma, gdy mógł używać nie tylko tytułu, lecz i herbu.

- Czym się Pan zajmował w Żaganiu?
- Pracowałem codziennie od dziewiątej do siedemnastej, nie korzystając z piękna dnia. Wszyscy panowie mieli żony lub przyjaciółki, ja byłem samotnikiem. Kiedyś kazałem wnieść pianino do mojej sypialni. Miejscowy nauczyciel muzyki grał na nim przez godzinę Mozarta. Kilka utworów sprawiło mi przyjemność, inne mnie nudziły. Dobrzy wykonawcy są złymi kapłanami muzyki, psują muzykę grając na przykład tylko fragmenty sonat. Poza pracą administracyjną dużo czytałem i obmyślałem. Na moje szczęście zarządzający biblioteką pałacową sekretarz księżnej, Fryderyk Schmeckel, często zapraszał mnie do siebie i wypożyczał mi interesujące książki.

- Nic Pan nie mówi o sprawach kwatermistrzowskich.
- Robiłem jedynie to, co do mnie jako żołnierza należało, za co pobierałem żołd.

- Kronikarze żagańscy piszą, że zbyt często wysyłał Pan w teren oddziały po zboże i mięso.
- Taka była moja rola jako intendenta armii napoleońskiej. Żołnierze musieli dostać żywność, której miejscowi włościanie i chłopi nam skąpili. Jeśli włościanie świadomie ukrywają zboże, to trzeba

je zdobyć choćby siłą, co żołnierze cesarza w takich przypadkach robili. Czasem robili to przy pomocy karabinu, wbrew woli włościan, ale przecież nic strasznego się nie stało.

- Zboże to jedno. Domagał się Pan pieniędzy na utrzymanie swojej licznej świty.
- Takie są prawa wojny, mój panie. Zresztą gdyby mieszczanie przymierali głodem w Żaganiu, to by nie płacili. Przyznaję, czasem kazałem któregoś obić, dla przykładu, żeby inni czuli respekt przed żołnierzami. Przykazałem też obwieścić rajcom miejskim, że kto mając pieniądze będzie się ociągał z płaceniem podatków, sąd wojskowy wyda na niego surowy wyrok. Zdarzyło się, że sąd kazał kilku mieszczan rozstrzelać. Sąd, nie ja. Moje ręce były czyste.

- Na początku lipca źle Pan się poczuł. Mieszczanie dopatrywali się w tym Bożej sprawiedliwości.
- Dostałem silnej gorączki, opowiadano mi potem, że majaczyłem. Jeden medyk wojskowy twierdził, że to z przepracowania, drugi podejrzewał, że zachorowałem na tyfus. W tym czasie w okolicach Żagania rzeczywiście wiele osób zapadło na tyfus plamisty. Dopiero 23 lipca, w pierwszą rocznicę wyjazdu do Rosji, gorączka ustąpiła, ale wciąż czułem się nie najlepiej. Wtedy do kogoś powiedziałem: Już myślałem, że będę miał zaszczyt być pochowanym w Żaganiu.

- I postanowił Pan wyjechać do Drezna.
- Pan Bouquillard zgodził się zastąpić mnie w Żaganiu do czasu, aż się wyleczę w Dreźnie. Na moje szczęście na początku sierpnia cesarz polecił panu Latour-Maubourg, aby z korpusem przemieścił się do Zgorzelca. Nie musiałem już być intendentem w mieście, którego nie lubiłem. W Żaganiu mieszkałem 47 dni. 47 zmarnowanych dni w moim jakże pracowitym życiu.

- Po upadku Napoleona, gdy do Paryża powrócili Bourboni, dostał Pan propozycję objęcia posady dyrektora aprowizacji.
- Odmówiłem jej przyjęcia. Słusznie przypuszczałem, że jako wielbiciela cesarza i uczestnika wyprawy na Moskwę czekają mnie we Francji same upokorzenia. Dlatego osiadłem w Italii, gdzie wreszcie mogłem pisać tak, jak marzyłem będąc żołnierzem Napoleona.

- Jeszcze jedno: w Żaganiu występował Pan pod swoim rodowym nazwiskiem. Później przyjął pan pseudonim literacki Stendhal. Co on oznacza?

- Kiedy armia napoleońska zajęła Niemcy w 1806 r., pan Daru rozkazał mi zająć się kwatermistrzostwem. Odwiedziłem prawie całe środkowe Niemcy, najbardziej spodobało mi się miasto Stendhal. Czułem się w nim niczym w raju. Już wtedy pisałem, ale żeby nie być posądzonym o przedkładanie pisania nad zadania żołnierskie, zacząłem swoje teksty opatrywać pseudonimem: Stendhal. I tak zostało. Musisz pan wiedzieć, że spośród moich kolegów oficerów niewielu zdawało sobie sprawę z tego, że Marie Henri Beyle to Stendhal.

- Dziękuję za rozmowę.

Wielcy w żagańskim pałacu

Na zamku piastowskim rozpoczął budowę pałacu dowódca wojsk cesarskich w wojnie trzydziestoletniej Czech Albrecht Wallenstein. W 1648 r. niedokończoną budowlę kupił pierwszy minister na austriackim dworze cesarza Leopolda I, książę Wacław Lobkovitz. Półtora wieku później posiadłość stała się własnością księcia Kurlandii, Piotra Birona. Tu znalazły swoje miejsce dzieła m.in. Rembrandta, Caravaggia, Canaletta, Brueghela.

W salach zamkowych zawisły obrazy Louisa Rimondiniego, ucznia warszawskiej malarni na zamku Marcella Bacciarelego, który był również autorem architektury wnętrz pałacowych. Wisiały tam też obrazy Józefa Grassiego, nadwornego malarza Stanisława Augusta Poniatowskiego, tworzącego w Żaganiu w 1798 r. W tym samym roku na dworze żagańskim malował Antoni Graff.

W sierpniu 1853 r., podczas 60. urodzin księżnej Doroty de Talleyrand-Périgod, w zamku koncertował Franciszek Liszt. W październiku 1857 r. Liszt znowu dał koncert, tym razem podczas ślubu wnuczki księżnej Doroty, markizy Marii Doroty Castellane, z księciem Januszem Radziwiłłem. Brak pewnych dowodów, że koncertował w Żaganiu Fryderyk Chopin.

W październiku 1847 r. zatrzymał się tu na dwa tygodnie Honoriusz Balzak w podróży na Ukrainę. Czeska pisarka Božená Nemcová dwukrotnie była w Żaganiu. Jej opowiadanie *Siostry* jest oparte na motywach zasłyszanych w mieście nad Bobrem. Tu się urodził i tworzył niemiecki poeta Carl Weisslog.

Gośćmi gospodarzy Żagania byli m.in. król pruski Wilhelm IV, król francuski Ludwik XVIII, król polski August III Sas, ambasador Stanów Zjednoczonych w Berlinie, późniejszy prezydent John Quincy.

Herman Ludwik von Pückler-Muskau – autor nieznany – portret z pracy „Park Mużakowski i atrakcje geoturystyczne z okolic Łęknicy", Żary 2006

Hermann Ludwik Heinrich von Pückler-Muskau

Urodził się 30 października 1785 w Muskau (Mużaków), zmarł 4 lutego 1871 r. w Branitz koło Cottbus (Chociebuż). Studiował ekonomię w Lipsku. Odbył wiele podróży do Anglii, Francji, Szwajcarii, był w północnej Afryce i w krajach Orientu, gdzie zaznajamiał się z ogrodami. Napisał m.in. *Listy Umarłego*, *Szkice o ogrodnictwie w krajobrazie*, *Tutti frutti*. *Z papierów Umarłego*, *Z królestwa Mohameda Ali*. Założył największy w Europie park w Mużakowie (1815-1845). Współtworzył też parki w Poczdamie (1842-1857) i Branitz (1845-1870).

ARCYDZIEŁO LUDZKIEGO GENIUSZU

Rozmowa z Hermannem von Pücklerem-Muskau, twórcą parku Mużakowskiego

- Po obu stronach Nysy Łużyckiej od blisko 200 lat rozciąga się największy w Europie park, zwany Mużakowskim.
- Raduje się moje serce, że to z początku niepozornie wyglądające dzieło sztuki ogrodniczej przetrwało lata. Co więcej, stało się wzorem do naśladowania.

- Dlaczego ten park powstał właśnie w Mużakowie?
- Mużaków to nazwa miejscowości po łużycku i po polsku. Po niemiecku brzmi ona Muskau. Od wieków była tu rodowa siedziba mojej rodziny. Jako młodzieniec nie myślałem o tym, że kiedyś zastąpię ojca na włościach mużakowskich. Gdy na krótko wracałem do domu, ojciec powtarzał, że ziemia tu licha, pola wydarte lasom można obsiewać żytem, owsem, lnem, sadzić kartofle. Te uprawy nie przynoszą wielkiego dochodu. To może lepiej założyć park, powiedziałem żartobliwie, przypominając sobie wspaniale utrzymane, nowoczesne ogrody w Anglii.

- I się sprawdziło.
- W 1811 r., kiedy jako 26-letni rotmistrz służyłem w Drezdeńskim Korpusie Gwardii, ojciec nagle zmarł. Musiałem natychmiast wrócić do Mużakowa i sprawy rodzinne wziąć w swoje ręce. Przyznaję, że nie znałem się na uprawie roli ani na zarządzaniu majątkiem ziemskim. Wtedy stary rządca podpowiedział, abym kontynuował

to, co zaczął mój ojciec, a on doradzi i pomoże. Z początku bardzo lubiłem podglądać w pracy żeńców i kosiarzy, wabił mnie śpiew łużyckich dziewcząt, przyciągały chłopskie wesela i pogrzeby. Z czasem jednak każdą wolną chwilę wolałem spędzać w lesie, siadałem nad brzegiem Nysy i, zamiast myśleć o majątku, podziwiałem krajobraz przyrodą malowany.

- Czy to tam postanowił Pan, że założy park?
- Po dwu latach od śmierci ojca wybrałem się na wschodnią stronę posiadłości. Gdy pierwszy raz zobaczyłem to, co 400 tysięcy lat temu zostawił po sobie lodowiec, aż zaniemówiłem. Przecież to tu znajdowała się największa na świecie morena czołowa. Tu były piękne, naturalne tarasy, wąwozy i rozległe widoki ze wzniesień Łuku Mużakowa. To koniecznie trzeba zachować i pokazać oczom ludzi. Chciałem, aby podziwiali urok ziemi, która poza tą moreną niewiele więcej miała do zaoferowania.

- Wtedy zapadła decyzja: w Mużakowie nad Nysą Łużycką powstanie najpiękniejszy ogród w Europie?
- Tak, ale było wiele przeszkód, których jako laik w architekturze krajobrazu nie przewidziałem. Najważniejsza to ta, że nie znałem się na zakładaniu parków, a nie chciałem zrobić czegoś, czego będę potem żałował, bo zniszczę stare drzewa czy wprowadzę nieład do krajobrazu. Trwało to długo, zanim za poradą angielskich znawców zdecydowałem się na wpisanie parku w naturalne warunki terenu. Chciałem, żeby zwiedzający to miejsce, poruszając się po wytyczonych drogach i ścieżkach, czuł się niczym w galerii obrazów.

- Musiał sobie Książę zdawać sprawę z tego, że to będzie wymagało nie tylko wiele pracy, lecz i ogromnych pieniędzy.
- Na początku nie zastanawiałem się nad tym, skąd wezmę pieniądze, chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, że koszty przedsięwzięcia będą ogromne. 1 maja 1815 r. ogłosiłem list otwarty do mieszczan Mużakowa. Ludzie nie rozumieli, gdy tłumaczyłem, że park powinien mieć charakter jedynie swobodnej przyrody i naturalnego krajobrazu, w którym działalność człowieka jest ledwo widoczna. Ograniczona powinna być do założenia i utrzymania dróg oraz celowego rozmieszczenia niezbędnych budynków.

- Czy ktoś wykonał projekt graficzny ogrodu?
- Zanim podjąłem decyzję o przekształceniu terenu nad Nysą w park, mój przyjaciel pejzażysta, August Schrimer, przygotował serię malarskich wizji. Do współpracy zaprosiłem jednego z najznakomitszych architektów mojej epoki Karla Friedricha Schinkla, tego samego, który wzniósł katedrę w Berlinie, pałace w Owińskach i Antoninie, w jego dorobku jest pomnik Mieszka I i Bolesława Chrobrego w Poznaniu. Rad udzielał mi angielski architekt krajobrazu, John Adey Repton. Na niewiele by się wszystko zdało, gdyby nie doświadczenie mużakowskiego ogrodnika, Jacoba Heinricha Rehdera. Wspólnie ustaliliśmy, że nie będzie to zwykły park krajobrazowy, jakich wiele w Anglii czy północnej Francji, lecz wyjątkowy krajobraz parkowy.

- Od czego Książę zaczął przebudowę?
- Musiałem przekonać właścicieli dwóch tysięcy mórg ziemi, żeby mi je sprzedali, co nie było łatwe w regionie, gdzie ziemia stanowi podstawę bytu. Przekonywanie ich trwało długo i choć w końcu zgodzili się, kosztowało mnie to znacznie więcej niż zakładałem. Mużaków, jesteś tylko moim przekleństwem, powtarzałem, zdając sobie sprawę, że nie będzie łatwo dokonać tego, co sobie umyśliłem.

- Jaki był kolejny krok?
- Gdy miałem plan urządzania parku, krok po kroku zgodnie z nim postępowałem. Na zachodnim brzegu Nysy, gdzie jest położone miasteczko Mużaków, przy rezydencji powstały ogrody z dywanami kwiatowymi, nowym jeziorem, oranżerią. Park na wschodnim brzegu rzeki to przede wszystkim mosty, wiadukty, łuki, drogi i ścieżki, szkółki, bażanciarnia. Dużo zniszczonych drzew trzeba było usunąć, na ich miejsce posadzić nowe lub przenieść z innych miejsc. Starałem się sadzić takie drzewa, które najlepiej się czują w specyficznym, dość łagodnym klimacie Mużakowa. Robiłem wszystko, żeby zachować wiekowe dęby, które wnoszą nie tylko majestat i piękno, ale mają swoistą moc i symbolikę. Tym najdostojniejszym z nich nadawałem imiona kobiece i germańskich bogów.

- Czy to znaczy, że nie miał Książę zamiaru sprowadzać roślin z innego klimatu?

- To dotyczyło arboretum, założonego już wtedy, kiedy park nie był moją własnością. W arboretum znalazło się miejsce dla trzech tysięcy rzadkich drzew i krzewów, rosnących głównie w ciepłym klimacie.

- Gdy oglądałem park, on wciągał mnie coraz głębiej. Powodował moją ciekawość i sam na nią odpowiadał.
- Starałem się tak go zbudować, żeby za każdym zakrętem znajdowało się coś intrygującego do zobaczenia. Za jednym była więc □d-teresująca budowla, za drugim okazałe drzewo, za trzecim piękny widok.

- Na co warto szczególnie zwrócić uwagę, spacerując po parku?
- Wędrówki po tak dużym obszarze wymagają czasu i siły. Zdawałem sobie z tego sprawę, dlatego powstały drogi dla pojazdów. W dowolnym miejscu można się zatrzymać, zwiedzić najciekawsze okolice, wsiąść do pojazdu, znowu się zatrzymać. Kontemplować. Nacieszyć oczy pejzażem Górnych Łużyc. Posłuchać koncertu w wykonaniu orkiestry złożonej z dębów, klonów, wiązów, □decy-trów, janowców, storczyków.

- Od czego zatem Książę radzi rozpocząć zwiedzanie?
- Z mojego punktu widzenia tu wszystko jest niesamowicie interesujące. Oglądanie można rozpocząć od głazu z medalionem mojej pamięci. Mija się tam średniowieczny dąb Klementyny i łąkę łagodnie opadającą ku Nysie, na której kwiaty wygrzewają się w słońcu. Ze wzgórza Hilke roztacza się piękny widok na most Podwójny spinający brzegi rzeki. Dalej jest most Królewski, kiedyś obsadzony dzikimi winoroślami. Warto dotrzeć do dębu Hermana, otoczonego kręgiem kamiennych siedzisk. Niepowtarzalny widok roztacza się ze Wzgórza Marii. W sąsiedztwie szkółek i mauzoleum stoi most Arkadowy.

- Gdzie jest Anglia? Pytam o miejsce w parku o tej nazwie.
- Ta kraina Zjednoczonego Królestwa leży w północnej części Europy. Identycznie, to znaczy w północnej części Mużakowa, znajduje się parkowa Anglia. To był teren obejmujący karczmę, domek

karczmarza, kręgielnię, strzelnicę, altany i pawilon taneczny. Kazałem postawić te obiekty na pamiątkę moich podróży na Wyspy, które podpowiedziały mi wiele rozwiązań parkowych. Niestety, moja Anglia przetrwała tylko do końca drugiej wojny światowej.

- A dlaczego nakazał Książę rozebrać wieś Kobjelin?
- Postanowiłem, że po wschodniej stronie Nysy nie będzie żadnych budowli. Pozostanie tylko to, co jest w parku. Mieszkańców starego Kobjelina przeniosłem na zachodni brzeg, gdzie za pieniądze uzyskane ze sprzedaży swojej ziemi postawili nowe domy.

- Po zachodniej stronie Nysy powstał park Zdrojowy, w nim Łazienki Hermanna, zwane też Zdrojami Hermanna.
- To zasługa mojej żony Lucie, która kierowała wieloma pracami po obu stronach rzeki. Gdy łazienki były gotowe powiedziałem do Lucie: zrób wszystko według swego gustu, na pewno będzie mi się podobało. 23 czerwca 1823 r. uzdrowisko zostało otwarte. Zastosowano tu pierwsze kąpiele z dodatkiem borowiny bogatej w żelazo, pochodzącej z miejscowych źródeł. Lecznicze własności tutejszych wód mineralnych były znane od dawna.

- Trzy lata po tym wydarzeniu Książę rozwiódł się z żoną.
- Na założenie parku wydałem za dużo pieniędzy, groziło mi bankructwo, dlatego zdecydowałem się na rozwód z Lucie i poślubienie majętnej damy. Przyznaję, że zrobiłem to wyłącznie dla posagu. Zresztą za zgodą Lucie. Niestety, nie doszło do nowego związku, więc mimo rozwodu nadal mieszkałem z Lucie i stanowiliśmy parę, formalnie wyłączoną spod prawa stołu i łoża. Jedynie formalnie, bo w rzeczywistości niewiele się w naszym życiu zmieniło.

- Kronikarze dziejów Mużakowa podają, że był Książę znany z licznych afer.
- Każdemu można przypisać jakieś nieprawości. Gdybym rzeczywiście był groźnym aferzystą, to w 1822 r. król Prus, Fryderyk Wilhelm III, nie nadałby mi tytułu książęcego.

- Ci sami kronikarze piszą, że już po rozwodzie był Książę więcej niż zaprzyjaźniony z wieloma kobietami.

- Nie ma w tym niczego złego, wszak byłem wolnym, zdrowym mężczyzną. Pragnąłem kochać i być kochanym... Pytasz pan o jakąś □dekretną damę?

- Owi kronikarze wspominają choćby śniadoskórą Abisynkę.
- W 1837 r. podczas pobytu w Egipcie ciekawość zaprowadziła mnie na targ niewolników w Chartumie. Tam zobaczyłem Ajiamé, w rzeczywistości nosiła imię Machabuba. Mimo dopiero dwunastu lat, jak twierdził handlarz, była najpiękniejszą kobietą, jaką wtedy □dje ponad pięćdziesięcioletnie oczy widziały. Bez targowania się za-płaciłem za nią sto talarów. Po przyjeździe do Europy kazałem ją uczyć. Niestety, trzy lata później moja Machabuba zapadła na gruźlicę i umarła.

- Mimo iż nie była chrześcijanką, została pochowana na cmentarzu przy kościele świętego Jakuba w □decy□wie, gdzie spoczywały prochy zasłużonych mieszczan.
- Długo nie umiałem pogodzić się z jej śmiercią. Proszę mi wierzyć, że była to wyjątkowo błyskotliwa kobieta, nieprzeciętnie zdolna. Ładna, nawet bardzo ładna. Płynnie mówiła po włosku, towarzyszyła mi w podróżach po krajach Orientu. Po jej śmierci straciłem zapał niezbędny do urządzania ogrodu.

- Czy dlatego w 1845 roku sprzedał Książę Mużaków?
- Przeliczyłem się z wydatkami. W czasie nasilonych prac zatrudniałem nawet do 200 osób. Groziło mi bankructwo, które wisiało nad moją głową jeszcze przed rozwodem z Lucie. Dlatego □decydowałem się na sprzedaż majątku rodowego księciu Fryderykowi Niderlandzkiemu, który zapewniał mnie, że zrobi wszystko, aby dokończyć dzieła w kształcie przeze mnie zaprojektowanym. Miałem pewność, że tak się stanie, ponieważ obowiązki inspektora ogro-dów mużakowskich książę powierzył mojemu uczniowi Eduardowi Petzoldowi.

- Po śmierci księcia Fryderyka majątek mużakowski przeszedł w ręce rodziny Arnimów.
- Na początku stawiali oni na rozwój gospodarczy posiadłości, co rozumiałem, ale nie mogłem się pogodzić z takim podejściem, bo bardzo na tym cierpiał park. Niepotrzebnie na miejscu młyna zwa-

nego Neissemühle w południowej części parku przyzamkowego pobudowali fabrykę kartonów. Z biegiem lat zmieniali swój stosunek do przyrody, wprowadzając w parku wiele modyfikacji i potrzebnych uzupełnień. Za ich czasów w ogrodzie Panów znalazło się miejsce dla rododendronów i azalii. Do końca drugiej wojny światowej park wyglądał przyzwoicie.

- Po sprzedaży posiadłości w Mużakowie osiadł Książę w Branitz koło Chociebuża. Dlaczego tu, a nie na przykład w królewskim Poczdamie?

- Spodobało mi się to miejsce, mimo że to już Dolne Łużyce, było jednak podobne do doliny nadnyskiej. Po rozmowie z Lucie postanowiłem, że Branitz będzie naszym nowym dziełem. W Mużakowie popełniłem kilka błędów, których usunięcie było możliwe, ale wymagało dużych nakładów finansowych i mogło okazać się chybione. Zakładając park w Mużakowie doświadczyłem czegoś, czego nie widziałem w Anglii, a co ujawniło się dopiero na ziemi łużyckiej, ponieważ wynikało z odmiennego klimatu. Zresztą przedstawiłem to w *Szkicach o ogrodnictwie krajobrazowym*.

- Pana parki są tworzone na wzór obrazów malowanych drzewami, wodą i ziemią.

- Taki miałem cel. Zawsze powtarzałem przyjaciołom, gdy mnie pytali, dlaczego w moich parkach czują szept drzew, widzą tyle kolorów i światła, że starałem się dać wolność drzewom. Tę samą wolność, o której my jako ludzie marzymy. Dlatego zrezygnowałem ze sztywnych zasad symetrii. Kto widział ogrody w Mużakowie, ten wejrzał w me serce.

- Powiadano, że jest Książę Goethem krajobrazu.

- Starałem się równoważyć związki natury, kultury, techniki i ducha. Chciałem, żeby park był procesem w toku, a nie finalną postacią. Tak, drzewa, moje kochane drzewa.

- 2 lipca 2004 r. park został wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

- Komitet uznał park za arcydzieło geniuszu ludzkiego i docenił jego ogromny wpływ na europejską sztukę ogrodową. Nie bez zna-

czenia było i to, że park rozdzielony graniczną rzeką leży w dwu państwach, które pieczołowicie zajęły się jego odbudową i utrzymaniem.

- Jestem wdzięczny Księciu za rozmowę.

Park Mużakowski w liczbach
powierzchnia - 728 ha
po stronie polskiej – 522 ha
po stronie niemieckiej – 206 ha

Park Krajobrazowy „Łuk Mużakowa"
(utworzony w 2001 r. na podstawie decyzji Wojewody Lubuskiego)
po stronie polskiej powierzchnia – 18.200 ha

Szymon Wiesenthal – fot. Wikipedia

Szymon Wiesenthal

Urodził się 31 grudnia 1908 w Buczaczu w Galicji, zmarł 20 września 2005 r. w Wiedniu. Przed drugą wojną światową był architektem. W czasie okupacji więzień pięciu obozów śmierci. Tropienie zbrodniarzy hitlerowskich rozpoczął 5 maja 1945 r. tuż po wyzwoleniu przez Amerykanów obozu w Mauthausen, w którym przebywał jako więzień. W 1947 założył w Linzu Żydowskie Centrum Dokumentacji, w 1954 r. przeniesione do Wiednia. W 1977 r. jego imieniem nazwano Centrum Studiów nad Holokaustem Yeshiwa University w Los Angeles. Doprowadził przed wymiar sprawiedliwości ponad tysiąc przestępców wojennych. Napisał m.in. autobiografię *Prawo, nie zemsta*.

PRELUDIUM ZAGŁADY

Rozmowa z Szymonem Wiesenthalem, żydowskim tropicielem nazistów

- 28 października 1938 r., ku zaskoczeniu władz II Rzeczypospolitej, granicę niemiecko-polską przekroczyły tysiące Żydów. Co się wtedy stało?

- Tego i następnego dnia Niemcy deportowali do Polski około 17 tysięcy Żydów. Byli to obywatele polscy, na stałe mieszkający w Niemczech i Austrii. Wcześniej na polecenie Rainharda Heydricha policja przygotowała spis osób, które zostaną wydalone z III Rzeszy. Wczesnym rankiem 28 października do mieszkań zajmowanych przez Żydów przychodzili policjanci i dawali im pół godziny na spakowanie swego dobytku. Po tym czasie policjanci zamknęli mieszkania, a Żydów doprowadzili do stacji kolejowych, skąd ruszyły pociągi i autobusy w stronę granicy z Polską.

- Dlaczego do tego doszło?

- Proszę przypomnieć sobie, że od 1933 r. nieograniczoną władzę w Niemczech mieli narodowi socjaliści Adolfa Hitlera. Od 1935 r. obowiązywały tam ustawy norymberskie. Pozbawiały one wyznawców religii mojżeszowej obywatelstwa niemieckiego, a tym samym Żyd nie miał prawa głosowania i nie mógł zajmować stanowisk publicznych. Paszporty żydowskie oznaczono literą „J", nakazano przyjęcie nazwisk charakterystycznych dla Żydów. Ustawa o ochronie czci i krwi niemieckiej zabraniała małżeństw i stosunków seksualnych między Żydami a obywatelami krwi niemieckiej i pokrewnej.

- Co to znaczy: krwi pokrewnej?
- Po tzw. *anschlussie* Austrii, czyli włączeniu tej republiki do III Rzeszy 12 marca 1938 r., co stało się na wniosek austriackich narodowych socjalistów, ustawy norymberskie obowiązywały także w tym kraju. To tu Adolf Eichmann dopracowywał technikę ekspediowania Żydów za granicę, za co musieli płacić przekazywanymi III Rzeszy majątkami.

- Czy określono termin powrotu Żydów z Rzeczypospolitej do swoich domów?
- To było wypędzenie na zawsze. Przeznaczonym do wywózki zabroniono zabierania z mieszkań cenniejszych przedmiotów. Zresztą co można zabrać ze sobą mając tylko pół godziny na spakowanie się? W pozostawionych przez nich domach zamieszkali hitlerowscy funkcjonariusze lub ci, którzy czymś się zasłużyli nazistom. Wywożonym Żydom powiedziano, że wracają do swego kraju, bo tak sobie życzą władze Rzeczypospolitej.

- Władze polskie miały z tą akcją jakiś związek?
- Na pewno pojawienie się w ciągu doby tak wielu Żydów na granicy polsko-niemieckiej zaskoczyło władze Rzeczypospolitej. Chociaż z drugiej strony mogły się spodziewać takiego właśnie kroku ze strony Niemiec.

- Niemcy zapowiadali wypędzenie polskich Żydów z III Rzeszy?
- 31 marca 1938 r., zaraz po *anschussie* Austrii, Sejm uchwalił ustawę, w myśl której obywatelstwo polskie tracił ten, kto nie tylko działał na szkodę państwa, ale i co najmniej pięć lat nieprzerwanie przebywał poza Rzeczpospolitą. W październiku, jeszcze przed akcją nazistów, polskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nakazało posiadaczom paszportów uzyskanie potwierdzenia, czyli zdobycie stempelka. Kto nie miał tego stempelka, nie mógł przekroczyć polskiej granicy po 26 października 1938 r.

- O co więc chodziło?
- Nie ulega wątpliwości, że wydalenie polskich Żydów z Niemiec to efekt rasistowskiej polityki III Rzeszy. To także, przykro o tym

mówić, skutek polityki władz II Rzeczypospolitej. Jeszcze wiosną 1936 r. Ministerstwo Spraw Zagranicznych przygotowało projekt ustawy pozbawiającej obywatelstwa polskiego osoby przebywające dłużej za granicą. Krótko mówiąc, w związku z tym co się działo w Niemczech, władze II RP obawiały się masowego powrotu polskich Żydów.

- Przecież międzywojenna Polska była krajem wielonarodowościowym. Dlaczego władze w Warszawie obawiały się Żydów?

- Autor przepisów z 1938 r. o utracie obywatelstwa Wiktor Drymmer z polskiego MSZ tłumaczył to tak na konferencji konsulów w Berlinie, że celem ustawy jest „podniesienie godności obywatela polskiego przez wykluczenie wszystkich tych, którzy nie są godni, a przede wszystkim pozbycie się elementu niebezpiecznego (mniejszości, a zwłaszcza Żydów) jako elementu destrukcyjnego".

- II Rzeczpospolita zaakceptowała traktat w sprawie ochrony mniejszości.

- Polska m.in. ustami szefa rządu Ignacego Paderewskiego w 1919 r. uznała ten traktat za narzucony przez Ligę Narodów. Mimo to do 1934 r. stosowała się do jego postanowień. Gdy w Niemczech zaczęła się antyżydowska nagonka, Warszawa zmieniła swój stosunek do mniejszości narodowych.

- Do wszystkich mniejszości w Rzeczypospolitej czy tylko do Żydów?

- Przede wszystkim do mniejszości żydowskiej. Do laski marszałkowskiej wpłynął projekt ustawy, w myśl którego każdy mógł zmienić swoje nazwisko z wyłączeniem wyznającego religię mojżeszową. Od 1936 r. studenci pochodzenia żydowskiego musieli słuchać wykładów nie z dowolnych miejsc w sali, lecz z wyznaczonych dla nich ławek.

- Były oficjalne decyzje władz międzywojennej Rzeczypospolitej czy wymysły osób mających wpływ na życie polityczne w kraju?

- Oficjalnie to, na przykład, premier Felicjan Sławoj Składkowski w czerwcu 1936 r. w przemówieniu sejmowym potępił przemoc fi-

zyczną wobec Żydów. Tenże polityk jednak zaakceptował bojkot ekonomiczny mniejszości żydowskiej. Reprezentujący ludowców Wincenty Witos uważał, że Żydów jest za dużo w administracji, sądownictwie, dziennikarstwie. Istniało określenie: zażydzenie inteligencji.

- Czy nikt się temu nie sprzeciwił? Nikt nie uznał tego za nieludzkie? Nikomu nie przyszło na myśl, że trzeba to potępić?
- Były głosy uznające odżydzanie kraju za rasistowski nonsens, ale do niewielu one docierały. Jak podaje współczesny badacz tego zjawiska profesor Jerzy Tomaszewski, pisarka katolicka Zofia Kossak-Szczucka ogłosiła w „Prosto z mostu" artykuł, w którym opowiadała się za walką ekonomiczną z Żydami, ale przeciw walce religijnej. Tłumaczyła, że „Bóg w swej wszechwiedzy znajdzie zapewne dla naszych win antyżydowskich okoliczności łagodzące".

- Wróćmy do wysiedlenia Żydów z Niemiec i Austrii w 1938 r. Czy oni na pewno musieli zostawić swoje domy i przekroczyć granicę?
- Gdy to się stało, do Zbąszynia przyjechał publicysta Józef Mackiewicz, potem na łamach wileńskiego „Słowa" napisał, że Niemcy doprowadzili Żydów do granicy i pod groźbą strzelania do nich zabronili powrotu. Czy Polacy też mieli grozić użyciem broni? I mimo że Mackiewicz nie był sprzymierzeńcem moich współplemieńców, uważał, że „strzelać do nich nie było podobna. Polska przyjęła tych ludzi i zrobiła dobrze."

- Czy wysiedlonymi Żydzi byli włącznie pochodzenia polskiego?
- Tak twierdzili Niemcy. U Mackiewicza znalazłem taką wiadomość: „Jeśli chodzi o Zbąszyń, są tam Żydzi nie znający absolutnie języka polskiego, w znacznym stopniu urodzeni już w Niemczech, przepojeni zewnętrznym polorem niemieckim, kulturą, oczytaniem niemieckim".

- Sądzę, że zamieszkałe przez blisko sześć tysięcy Polaków nadgraniczne miasteczko nie było przygotowane na przyjęcie ponad sześciu tysięcy wysiedleńców.

- Nikt po stronie polskiej nie spodziewał się przybyszów. Władze Zbąszynia nie były przygotowane na udzielenie im noclegu, na wykarmienie, nawet na wyznaczenie miejsc załatwiania czynności fizjologicznych. Było za mało strażników Korpusu Ochrony Pogranicza, żeby przeprowadzić kontrolę, dlatego przybyłych pociągami zatrzymano w wagonach. Pieszym kazano czekać na drogach, a potem kierowano ich do pustych koszar wojskowych.

- Żydzi musieli podporządkować się decyzji Niemców?
- Na pana pytanie odpowiem relacją małżonków z Hamburga, przechowywaną w Yad Vashem w Jerozolimie. Mówili oni, że „największa grupa do 700 osób była wydalona o godz. 9.30. Grupa ta usiadła przy granicy polskiej po stronie niemieckiej, odmawiając udania się na teren Polski. Ponieważ siły policyjne i straży granicznej nie wystarczały, sprowadziły władze niemieckie kompanię wojska, które z bagnetami nasadzonymi na karabiny ruszyło do atakowania siedzących, bijąc ich i tratując. Bagnetami i kolbami karabinów zmusili żołnierze wydalonych do przejścia na teren Polski."

- Jak postępowano wobec tych, którzy nie mieli dokumentów świadczących o jakimkolwiek związku z Polską?
- Ponad sto takich osób Polacy odesłali pociągiem do Niemiec. III Rzesza część przyjęła, a część ponownie wysłała do Polski. To Polska znowu odesłała je do Niemiec, a Niemcy znowu zawrócili je do Polski. Ci ludzie zostali pozbawieni wszelkich praw, nikt się nimi nie interesował i nikomu nie byli potrzebni.

- W jaki sposób udzielono pomocy pozostałym Żydom?
- Jak już mówiłem, Zbąszyń nie był przygotowany na przyjęcie sześciu tysięcy przybyszów. Jego władze jednak starały się stworzyć minimum warunków, w jakich mogą przebywać ludzie. Część przybyszów zakwaterowano w obozie urządzonym w koszarach, resztę umieszczono we wszystkich nadających się do tego miejscach, m.in. w sali ćwiczeń, byłej szkole, ochronce, strzelnicy, bożnicy. W młynie Grzybowskiego znalazło schronienie aż półtora tysiąca moich współplemieńców. Ponadto każdy mieszkaniec miasteczka, który miał serce i miejsce w domu, przyjmował pod swój dach przybyszów.

- Władze państwowe umyły ręce w tej sprawie?
- Bardzo pomocna okazała się administracja samorządowa Zbąszynia i powiatu nowotomyskiego. Ci ludzie zrobili tyle, ile umieli, ile mogli. Józef Mackiewicz, który był obserwatorem tej akcji, pisał, że „powinna zjechać do Zbąszynia specjalna komisja, urzędować stale, urzędować tak długo, aż się rozładuje to miasto".

- Jak się zachowali Żydzi w głębi Polski?
- W Warszawie natychmiast powstał Żydowski Komitet Pomocy Wysiedlonym, który wraz z miejscowym personelem pomocniczym liczył 72 osoby. On zajął się aprowizacją, prowadził kuchnie, skierował do Zbąszynia lekarzy, starał się o koce i sienniki, odzież na zimę. W tym czasie handlowcy zbąszyńscy nie mogli podwyższać cen. Mimo to, pisał Mackiewicz, „wszędzie ten sam obraz, Żydzi. Nędzne palta. Czasem twarz wytarta, przygnębiona, blada".

- Do kiedy istniał obóz w Zbąszyniu?
- Miasteczko zostało obstawione przez policję i strażników Korpusu Ochrony Pogranicza, nikt bez zezwolenia nie mógł więc stąd wyjechać w głąb kraju. Gdy sprawa zrobiła się głośna, polscy krewni i znajomi Żydów wydalonych do Zbąszynia zaczęli oferować im pomoc. Wielu przyjeżdżało do starostwa po swoich bliskich obiecując, że zapewni im utrzymanie, pracę, mieszkanie. Część złożyła wnioski o wyjazd głównie do Stanów Zjednoczonych. Jeszcze w połowie lutego 1939 r. w Zbąszyniu przebywało blisko cztery i pół tysiąca wypędzonych.

- Kiedy ostatni wypędzony z Niemiec Żyd opuścił Zbąszyń?
- Z dokumentów wynika, że dopiero na pięć dni przed wybuchem drugiej wojny światowej, a więc 26 sierpnia 1939 r. obóz przestał istnieć. Ile naprawdę osób Niemcy wypędzili do Zbąszynia, nigdy dokładnie nie ustalono. W chwili likwidacji obozu starosta nowotomyski raportował, że ponad sześć tysięcy Żydów wyjechało w głąb Polski, najczęściej do rodzin, prawie dwa tysiące wróciło do Niemiec i blisko tysiąc wybrało emigrację. Z przybliżonej arytmetyki wynika, że w przedsionku końca świata, jakim był Zbąszyń, przebywało co najmniej dziesięć tysięcy Żydów deportowanych do Polski z III Rzeszy.

- Historycy podają, że istnieje związek między odstawieniem Żydów do Zbąszynia a Kryształową Nocą w Niemczech.

- W Paryżu 7 listopada 1938 r. 17-letni Herszel Grynszpan, syn Sendela Grynszpana, szewca wypędzonego do Zbąszynia, zastrzelił radcę ambasady niemieckiej Ernsta von Ratha. Podczas przesłuchania przez francuską policję młody Grynszpan powiedział, że zrobił to na wiadomość o wysiedleniu Żydów z Niemiec. Dwa dni później minister propagandy III Rzeszy Joseph Goebbels dał sygnał do pogromu. 9 listopada 1938 r. była tzw. Kryształowa Noc, a stąd już tylko krok do holokaustu.

- Dziękuję za rozmowę.

Żydzi wysiedleni z III Rzeszy do Polski w Zbąszyniu

1938 r.

28 października:

godz. 20.30, szosą Zbąszyń - Rogatka – 654
godz. 21.00, drogą przy torach kolejowych – ok. 300
po 21.00, co pół godziny szosą Chlastawa - Zbąszyń – ok. 700
godz. 22.13, pociągiem – 900

29 października:

godz. 2.56, pociągiem – 1050
godz. 9.09, pociągiem – 800
godz. 10.35, pociągiem – 500
godz. 17.39, pociągiem – 550
drogami Zbąszyń - Rogatka i Chlastawa - Nądnia – 700

28 i 29 października tylko na zbąszyńskim odcinku granicy Niemcy wydalili do Polski 6074 osoby.

PODZIEMNE MIASTO

Rozmowa z gen. Michaiłem Katukowem, dowódcą radzieckiej 1. Armii Pancernej Gwardii

- Czy często bywa, że wybitny dowódca wojsk pancernych chwyta za pióro i pisze rozprawy o zadaniach podległych sobie oddziałów?
- Gdybym urodził się w innym czasie i miał umiejętności niewojskowe, może zostałbym uniwersyteckim profesorem albo pisarzem. Pisanie raportów na potrzeby wojska nie sprawiało mi radości, ale kiedy miałem coś ważnego do powiedzenia, potrafiłem przyssać się do papieru jak pijawka i pisać, nie pamiętając o tym, co się wokół mnie dzieje. To cecha wielu dowódców oddziałów wojsk pancernych, o których nie bez powodu mówi się, że są mózgiem armii.

- I dlatego opisał Pan walki o Międzyrzecki Rejon Umocniony?
- Międzyrzecki Rejon Umocniony?

- Chodzi mi o linię umocnień wzdłuż łuku utworzonego przez Wartę i Odrę. Niemcy mówili na to Festungsfront Oder-Warthe-Bogen lub Ostwall.
- A! Pyta pan o Czworokąt Odrzański? Umocnienia na obszarze tzw. bramy lubuskiej?

- To właśnie miałem na myśli.
- Nasz wywiad wojskowy ów, jak pan powiedział, Międzyrzecki Rejon Umocniony jeszcze przed wybuchem drugiej wojny nazwał

Czworokątem Odrzańskim i tak zostało. Od samego początku wzbudzał on nasze ogromne zainteresowanie, a szczególnie w związku z tym, że traktat wersalski zabraniał Niemcom wznoszenia fortyfikacji. Zapis z jednej strony, a zbrojenie się i nadzieja na odzyskanie czołowej pozycji gospodarczej na świecie z drugiej. Tego chciały przede wszystkim koła finansowo-przemysłowe, chociaż i ci, którzy uważali traktat wersalski za zbyt surowy wobec narodu niemieckiego.

- To i dlatego Niemcy odzyskały swoją pozycję. Ba, ustanawiały porządek polityczny w Europie.

- Nie jestem politykiem, więc niewiele mogę na ten temat powiedzieć. Z wojskowego punktu widzenia Niemcy popełnili wiele błędów. Błędem było choćby zbudowanie owego Czworoboku Odrzańskiego. Przyjęli oni bowiem dziewiętnastowieczną koncepcję obrony swoich granic, stawiając na rozbudowę ufortyfikowanych obiektów militarnych. Ich taktycy zakładali, że twierdze spełnią rolę tzw. łamaczy fal podczas ataku wojsk nieprzyjaciela. Taką twierdzą był ów rejon umocniony koło Międzyrzecza, to podziemne miasto, nie mające sobie równego na świecie.

- Panie Generale, dlaczego zbudowali umocnienia akurat w tym miejscu?

- Niemcy poszli śladem piastowskich władców Polski. Proszę sobie przypomnieć, gdzie już w dziesiątym wieku było najwięcej grodów obronnych. Tu właśnie, wzdłuż środkowej Odry, a więc w Kostrzynie, Lubuszu, Śliwicach (to Słubice), Szydłowie (to blisko Gubina), Krośnie Odrzańskim, Gubinie. Troszkę dalej na wschód były wysunięte grody w Santoku, Międzyrzeczu, Kopanicy. Tędy bowiem, przez bramę lubuską, armia nieprzyjaciela mogła najłatwiej przejść i dlatego tu trzeba było się bronić.

- Rozumiem piastowskich władców, którzy tu stawiali grody, ponieważ zagrożenie mogło nadejść ze strony Brandenburgii. Ale w dwudziestym wieku Polacy nie stanowili zagrożenia dla Niemców, a tym bardziej po traktacie wersalskim.

- Oni nie byli pewni, czy Polska jako sojusznik Francji w razie ataku od zachodu nie uderzy od strony wschodniej. Ponadto, czego

dopatrywał się nasz wywiad, nie wyzbyli się myśli, że radzieckie państwo robotników i chłopów jeszcze raz będzie chciało wywołać rewolucję, która rozleje się na całą Europę. Dlatego postanowili zbudować umocnienia, które, jak zapewniali ich wojskowi i inżynierowie, były nie do pokonania od strony wschodniej.

- Niewiele się pomylili.
- Nie my, nie wy, nie Francuzi czy Anglicy, lecz oni wywołali tę wojnę. Stara to prawda, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

- Traktat wersalski, o czym Pan już wspomniał, zabraniał Niemcom wznoszenia umocnień, a mimo to się zbroili. Mało tego, powołali do życia nawet Inspekcję Saperów i Fortyfikacji.
- Międzyaliancka Wojskowa Komisja Kontrolna była słabiuteńka, chociaż bodajże w 1925 r. nakazała Niemcom częściowe rozebranie nowo wzniesionych fortyfikacji. Wzdłuż granicy z Polską wyznaczyła 50-kilometrowy pas, na którym nie można było budować żadnych umocnień. Tyle że dwa lata później komisja wyjechała z Niemiec i już nikt nie kontrolował ich terytorium. A kiedy w 1933 r. partia nazistowska przejęła władzę w Berlinie, przecież nie bez pomocy niemieckich kół finansowo-przemysłowych, Rzesza zaczęła się zbroić przy podniesionej kurtynie.

- Przykład dała jej Francja.
- Ma pan na myśli pas fortyfikacji na granicy z Niemcami, Luksemburgiem i częściowo Belgią, bardziej znanym jako linia Maginota?

- Tak, Panie Generale.
- To była reakcja Francuzów na zachowanie się Niemców po Wersalu. Chcieli im w ten sposób dać do zrozumienia, że nie są panami Europy. Niestety, fortyfikacje Maginota okazały się nieprzydatne, bowiem w maju 1940 r. Niemcy obeszli je, przełamując linię Daladera pod Sedanem i Maubeuge.

- Wznoszenie umocnień na swoim wschodzie Niemcy rozpoczęli w 1928 r., dwa lata po tym, jak Francuzi zaczęli budowę linii Maginota.

- Wtedy powstała Linia Odrzańska, ciągnąca się od Cigacic w górę Odry aż do ujścia Kaczawy. W tym samym czasie trwały prace nad umocnieniami na północ od Gorzowa, mówię o tym, co później otrzymało nazwę Wału Pomorskiego. Na końcu przystąpili do budowy środkowego odcinka fortyfikacji, owego Czworoboku Odrzańskiego, który Polacy nazywają Międzyrzeckim Rejonem Umocnionym.

- Dlaczego budowę tego odcinka Niemcy zaczęli na końcu?
- Plany budowy powstały jeszcze przed wielkim kryzysem w 1929 r. Ponieważ koszty okazały się bardzo wysokie, zdecydowali się najpierw postawić fortyfikacje tańsze, czyli Linię Odrzańską i Wał Pomorski. Wznoszenie umocnień na terenie bramy lubuskiej rozpoczęli w rok po dojściu nazistów do władzy, kiedy było jasne, że III Rzesza za wszelką cenę będzie chciała odbudować swój potencjał militarny. Hitler zdobył władzę z jednej strony obiecując likwidację bezrobocia, z drugiej przywrócenie pozycji państwa w świecie i jedności jego narodu.

- W 1934 r. zaczęli budowę umocnień pod Międzyrzeczem, a cztery lata później ją przerwali. Dlaczego?
- Było to ogromne przedsięwzięcie inżynierskie, wymagające wielkich pieniędzy. Kiedy wykonano większość podstawowych fortyfikacji, hitlerowscy wojskowi zrewidowali dotychczasową koncepcję militarną Niemiec. Pod ich wpływem Hitler stwierdził, że Czworobok Odrzański jest zbędny, dlatego prace przerwano. Dopiero w 1944 r., po klęskach na wschodzie, kiedy nastąpiło zagrożenie kierunku berlińskiego, nakazał przyspieszone fortyfikowanie tego rejonu.

- Kto zbudował te obiekty?
- Najpierw budowały je firmy niemieckie. W czasie wojny do roboty wykorzystywano robotników przymusowych i jeńców. Niefachowcy byli tam mało przydatni. Tunele drążono metodami górniczymi, zakładano specjalne szalunki i wylewano beton. Chodziło bowiem o dokładność. Zbrojone ściany kopuł pancernych miały grubość 220 centymetrów, a stropów do 250 centymetrów. Do wykonania takich budowli byli potrzebni wysokiej klasy specjaliści.

- Wspomniał Pan o kopułach pancernych. Do czego one służyły?
- Były to zakończenia widocznych na powierzchni tzw. panzerwerków. Zbudowano ich ponad sto, każdy miał dwie lub trzy kondygnacje. W dolnych częściach znajdowały się pomieszczenia do wypoczynku załogi, liczącej od sześćdziesięciu do stu żołnierzy, kuchnia, umywalnia, centrala telefoniczna. W części górnej były pomieszczenia bojowe, stanowiska ciężkich karabinów maszynowych, magazyny amunicji.

- Na początku naszej rozmowy określił Pan budowle przymiędzyrzeckie jako podziemne miasto.
- Na powierzchni sztucznie pofałdowanego terenu było widać jedynie zamaskowane kopuły pancerne. Dociekliwy obserwator mógł dostrzec przęsła mostów obrotowych, jazy, przepusty, kanały, tzw. zęby smoka, czyli ustawione pod kątem trudne do pokonania nawet przez czołgi słupy żelbetonowe. A pod ziemią było miasto. Kolej wąskotorowa ze stacyjkami, urządzenia zapewniające energię, klimatyzację, odwadnianie. Znajdowały się tam magazyny tak materiałów amunicji i broni, jak i żywności. W niektórych miejscach tunele sięgały dziesięciu pięter w głąb ziemi.

- Ile prawdy jest w tym, że w podziemiach umieszczono fabryki zbrojeniowe?
- W 1943 r., kiedy alianci zaczęli bombardować obiekty przemysłowe Rzeszy, firma Daimler-Benz przeniosła tu swój zakład naprawy silników lotniczych. Główna hala, w której była montownia, zajmowała prawie tysiąc metrów kwadratowych. W bocznych tunelach ustawiono frezarki, tokarki i inne niezbędne maszyny. Do roboty wykorzystywano robotników przymusowych i rosyjskich jeńców, mimo że konwencja genewska tego zabraniała.

- Kiedy Pan Generał zaczął się zastanawiać, jak zdobyć te fortyfikacje?
- Ogólny plan operacji wiślańsko-odrzańskiej powstał dość wcześnie. Jednak dopiero po zdobyciu Poznania, gdy byliśmy bliżej Berlina, zaczęliśmy rozmawiać o tym, jak pokonać nazistów w Czworoboku Odrzańskim. Zdawaliśmy sobie sprawę, że właśnie w tym

miejscu Niemcy skoncentrują największe siły, wszak tędy prowadzi najkrótsza droga do Berlina. Dowódca I. Frontu Białoruskiego, marszałek Żukow, postawił przed nami następujące zadanie: najpóźniej w pierwszych dniach lutego musicie wyjść na rubież Odry. Tym samym oznaczało to zdobycie Czworoboku Odrzańskiego.

- Wasze wojska były tam już pod koniec stycznia 1945 r.

- Na podstawie rozpoznania i zeznań jeńców doszliśmy do wniosku, że Niemcy nie zdążyli całkowicie obsadzić wszystkich obiektów. W nocy z 29 na 30 stycznia 44. Brygada Pancerna Gwardii pułkownika Gussakowskiego rozpoczęła atak. Sprzyjało jej szczęście, bowiem pierwszy pułk dotarł całkiem przez przypadek do miejsca przygotowanego do przepuszczenia wojsk niemieckich przez pas umocnień. Kiedy Niemcy się zorientowali, że to nie ich, a nasze czołgi prą na zachód, na skuteczną obronę było już za późno. Niestety, zginął dowódca grupy szturmowej, major Aleksiej Karabanow. Brygada w szybkim marszu szła w stronę Odry, rozbijając wycofujące się pododdziały niemieckie.

- Mimo to Międzyrzecki Rejon Umocniony ciągle był niemiecki.

- Walki o ostateczne zdobycie tego terenu trwały do ostatniego dnia stycznia. Gdyby nie artyleria z armatami o kalibrze 203 milimetry, które miotały pociski przeciwpancerne, rozbicie umocnień byłoby niemożliwe. Wtedy musielibyśmy wziąć ich obrońców głodem lub użyć nadzwyczajnych środków.

- Czy zgodzi się Pan Generał ze stwierdzeniem, że budowane przez kilka lat potężne fortyfikacje międzyrzeckie nie spełniły swojej roli?

- Potrzebowaliśmy tylko dwóch dni na zdobycie umocnień, które miały zatrzymać nasze oddziały i nie ponieśliśmy przy tym większych start. Jednak muszę przyznać, że walka o Czworobok Odrzański wyhamowała nasze natarcie, pozwalając Niemcom na umocnienie swoich pozycji w Kostrzynie i Frankfurcie, skąd do Berlina było zaledwie czterdzieści kilometrów. Na ich pokonanie potrzebowaliśmy ponad miesiąca. Dopiero na początku maja nasze wojska zdobyły Berlin.

- Sytuacja wyglądała podobnie od strony zachodniej, gdzie Niemcy mieli linię Zygfryda.
- Fortyfikacje na zachodniej granicy Niemiec powstawały równolegle z Czworokątem Odrzańskim na granicy wschodniej. Na odcinku 580 kilometrów Niemcy zbudowali blisko szesnaście tysięcy bunkrów dla dział, moździerzy, miotaczy ognia, ciężkich karabinów maszynowych. Osłonili je zaporami inżynierskimi. Mimo to wojska alianckie przełamały te umocnienia mniej więcej w tym samym czasie, kiedy my od strony wschodniej. Fakt, było coś w rodzaju koordynacji działań naszych zwierzchnictw.

- Poszukiwacze skarbów uważają, że w międzyrzeckich podziemiach znajdowały się magazyny dla zrabowanych przez Niemców dzieł sztuki.
- Nie mogę tego potwierdzić. Słyszałem o tym, niestety w czasie kiedy dowodziłem 1. Armią Pancerną Gwardii żaden z moich żołnierzy nie natknął się na tego rodzaju skarby. Poza tym sztuka nas wtedy specjalnie nie interesowała. Mieliśmy tylko jeden cel: zmiażdżyć wroga.

- Jedna z hipotez wskazuje fortyfikacje pod Międzyrzeczem jako miejsce ukrycia Bursztynowej Komnaty.
- Słyszałem, że to arcydzieło było przewiezione do Królewca, kiedy miasto nazywało się Königsbergiem. Stamtąd w tajemniczych okolicznościach zostało wywiezione do bliżej nieustalonego majątku junkierskiego w Prusach Wschodnich. Dalsze losy miały prowadzić do kopalni w górach Harzu. O ile wiem, rosyjscy i niemieccy historycy szukali jej również w wielu innych miejscach. Niestety, nie znaleźli najmniejszego śladu ukrycia tego niepowtarzalnego dzieła sztuki rzeźbiarskiej.

- Dotąd żaden człowiek nie znalazł w bunkrach magazynów dawnej sztuki. Nie są one jednak nieprzydatne, to miejsce upatrzyły sobie nietoperze.
- Tu znajduje się jedno z największych siedlisk nocków rudych i nocków dużych, mopków, gacków wielkouchych w Europie. Panujące temperatury w przedziale od trzech do jedenastu stopni Celsjusza oraz wysoka wilgotność powietrza są doskonałymi warunkami

dla nietoperzy. W podziemnych korytarzach zimuje około 37 tysięcy tych ssaków.

- Umocnienia pod Międzyrzeczem są największym tego typu zespołem fortyfikacyjnym na świecie. Jak je wykorzystać?
- Wyłącznie do celów turystycznych i poznawczych, bo jako obiekty militarne utraciły swoje znaczenie. Zresztą znajdują się w odległości około stu kilometrów od Odry, czyli wewnątrz kraju. Myślę, że powinien tu powstać rezerwat nietoperzy i ośrodek badawczy nad życiem tych ssaków.

- Dziękuję Panu Generałowi za interesującą rozmowę.

Międzyrzecki Rejon Umocniony w liczbach

powierzchnia – 8000 km kw.
długość umocnień – 80 km
długość podziemnych tuneli – 30 km
głębokość tuneli – do 35 m
budowle nadziemne i podziemne – 330
bunkry – 106
obiekty bojowe, tzw. panzerwerki, połączone korytarzem – 21
stacyjki kolejki podziemnej – 17

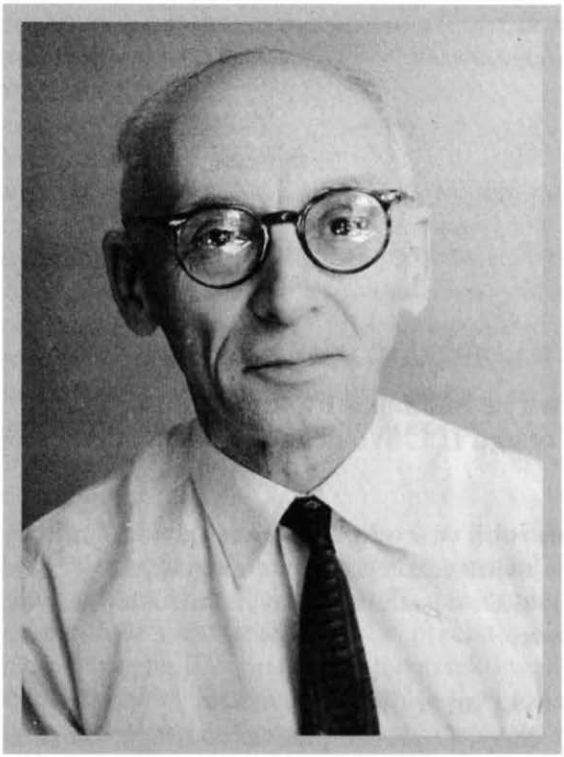

Stefan Flukowski – autor nieznany – fotografia ze zbiorów Książnicy Pomorskiej w Szczecinie

Stefan Flukowski

Urodził się 18 sierpnia 1902 w Warszawie, zmarł 8 maja 1972 r. w Świnoujściu. Debiutował jako poeta w 1927 r. Członek grupy literackiej Kwadryga. Poeta, dramaturg, prozaik, tłumacz. Uczestnik kampanii wrześniowej 1939, jeniec obozu w Arnswalde i Woldenbergu do 1945 r. Autor sztuk teatralnych, m.in.: *Horyzont Afrodyty*, *Oranżeria*, *Chwała Puszkina*, *Pada deszcz*, zbiorów opowiadań i wierszy, m.in. *Płomień róży*, *Napomknięte cieniem*, *Rzeka gwiazd*, *Po stycznej słońca*. Razem z innymi jeńcami oflagu II C Woldenberg dołożył się do budowy szkoły w Dobiegniewie.

OSADA ZA DRUTAMI KOLCZASTYMI

Rozmowa ze Stefanem Flukowskim, jeńcem oflagu II C Woldenberg, poetą i dramaturgiem

- Co Pan robił w środę, 13 września 1939 roku?
- To była najtragiczniejsza środa mego życia. Tego dnia jako żołnierz Września dostałem się do niemieckiej niewoli. Stało się to we Lwowie.

- Długo był Pan w niewoli?
- Bardzo długo. O prawie pięć lat za długo, bo aż do 30 stycznia 1945 r.

- Gdzie?
- 6 listopada 1939 r. wraz z grupą oficerów znalazłem się w obozie jenieckim II B Arnswalde (Choszczno). Nie miałem pojęcia, że było to jedynie miejsce przejściowe. Przebywałem tam niecały rok. We wrześniu razem z 1063 towarzyszami niedoli zostałem przewieziony do oflagu II C Woldenberg (Dobiegniew), największego w Europie oficerskiego obozu jenieckiego. Ledwie przekroczyliśmy jego bramę, gdy pojawił się komendant obozu, baron generał von Pottkamer. Chwalił się swoim pokrewieństwem z Marylą Wereszczakówną.

- Zaintrygował tym Pana? Przecież był Pan już znanym poetą?
- Interesowało mnie tylko jedno: jak się stamtąd wydostać. Zresztą to było marzenie każdego z sześciu tysięcy odciętych od świata

woldenberczyków. Każdy honorowy jeniec wie, że za żadną cenę nie wolno mu współpracować z wrogiem i za wszelką cenę musi robić wszystko, żeby uciec.

- Były ucieczki z Woldenbergu?
- Przedostanie się przez dwa wysokie płoty, wypełnione zwojami drutów, było prawie niemożliwe. Na narożnikach stały wieże obserwacyjne, a na nich dzień i noc warowali uzbrojeni strażnicy. Wokół terenu chodziły patrole z karabinami maszynowymi na plecach. Potem, od strony obozu, przed płotem głównym Niemcy wyznaczyli pas ostrzegawczy. Kto go przekroczył, znalazł się w strefie ognia, co równało się z utratą życia. A mimo to zdarzyły się 23 ucieczki. Niestety, większość nieudanych. Te nieliczne udane były powodem dumy całego obozu.

- Którędy uciekali jeńcy?
- Niedługo po osadzeniu nas w Woldenbergu powstał oddział bojowy do organizacji ucieczek. Pierwsza próba dania dyla, jak mówiliśmy w żargonie, była we wrześniu 1941 r. przez tunel wykopany wzdłuż rury kanalizacyjnej. W marcu kolejnego roku udało się uciec grupce kolegów tunelem zaczynającym się w jednym z baraków. Trzeci podkop moi koledzy próbowali zrobić w 1943 r., ale ktoś poinformował o tym Niemców. Niestety, wśród jeńców byli tacy, którzy współpracowali z wywiadem niemieckim, Abwehrą.

- Zdrajcy?
- W walce o przetrwanie człowiek robi głupstwa. Pewnie liczyli na rychłe uwolnienie.

- Czy to była jedyna droga prowadząca do wolności?
- Jeden z kolegów dołączył do kolumny robotników wychodzących przez obozową bramę. I jemu się udało. Inni próbowali wydostać się przez płot. Zaraz po przywiezieniu nas do obozu kilku kolegów przecięło druty, niestety zostali szybko schwytani. Bywało, że próbę ucieczki podejmowały osoby chore umysłowo czy pogrążone w ataku furii. To był straszny widok. Rzucali się na druty lub wchodzili w strefę ognia. Żaden z nich nie przeżył. Zdarzały się ucieczki podczas transportu do innego obozu.

- Co to takiego choroba drutów kolczastych?
- Posłużę się tu wypowiedziami jeńców. „W oflagu nie to było najgorsze, że mieliśmy wśród siebie kilkudziesięciu psychicznie chorych kolegów. Najgorsze było to, że z małymi wyjątkami my wszyscy – siedem tysięcy względnie młodych i względnie zdrowych mężczyzn – nosiliśmy w sobie nieustanny lęk przed szaleństwem, zanotował Marian Brandys. W Woldenbergu ludzie nie ginęli pod obcasami esesmanów jak w Oświęcimiu. Terapia woldenberska polegała na doprowadzeniu ludzi do obłędu". Leon Kruczkowski marzył: „Ach, iść! Móc iść w obszary! Móc na przełaj, w przestrzeń! Iść prosto, tuląc radość w płaszcz zmoczony deszczem."

- Czy pamięta Pan, co hauptmann von Jablonsky z Abwehry powiedział do jeńców?
- Zaraz po przywiezieniu nas do Woldenbergu oznajmił, że: „Oficerowie polscy będą siedzieli w oflagu tak długo, póki zupełnie nie przegniją fizycznie i duchowo."

- Było jakieś lekarstwo na chorobę drutów kolczastych?
- Sami je wynaleźliśmy i nie miało nic wspólnego z medycyną. Zresztą czym mieli nas leczyć lekarze, jeśli brakowało najprostszych specyfików na przeziębienie, zapalenie czy reumatyzm? Nie tylko leków brakowało, ale i lekarzy. Niech pan sobie wyobrazi, że dopiero w trzecim roku naszego uwięzienia mogliśmy pójść do dentysty. To znaczy do przeszkolonego na chybcika weterynarza.

- Czym was żywili?
- Według Konwencji genewskich powinniśmy dostawać takie same racje żywnościowe jak niemieccy oficerowie. A myśmy dostawali niewiele więcej od tych, którzy byli w obozach koncentracyjnych. Dziennie na jeńca za drutami w Woldenbergu przypadało: najpierw 300, potem 200 gramów ciemnego chleba, 20 gramów jakiegoś smarowidła, najczęściej była to margaryna, smalec, marmolada albo coś, co przypominało pasztetówkę, do tego litr wodnistej zupy. Raz w tygodniu dostawaliśmy po kilka kartofli w mundurkach. Podczas wizytacji delegatów z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dokładano nam po kotlecie z dorsza albo zupę mleczną. Na nasze szczęście była jeszcze kantyna.

- Tam trzeba było płacić czy nie?
- Dostawaliśmy żołd. Mnie jako podporucznikowi należały się 72 lagermarki miesięcznie, to były bony ważne w obozie. Poza drutami były one równoważne z markami niemieckimi. Z tymi bonami można było iść do kantyny, ale niech pan nie sądzi, że na półkach leżało wszystko, co potrzebne do życia. Najważniejsze jednak, że nikt spośród nas nie był zagłodzony. Wielu jeńców wysyłało pieniądze żonom, żeby miały one za co utrzymać pozostawione bez ojców dzieci. Byli też tacy, którzy dostawali paczki żywnościowe z domów rodzinnych. Wszystko, co nadawało się do jedzenia, wędrowało do wspólnej spiżarni. Znajdowała się w nich ciepła odzież, bardzo przydatna, bo ze względu na brak opału często było nam zimno.

- Czy dostawaliście międzynarodową pomoc czerwonokrzyską?
- Dopiero od drugiego roku obecności w Woldenbergu. Dostawaliśmy głównie z Ameryki paczki żywnościowe z kaszą, czekoladą, kawą, papierosami. Mimo że pełniący funkcję najstarszego obozu starał się dzielić je sprawiedliwie, to dochodziło do bogacenia się jednych kosztem drugich. Najcenniejszą walutą obozową była kawa neska. Kolega Józef Kuropieska zanotował, że posiadacz neski mógł „zamówić mundur u krawca, kupić porządne obuwie, poprosić bardzo popularnego prelegenta o gawędę czy muzyka z umiłowanym instrumentem o wykonanej ulubionej pieśni".

- Historycy podają, że w oflagu II C istniało bujne życie kulturalne, oświatowe, sportowe. Nie tylko uczono się języków obcych, ale nawet studiowano. Były też dwie orkiestry, trzy teatry, chóry, wydawano gazetkę.
- Jak już powiedziałem, za drutami przebywało ponad sześć tysięcy oficerów, w większości po studiach, mieszkańców dużych miast. Niektórzy w okresie międzywojennym zdobyli rozgłos jako wybitni artyści, inżynierowie czy nauczyciele. Codziennie na obozowych ścieżkach spotykałem już wtedy sławnych profesorów Kazimierza Michałowskiego i Karola Górskiego, aktora Kazimierza Rudzkiego, rzeźbiarza Stanisława Horno-Popławskiego, architekta Jerzego Hryniewieckiego, prozaika Mariana Brandysa.

- Marian Brandys napisał, że gdy kiedyś niespodziewanie wtargnął do baraku, zobaczył Pana pochylonego nad stolikiem z dykty, zatraconego w pisaniu.
- Wtedy pokazałem mu kilka linijek nowego wiersza zaczynającego się od słów: „Wsparty o grzbiet tygrysa, wstąpiłem do Sali Ech / przede mną słoń różowy pergamin w trąbie niósł". Kolega Brandys przeczytał to i odszedł w milczeniu. Po latach przyznał się, że „Wówczas, w strasznym baraku woldenberskim, wiersz Flukowskiego nie był oderwany od życia. Dumna i piękna wizja poety wyrosła z naszej spotworniałej egzystencji, aby poniżonym i ośmieszonym przypomnieć o ich prawie do dumy i wewnętrznej niezależności."

- Woldenberski teatr zaczął się od recytacji na, jak to nazywaliście, ceglanym parkiecie.
- To był jeden ze sposobów zabicia nudy i robienia czegokolwiek, żebyśmy wszyscy nie zwariowali. Z drugiej strony utrwalał naszą szlachetność, dumę z bycia Polakiem i podtrzymywał na duchu. Staraliśmy się bowiem dobierać takie sztuki, żeby to, czego aktorzy nie mogli powiedzieć wprost, tkwiło ukryte między słowami. Najistotniejsze było, żeby cenzor Abwehry nie dopatrzył się w nich akcentów politycznych czy wyśmiewania życia obozowego. To było zabronione przez Niemców.

- *Piękna Helena* Offenbacha spełniała te warunki?
- Byliśmy pewni, że wybór sztuki Niemcy zaakceptują choćby dlatego, że nazwisko autora dobrze brzmiało w ich języku. Niestety, nie mieliśmy oryginalnego tekstu, dlatego w miarę możliwości fragmenty odtworzyliśmy z pamięci i uzupełniliśmy je własną twórczością. Ja byłem odpowiedzialny za przygotowanie sztuki. Miałem nadzieję, że cenzor nie zrozumie aluzji politycznych. 28 października 1940, kilka dni po prapremierze, Mussolini zaatakował Grecję i *Piękna Helena* stała się sztuką polityczną.

- Potem Pan napisał *Jajko Kolumba*.
- Zrobiłem to wspólnie z kolegami znającymi się na muzyce. Ja byłem zwolennikiem programu dramatycznego, koledzy opowiadali się za rewią. Trochę ja ustąpiłem, trochę oni i powstała chyba niezła sztuka. *Jajko...* było grane nawet w teatrach powojennych.

- W Woldenbergu siedzieli sami mężczyźni. W sztukach były role kobiece, kto je grał?
- Wybór nowego tytułu zaczynał się od pytania: Ile i jakie są role kobiece? Z konieczności grali je młodzi mężczyźni. Na początku dawało się odczuć, że na scenie nie są kobiece kształty i głos jakiś szorstki. Potem, kiedy obrazy kobiet coraz bardziej oddalały się z naszej pamięci, wszyscy poddawaliśmy się iluzji i zapominaliśmy, że to są tylko mężczyźni przebrani za kobiety. W Woldenbergu wróciliśmy do teatru szekspirowskiego.

- Przerwijmy na chwilę rozmowę o teatrze, ale pozostańmy przy sprawach męsko-damskich. Ponad sześć tysięcy młodych mężczyzn...
- Jeśli pan pyta o sprawy seksualne... wolałbym nie wnikać w szczegóły. W codziennych rozmowach problem ten pojawiał się, ale nic specjalnego nie przychodzi mi do głowy. Proszę pamiętać, że byliśmy pozbawieni witamin i mikroelementów, wielu z nas chorowało. Domyślam się, że dodawano do tego klajstrowatego chleba jakieś środki z bromem. Może istniały pary homoseksualne, może niektórzy się masturbowali, może byli też tacy, którzy złożyli śluby czystości i starali się o tych sprawach nie myśleć.

- Potem dla obozowej sceny napisał Pan jednoaktówkę *Julia*.
- Ten utwór powstał jeszcze w oflagu w Arnswalde. W Woldenbergu tylko go wzbogaciłem. Niestety, wciąż nie byłem z niego zadowolony. Więcej radości mogła mi sprawić *Chwila królewskiej niemocy*. Mogła, ale mimo przygotowania aktorskiego i scenograficznego, nie została wystawiona w Woldenbergu.

- Dlaczego?
- Polskie kierownictwo obozu, podkreślam: polskie kierownictwo, a nie niemiecka komenda czy ich cenzura, dopatrzyło się w utworze treści szargających świętości narodowe. Zrobiło to pod wpływem głosów konserwatystów z Koła Etyczno-Religijnego. Na znak protestu ja i kilku kolegów złożyliśmy rezygnację z pracy w teatrze. Po tym incydencie wezwał nas do siebie generał Chmurowicz i oskarżył o bunt. Gdy próbowaliśmy wyjaśnić nasze zachowanie, nakazał milczeć i słuchać. Potem ukazał się rozkaz Najstarszego Obozu

pułkownika Szalewicz, potępiający każdego z nas wymienionego z nazwiska. Po czasie okazało się, że był to bezprawny rozkaz, bo wydany przez generała Chmurowicza bez zgody pułkownika Szalewicza, który leżał chory. Generał nie pełnił żadnej funkcji w obozie.

- Historycy teatru uważają to, co się działo w Woldenbergu za zjawisko nie mające powtórki w żadnym innym obozie.
- Teatr dramatyczny wystawił 24 sztuki. *Cyrulik sewilski* był na scenie 36 razy. Wystawioną 34 razy *Zemstę* obejrzało ponad dziewięć tysięcy widzów. Scena kukiełkowa przygotowała 14 sztuk i dała 420 przedstawień. *Zaczarowane koło* Lucjana Rydla pokazano 70 razy, mimo to wciąż cieszyła się powodzeniem u obozowej widowni. Był jeszcze trzeci teatr, tzw. żołnierski. No i był cyrk z walkami byków, woltyżerką, iluzjonistami. „Siedmiotysięczny tłum jeńców śmiał się, płakał ze śmiechu, rżał, kwiczał, wył, szalał. Nawet obserwator z Abwehrabteilung musiał zmięknąć, nie wytrzymał i rżał na równi z innymi", wspominał po latach kolega Brandys.

- Piszących jeńców w Woldenbergu było wielu. Dla kogo pisaliście? Dla siebie? Dla kolegów? Dla potomnych?
- Pisanie to pewnego rodzaju choroba. Zdarzają się grafomani, ale to inna historia. Dla mnie pisanie w obozie było ucieczką do wolnego świata, do którego podczas odbywanych w Woldenbergu spotkań, czasem zapraszałem pozostałych kolegów. Identycznie postępował Andrzej Siła-Nowicki, tworzący za drutami wiersze i fraszki. W Woldenbergu zaczynał pisać Marian Brandys, autor późniejszej *Wyprawy do oflagu*. Tutaj również muza wodziła piórem Władysława Mielczarka.

- Zastanawia mnie, czy jeńcy zadawali pytanie: jak długo będziemy jeszcze odcięci drutem kolczastym od innego świata?
- Życie kulturalne, sportowe, nauka języków obcych z jednej strony było sposobem na zabicie czasu, z drugiej – próbą powrotu do świata takiego, jaki Niemcy nam odebrali. Ciągle mieliśmy nadzieję, że Niemcy lada dzień przegrają wojnę. Na powitanie roku 1941 r. śpiewaliśmy: „Weźmy w płuca oddech szerszy, niech żyje czterdziesty pierwszy, chociaż pierwszy, głowę dam, tu ostatni będzie nam". Potem był: „Oddech długi, niech żyje czterdziesty drugi".

Był też: „Jak ten czas szybko leci, niech żyje czterdziesty trzeci". I: „Oddech zwarty, niech żyje czterdziesty czwarty". Wreszcie: „Już się walą wszystkie fronty, niech żyje czterdziesty piąty. Chociaż piąty, głowę dam, tu ostatni będzie nam."

- 24 stycznia 1945 r. Niemcy wydali rozkaz o ewakuacji obozu. Tego dnia po pięciu latach niewoli jeńcy przeszli przez otwartą na oścież bramę.

- Nie do końca było tak, jak sobie wyobrażaliśmy ten dzień. Wprawdzie nie szedł w naszej kolumnie pułkownik St., usiłujący oderwać nas od kraju, los oszczędził nam sądów kapturowych „żelaznej gwardii" oraz innych krwawych awantur. Zamiast na wschód, szliśmy na zachód. Po pięciu dniach dotarliśmy do majątku Deetz (Dziedzice) koło Barlinka. Tam zastali nas żołnierze Armii Pancernej generała Katukowa. Znowu byliśmy polskimi oficerami.

- Czy potem bywał Pan w Dobiegniewie?

- Wielokrotnie zatrzymywałem się w tym miasteczku w trakcie podróży do Barlinka i Szczecina. Jednak nigdy nie wystarczyło mi odwagi, aby pójść drogą w stronę Strzelec Krajeńskich, przy której był oflag II C.

- Dziękuję za rozmowę.

Obozowe liczby

Budowę oflagu II C rozpoczęli polscy jeńcy wojenni ze stalagu II C 28 września 1939 r. Powstał on trzy kilometry od miasteczka Woldenberg (dziś: Dobiegniew w województwie lubuskim).

Obóz zajmował 25 hektarów, na ponad 17 ha znajdowały się baraki mieszkalne i inne obiekty przeznaczone tylko dla jeńców. Baraków mieszkalnych było 25, miały wymiary 60 x 10 i 75 x 10 m. Były też pomieszczenia przeznaczone na m.in. świetlice, salę odczytową i teatralną, zielarnię, kantynę, kuchnię. Siedem baraków w osobnej części obozu zajmowała niemiecka komenda. Pomiędzy częścią jeniecką a niemiecką znajdował się podobóz z ośmioma barakami przeznaczonymi m.in. na izbę chorych, areszt, łaźnię, magazyny. Wokół przedobozu i obozu właściwego stał podwójny płot z drutu kolczastego 2,5 m wysoki. W dwumetrowej przestrzeni pomiędzy płotami leżały zwoje drutu kolczastego. Na obrzeżu stało osiem wież wartowniczych. Co 50 m umieszczono urządzenia podsłuchowe. Teren był dokładnie oświetlony i obserwowany przez niemieckich wartowników.

Oflag dzielił się na obozy Wschód i Zachód. W obozie Wschód były: I, II i III batalion, w obozie Zachód – IV, V i VI. Każdy batalion miał po osiem kompanii – półbaraków. Wyjątkiem był batalion V, który grupował 10 kompanii. W batalionie było 1000-1150 jeńców, w kompanii – 100-150.

1 lutego 1941 za drutami przebywało 6193 jeńców, w tym 5265 oficerów, 1 stycznia 1945 – 6677 jeńców, wśród nich 5985 oficerów.

Wiesław Sauter – fot. archiwum autora

Wiesław Sauter

Urodził się 11 maja 1905 w Strzyżowicach w Zagłbiu, zmarł 11 grud-nia 1996 r. w Nowej Soli. Ukończył studia polonistyczne na Uniwer-sytecie Poznańskim, tam też uzyskał stopień doktora w zakresie historii. Jest autorem książek m.in. *Z walk o polskość Babimojszczyzny*, *Powrót na ziemie piastowskie*, *Jan Cichy*, *Krzysztof Żegocki. Pierwszy partyzant Rzeczypospolitej*.

POLACY TUŻ ZA MIEDZĄ GRANICZNĄ

Rozmowa z Wiesławem Sauterem, historykiem i regionalistą

- Kiedy zaczęło się parcie Niemców na Ziemię Lubuską?
- Było zawsze, odkąd można mówić o polskiej państwowości. Na tych terenach już za Mieszka I dochodziło do sporów granicznych oraz bitew między Polską i Brandenburgią, która była częścią Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. W 1249 r. piastowski książę Bolesław Rogatka oddał w zastaw część swojej ziemi Niemcom, a gdy nie miał za co jej wykupić, przeszła na własność Brandenburgii.

- Jak zachowywała się Brandenburgia na prawym brzegu Odry?
- Najpierw państwo to na wschód od Odry utworzyło Nową Marchię. Potem Brandenburgia przyłączyła się do Prus, a te z kolei wspólnie z Austrią i Rosją uczestniczyły w tragicznych rozbiorach Polski. W moim przekonaniu głównie Prusy były sprawcą polskich nieszczęść w Wielkopolsce, na Pomorzu, Ziemi Lubuskiej, Śląsku. One też dały początek Rzeszy Niemieckiej.

- Santok już od XIV wieku nie należał do Polski i nie rezydował tu żaden polski urzędnik, a mimo to zachował się tytuł kasztelana santockiego.
- Polski szlachcic z tym tytułem zasiadał w senacie aż do rozbiorów. To był zaszczytny tytuł, oznaczał bowiem, że Polska Jagiellonów,

Rzeczpospolita Obojga Narodów nie zapomniała o ziemiach nadodrzańskich.

- Mieszkańcy środkowego Nadodrza, kiedy wchodziło ono w skład Nowej Marchii, mówili po niemiecku czy po polsku?
- Wraz z naporem żywiołu germańskiego język polski zastępowała mowa niemiecka. Południowa część dzisiejszego regionu lubuskiego od XV do XVIII wieku należała do Czech. Wprawdzie nie miało to większego znaczenia, jeśli chodzi o język czy religię, ale fakt pozostaje faktem. Jeszcze w XVII wieku w Przysiece, Górkach, Przyłęgu, Sławnie i wielu innych wsiach nadnoteckich posługiwano się językiem polskim. Od XVI do XVIII wieku w kościele pod wezwaniem Świętego Andrzeja w Krośnie odprawiano polskie nabożeństwa. Dopiero w XIX wieku zburzono tzw. polski kościółek w Zielonej Górze. Właścicielami majątku w Klenicy, po których do naszych czasów zachował się pałacyk, byli Radziwiłłowie.

- Bohater powieści Stefana Żeromskiego *Walka z Szatanem* mówi, że „Poznańskie wyssało wszystką treść Niemiec, całą siłę ich niezrównanej pracowitości i kultury, a jednocześnie okazuje opór przeciwko temu wrogowi".
- Kto nigdy nie był w Wielkopolsce, miał prawo sądzić, że tamtejsza ludność tworzy polski monolit. Z zewnątrz tak to mogło wyglądać. Jednak wewnątrz bywało rozmaicie, przede wszystkim z tego powodu, że istnieli bogaci i biedni zdani na ich łaskę. Ale jedni i drudzy powtarzali po księżach: musimy bezwzględnie dbać o to, żeby żaden obcy nie dostał się do naszej wsi. Obcy, czyli dojczer, jak określali Niemca.

- Po studiach na Uniwersytecie Poznańskim Pan, obcy, bo z Zagłębia, jednak zasymilował się z Wielkopolanami.
- We wrześniu 1929 r. dostałem posadę nauczyciela w gimnazjum w Międzychodzie, położonym tuż przy granicy polsko-niemieckiej. Nie odczuwałem wrogiego czy niechętnego stosunku miejscowej ludności do mnie, a to pewnie dlatego, że jako początkujący nauczyciel przyłączyłem się do tej części społeczeństwa, które niosło kaganek oświaty. Miałem prawo poruszać się po terenie niemieckim do 25 kilometrów od granicy. Tam od pokoleń mieszkało bardzo

dużo Polaków. Proszę sobie wyobrazić, że czasem tamtejsi Polacy prosili mnie, abym pomógł ich dzieciom dostać się do szkoły w Polsce.

- I Pan pomagał?

- W kilku przypadkach, szczególnie jeśli chodziło o synów włościan. Pierwsze polskie szkoły w Niemczech powstały dopiero w 1929 r. Były to szkoły podstawowe, a zajęcia odbywały się w wynajętych od gospodarzy izbach. Kto chciał dalej się uczyć, musiał wyjechać do Polski. Mimo że w polskich szkołach uczyli naprawdę oddani sprawie nauczyciele, poziom nauczania nie był wysoki. Działo się tak dlatego, że nauczycielom bardziej chodziło o kształtowanie patriotycznych charakterów, poznawanie ojczystego języka, historii niż o dostarczanie wiedzy ogólnej. Muszę jednak podkreślić, że ci, których poznałem, byli bardzo odważni i spełniający wymagania, jakie stawiał im Związek Polaków w Niemczech. Przed południem uczyli młodzież, wieczorami pomagali starszym w pielęgnowaniu ich polskości.

- Co to znaczy?

- Kiedy w 1929 r. powstała polska szkoła w Nowym Kramsku na Babimojszczyźnie, trzech jej nauczycieli napisało list do pruskiego ministra edukacji, żeby zamknął szkołę niemiecką w tej wsi. W gazecie „Frankfurter Oderzeitung" natychmiast ukazał się artykuł, w którym autor złajał nauczycieli. „Co by się stało z przynależnymi do mniejszości niemieckiej, gdyby się odważyli żądać czegoś podobnego w państwie Piłsudskiego?"

- Nowe Kramsko było dużą wsią?

- W porównaniu z miejscowościami nad Odrą, wieś ta późno znalazła się w państwie pruskim, bo dopiero w 1793 r., czyli po drugim rozbiorze Polski. XIX-wieczny dziejopis tak ją przedstawił: „mieszkańcy Nowego Kramska lubo nad samą granicą niemiecką położonego, są wszyscy Polacy i nie tylko czysto po polsku mówią, ale i wyrażają się lepiej niż zwykli włościanie".

- Wróćmy do prośby trzech nauczycieli dotyczącej zamknięcia szkoły niemieckiej. Była ona słuszna?

- Tuż po uruchomieniu polskiej szkoły w Nowym Kramsku poszło do niej około setki dzieci. Do niemieckiej placówki uczęszczało dziesięć razy mniej, ale miała, jakbyśmy to określili językiem współczesnym, niezłą bazę. We wsi tej, należącej do rejencji frankfurckiej, zresztą jak większość terytorium dzisiejszego regionu lubuskiego, mieszkały 1254 osoby. Wśród nich było aż 1134 Polaków i tylko 120 Niemców.

- Czy to byli katolicy?
- Ludność polska po obu stronach granicy była przeważnie religii katolickiej. We wszystkich większych wsiach istniały stowarzyszenia takie jak Polsko-Katolicki Związek Kościelny, Polsko-Katolicki Związek Rolników, Polsko-Katolicki Związek Młodzieży, Polski Związek Muzyki i Śpiewu „Święta Cecylia". Funkcję prezesa Związku Polaków w Niemczech pełnił proboszcz ze Złotowa ksiądz doktor Bolesław Domański.

- Jakiej narodowości był ksiądz Leon Binder?
- To duchowny niemiecki, którego władze skierowały najpierw do Goraja, potem do Międzyrzecza, a jeszcze potem do Dąbrówki Wielkopolskiej. Do tej ostatniej wsi, w 96 procentach zamieszkałej przez ludność polską, ksiądz Binder przyjechał w 1923 r. Jego zadaniem była szybka germanizacja Polaków, a w rzeczywistości stało się odwrotnie. Niemiecki ksiądz nie tylko nauczył się polskiej mowy, ale i stanął po stronie Polaków. 3 września 1939 r. podczas odprawionej mszy wygłosił kazanie po polsku, a na koniec zaintonował polską pieśń *Chwała i dziękczynienie*. Został aresztowany przez Gestapo i do końca wojny siedział w obozie koncentracyjnym w Dachau. W 1945 wrócił do Dąbrówki, objął parafię powtórnie i otrzymał polskie obywatelstwo. Zmarł w 1952 r. Jego grób jest na dąbrowieckim cmentarzu.

- Dużo było takich Niemców jak ksiądz Binder?
- Niemcy, którzy żyli na pograniczu, byli przeważnie kolonistami. Mieli jeden cel: dostać w arendę czy też kupić ziemię. A ponieważ współdziałali z władzami administracyjnymi, one wyraźnie im sprzyjały, nie byli lubiani przez Polaków. Skoro nie byli lubiani to i oni nie lubili swoich polskich sąsiadów. Osobiście nie poznałem ani jed-

nego Niemca, który byłby podobny do księdza Bindera. Polskich duchownych spotykałem, na przykład księży Stanisława Dudzińskiego, Józefa Brauna, Karola Meissnera, Stefana Łukowskiego.

- Sami księża nie byli pewnie w stanie podtrzymywać ducha polskości.

- Grupą wspomagającą te działania stali się nauczyciele, skierowani przez Związek Polaków w Niemczech do szkół powszechnych pogranicza. Do Dąbrówki przyjechała z Berlina Wanda Chełkowska i tak się w niej zasiedziała, że wieś ta na zawsze pozostała jej bliska. W Nowym Kramsku posadę nauczycielki objęła Maria Zientara, znakomita pisarka i poetka. „Zabiega o pielęgnowanie polskich zwyczajów i obyczajów", donosił do władz autor tajnego memoriału niemieckiego w 1938 r. Szkoły polskie powstały też w Starym Kramsku oraz Podmoklach Małych i Wielkich. W ostatnim roku przed wybuchem wojny uczęszczało do nich ponad 300 dzieci.

- Nie wymienił Pan najważniejszego ośrodka tego rejonu, Babimostu. Czy nie powstała tam polska szkoła?

- Po traktacie wersalskim w 1919 r. Babimost został po stronie niemieckiej. Miasteczko stało się siedzibą administracji powiatowej, a w takiej miejscowości dominowali Niemcy. Mieszkający tu Polacy byli narażeni na utratę pracy, nie mieli zatem odwagi posyłać swoich dzieci do szkoły mniejszościowej. W tamtym czasie łatwiej było zachować język, kulturę, obyczaje na wsi niż w mieście.

- W swojej książce o Krzysztofie Żegockim pisze Pan, że jego pamięć wciąż tkwi wśród mieszkańców Babimojszczyzny. Czym się on zapisał w dziejach tej ziemi?

- Piastował urząd starosty babimojskiego wtedy, kiedy ziemie polskie zalał potop szwedzki. Mimo iż od tamtego czasu upłynęły trzy wieki, babimojszczanie wspominają o spaleniu dwóch księży i wymordowaniu połowy mieszkańców miasteczka. W miejscu tym, na rynku, stoją dwie kolumny. Stosy gorzały i w innych miejscowościach. Wtedy Żegocki zebrał odważniejszych mężczyzn wokół siebie i rozpoczął walkę z wojskami szwedzkimi. A że znał okolice lepiej niż podwładni Gustawa Adolfa, potykał się z nimi w najmniej spodziewanych miejscach i odnosił zwycięstwa. Historia uważa go za pierwszego partyzanta Rzeczypospolitej.

- Ilu było polskich królów?
- Rozmawiamy o królach z ludu. Ja poznałem dwóch. W Dąbrówce tak nazywano Jana Budycha IV, człowieka o ogromnym autorytecie, wielokrotnie kandydującego do niemieckich organów ustawodawczych. Z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, w którym został osadzony już na początku września 1939 r., w swoim liście napisał do żony i dzieci: „I dla nas jeszcze kiedyś słońce zaświeci". Drugim, którego nazywano polskim królem, był mieszkający w Nowym Kramsku Jan Cichy. Szczęśliwie przetrwał katorgę za drutami w Sachsenhausen i wiosną 1940 r. wrócił do swojej wsi. Po wojnie został nawet wójtem w Babimoście.

- Ten chłop był też honorowym prezesem Lubuskiego Towarzystwa Kultury.
- W 1945 r. zostałem kierownikiem szkoły w Nowym Kramsku. Wtedy bliżej poznałem Cichego, a kiedy dwanaście lat później powstało w Zielonej Górze zasłużone dla regionu Lubuskie Towarzystwo Kultury, zaproponowałem Cichego na jego honorowego prezesa. Wybór ten poczytywał sobie za wielki zaszczyt. Niedługo po tym zmarł, jego ciało spoczęło na cmentarzu tuż za szkołą w Nowym Kramsku noszącą imię Bojowników o Polskość Ziemi Babimojskiej.

- Czy między sobą babimojscy Polacy rozmawiali po niemiecku?
- Broń Boże. Między sobą mówili językiem gwarowym, mieszaniną słów zrozumiałych dla tych, którzy znali niemiecki i polski. Na wiadro mówili wąborek, na huśtawkę humbeja, gwałtowny deszcz z wichurą to husia, patynki – bambosze, starka – babcia, nicpoty – niegrzeczny. Centryfuga to wirówka do mleka, bynder – snopowiązałka, waserwaga – poziomica. Na kozę wołali cyga. W banku szporali pieniądze, czyli oszczędzali.

- A Pan rozumiał ich mowę?
- Podczas studiów w Poznaniu posługiwałem się literacką polszczyzną. Znajomość niemieckiego wyniosłem z Zagłębia, z tzw. trójkąta trzech cesarzy, gdzie mówiono po polsku, rosyjsku, niemiecku i mieszaniną tych języków.

- Ci ludzie byli obywatelami niemieckimi. Służyli zatem w Wehrmachcie?

- Odmowa służby wojskowej była równoznaczna z niewypełnieniem obowiązku państwowego. Młodzi mężczyźni, wyznaczeni do odbycia służby wojskowej, musieli iść do Wehrmachtu. Jeśli tego nie zrobili, ich rodziny prześladowano, a oni byli zamykani w więzieniu. Zdarzało się, że szli do wojska dlatego, żeby wyciągnąć kogoś ze swoich bliskich z obozu koncentracyjnego. Niemcy jakby się spodziewali, że nie będą mieli z nich pożytku na froncie wschodnim, dlatego kierowali babimojszczan do Afryki. Po wojnie niektórym uratowało to życie.

- Czyżby na pytanie o służbę wojskową odpowiadali, że byli w AK?

- Przykro mi to potwierdzić, ale też tak bywało. Na ich szczęście niedouczeni powojenni urzędnicy nie prosili o rozwinięcie tego skrótu. Pewnie gdyby babmojszczanin powiedział, że służył w Africa Korps, urzędnik przyjąłby to jako dowcip. Proszę pamiętać o stosunku stalinowskich władz do formacji AK.

- Czy babimojszczanie zostali uznani przez Niemców za kombatantów?

- Wedle polskiego prawa bez zgody władz krajowych nie mogli należeć do organizacji zagranicznej. Nie byli więc członkami niemieckiego związku kombatantów. Nie korzystali też z przywilejów, jakie mieli niemieccy weterani wojny. Po Okrągłym Stole sytuacja się zmieniła. Tym najbiedniejszym, najbardziej potrzebującym pomocy, strona niemiecka przysyłała zapomogi i pieniądze na lekarstwa. Już mogli wyjechać do sanatorium na koszt Niemców albo skorzystać z tamtejszego leczenia w szpitalu. W Polsce nigdy nie zostali uznani za osoby represjonowane ani za kombatantów.

- Dlaczego po wojnie został Pan kierownikiem wiejskiej szkoły w Nowym Kramsku, a nie dyrektorem gimnazjum w powiatowym Międzychodzie?

- Pokochałem tych prostych i jakże przywiązanych do polskości ludzi. Oni całe swoje życie walczyli o to, żeby mieszkać w Polsce i bez obawy po polsku mówić, modlić się i śpiewać pieśni w kościele.

W latach 70. XX wieku, gdy w ramach tzw. łączenia rodzin wielu mieszkańców Śląska, Warmii i Mazur wyjechało do Niemiec, wsi babimojskich nie opuściła nawet jedna osoba. Wioski koło Lubska, Słubic, Kostrzyna, zamieszkałe przez repatriantów z kresów wschodnich, wyglądały tak, jakby nikt nie dbał o nie. W obu Kramskach, obu Podmoklach i Dąbrówce gospodarze stawiali stodoły, obory, orali pola nie końmi, a ciągnikami. Wieczorami młodzi śpiewali i tańczyli w zespołach folklorystycznych tak jak w dawnych czasach robili to ich ojcowie i matki.

- Czy śpiewali te pieśni ludowe, które Pan zebrał?
- Starałem się udokumentować wszystko, co dotyczyło tzw. autochtonów. Tak po wojnie nazywano często ludność miejscową, co miało pejoratywne znaczenie. W rozumieniu władz autochton na pewno nie był Niemcem, ale i nie był Polakiem. Trzeba było czekać wiele lat, żeby określenie to nabrało cech takich, na jakie zasługuje.

- Pan jest autorem nazwy Babimojszczyzna.
- Cieszę się, bo to oznacza, że coś po mnie zostanie. Nazwa ta od 1970 roku figuruje w każdej edycji encyklopedii PWN i w większości leksykonów innych wydawców. Dziś posługują się nią profesorowie uniwersytetów i jak również zwykli ludzie w codziennej mowie.

- Dziękuję za pouczającą rozmowę.

Prawdy Polaków

1. Jesteśmy Polakami.
2. Wiara naszych ojców jest wiarą naszych dzieci.
3. Polak jest Polakowi bratem.
4. Co dzień służy Polak swemu narodowi.
5. Polska jest naszą matką, o matce swej zaś nie należy mówić źle.

(ogłoszone 6 marca 1938 r. podczas berlińskiego Kongresu Związku Polaków w Niemczech)

Ks. bp Edmund Nowicki – autor nieznany – fotografia ze zbiorów Archiwum Diecezjalnego w Zielonej Górze

Ks. bp Edmund Nowicki

Urodził się w 1924 w Trzemesznie, zmarł w 1971 r. w Warszawie. Doktor prawa kanonicznego. W czasie drugiej wojny światowej więziony w obozach koncentracyjnych Dachau i Gusen. Od 1945 do 1951 r. był administratorem apostolskim kamieńskim, lubuskim i prałatury pilskiej w Gorzowie, która dała początek diecezji gorzowskiej, a potem diecezji zielonogórsko-gorzowskiej. W 1951 r. przeniesiony do Gdańska, gdzie był mianowany biskupem *sedi datus*. W 1956 r. przejął diecezję gdańską jako koadiutor niemieckiego biskupa Spletta. Od 1964 r. aż do śmierci był ordynariuszem tej diecezji.

CIERPLIWIE SŁUCHAJĄCA PANI Z ROKITNA

Rozmowa z ks. bp. Edmundem Nowickim, pierwszym administratorem apostolskim kamieńskim, lubuskim i prałatury pilskiej

- W sierpniu 1945 r. ksiądz prymas Hlond mianował administratorów apostolskich w nowych prowincjach kościelnych. Dlaczego na zarządcę w Gorzowie powołał Księdza Doktora, wtedy kanclerza kurii poznańskiej?

- Bogu niech będą dzięki. Przyjąłem to jako bardzo ważne zadanie w mojej posłudze kapłańskiej. Zastanawiałem się po wielokroć, dlaczego to właśnie mnie ksiądz prymas obarczył tą odpowiedzialnością. Zapewne dlatego, że urodziłem się w Trzemesznie koło Gniezna, tuż przy granicy z prałaturą pilską, pracowałem w metropolii poznańskiej, skąd najbliżej na ziemie nazywane zaraz po wojnie odzyskanymi. W Rzymie uzyskałem doktorat z prawa kanonicznego. Pod uwagę ksiądz prymas wziął też to, że byłem więźniem hitlerowskich obozów koncentracyjnych Dachau i Gusen. Miał prawo sądzić, że moja znajomość języka niemieckiego okaże się przydatna w pracy tak duszpasterskiej, jak i administracyjnej.

- 28 października 1945 r. odbył Ksiądz jako administrator apostolski ingres do kościoła pw. Najświętszej Maryi Panny w Gorzowie. Kto podjął decyzję, aby to niewielkie wtedy miasto nad Wartą zostało stolicą biskupią?

- Ksiądz prymas wskazał Szczecin i Gorzów do wyboru. Kiedy już byłem biskupem gdańskim, dotarły do mnie informacje, jakoby

ówczesny Szczecin nie stał się stolicą administracji apostolskiej ze względu na położenie i znaczną odległość od centrum kraju. Nie to jednak zdecydowało o wyborze Gorzowa. Przeciwko Szczecinowi przemawiały nie do końca podjęte decyzje polityczne co do tego, czy to miasto na pewno pozostanie w granicach Polski, mimo iż traktat poczdamski już został zawarty. Szczecin traktowałem z należytym szacunkiem, czego wyrazem był ingres, który odbyłem również do tamtejszej prokatedry Matki Bożej Królowej Korony Polskiej.

- Przejdźmy do zasadniczego tematu naszej rozmowy. 3 maja 1946 r. Ekscelencja oddał administrację w opiekę Matce Bożej z kościoła w Rokitnie. Jakie były tego powody?
- O tym nie mówi się oficjalnie. Powiem więc to, czego nikomu dotąd nie ujawniłem. Otóż nie wszyscy kapłani uważali, że ziemie zwane odzyskanymi pozostaną przy Polsce. Ówczesna propaganda rządowa tak głosiła, ale byli i tacy, którzy jej nie wierzyli i czekali na wybuch trzeciej wojny światowej, po której ziemie te miały wrócić do Niemiec. Trzeba było coś postanowić, aby połączyć ludzi zwiezionych na Pomorze i Ziemię Lubuską z różnych stron Rzeczpospolitej. To, że łączył nas język, historia, tradycja, religia było za mało. Pomyślałem, iż na gruncie Kościoła lokalnego takim łącznikiem może stać się Pani Rokitniańska, tym bardziej że ma wiele wspólnego z powszechnie wielbioną Panią Jasnogórską.

- Wiele wspólnego? A co łączy obie Madonny?
- Podczas potopu szwedzkiego obie zapisały się w dziejach narodu polskiego w sposób szczególny. O cudownym wizerunku Pani Jasnogórskiej większość diecezjan dobrze wiedziała, albowiem dzieje Jasnej Góry przedstawił w swojej powieści Henryk Sienkiewicz, natomiast o cudownym obrazie Pani Rokitniańskiej wiedzieli nieliczni.

- Należało więc tę wiedzę upowszechnić, ale jak?
- Pomógł Episkopat Polski latem 1946 roku, zarządzając cykl uroczystości maryjnych w całym kraju. Przypomniałem sobie wtedy pobyt w Rokitnie tuż po objęciu administracji, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem cudowny obraz. Był on w opłakanych stanie, a to dlatego, że gdy zbliżał się front, parafianie za radą tamtejszego pro-

boszcza, księdza Polzina, ukryli go w słomie w zabudowaniach gospodarskich kościelnego. Zaproponowałem swoją pomoc w dostarczeniu obrazu do Muzeum Wielkopolskiego w Poznania, gdzie konserwatorzy dołożą starań, aby dziełu przywrócić dawny blask. Rokitnianie niezbyt chętnie się na to zgodzili. A gdy na początku sierpnia 1946 r. obraz wrócił do Rokitna, mieli łzy w oczach widząc, jak jest wspaniale odrestaurowany.

- Uroczystość oddania diecezji w opiekę Matce Bożej Cierpliwie Słuchającej 15 sierpnia 1946 r. ostatecznie odbyła się nie w Rokitnie, lecz w Gorzowie.

- Gorzów był stolicą biskupią, miał katedrę, mógł przyjąć tysiące pielgrzymów z całej diecezji. A więc były lepsze warunki, aby odprawić uroczystości. Nie bez znaczenia było i to, że po raz drugi od trzech wieków obraz udawał się z uroczystą pielgrzymką. Pielgrzymował obraz i pielgrzymowali diecezjanie do miejsca, które stało się matką kościołów w największej administracji kościelnej w Polsce.

- Czy zawierzenie diecezji Madonnie z Rokitna miało szczególny charakter?

- Poza częścią religijną odczytano akt poświęcenia. Wierni powtarzali za mną: „Niepokalana Dziewico, Boga Matko Przeczysta! Jak ongiś po szwedzkim najeździe król Jan Kazimierz Ciebie za patronkę i Królową Państwa obrał i Rzeczpospolitą Twojej szczególnej opiece i obronie polecił, tak w tę dziejową chwilę my, dzieci narodu polskiego, stajemy przez Twym tronem z hołdem miłości, czci serdecznej i wdzięczności."

- Jeszcze tego samego dnia obraz wyruszył w drogę powrotną do Rokitna, gdzie do dziś się znajduje.

- Zanim trafił do Rokitna, był w Bledzewie. Zapiski wskazują, że jego pierwszym właścicielem mógł być Jan Stawicki z Kujaw, który ofiarował malowidło znawcy sztuki sakralnej z Kruszwicy archidiakonowi Maciejowi Dąbrowskiemu. Ten prawdopodobnie przekazał go biskupowi Rozdrażewskiemu. Krewna biskupa, Anna Rozdrażewska, wychodząc za mąż za Wacława Leszczyńskiego, późniejszego kanclerza koronnego, wniosła ten obraz do majątku w posa-

gu. Potem wizerunek Maryi należał do jej córki, Katarzyny Leszczyńskiej. A gdy ta po śmierci swego pierwszego męża Stanisława Grzymułtowskiego drugi raz wyszła za Piotra Opalińskiego, obraz stał się własnością rodziny męża.

- Które to były lata?

- Druga połowa siedemnastego wieku, czas potopu szwedzkiego. Opaliński stał na czele opozycji szwedzkiej w Wielkopolsce. To on wraz z pospolitym ruszeniem natarł zwycięsko na Szwedów, zatrzymując się dopiero między Ośnem Lubuskim a Rzepinem. Wyprawie wojennej towarzyszył obraz, który od czasu uzdrowienia sąsiada Opalińskiego, Brodzkiego, słynął ze swojej cudownej uzdrawiającej mocy. Można więc przyjąć, że Madonna z Rokitna odbyła swoją pierwszą pielgrzymkę po Ziemi Lubuskiej już w roku 1656.

- A kiedy odbyła kolejna pielgrzymka?

- Po śmierci Piotra Opalińskiego obraz stał się własnością jego syna Kazimierza. A kiedy ten został opatem cystersów w Bledzewie, umieścił go najpierw w swojej celi, a potem w przyklasztornej kaplicy. Z czasem świątynia stała się ośrodkiem kultu maryjnego. W 1669 r. opat przeniósł uznawany za cudowny wizerunek Maryi do kościoła w pobliskim Rokitnie, gdzie posługę kapłańską sprawowali cystersi. To nie był ten sam kościół, który dziś stoi na rokitniańskim wzgórzu, przez Ojca Świętego Jana Pawła II podniesiony do godności bazyliki mniejszej. To był niewielki drewniany kościółek.

- I to wtedy biskup poznański Stefan Wierzbowski, wcześniej będący opatem w Paradyżu, powołał komisję, która miała sprawdzić cudowną moc obrazu?

- Aż 76 osób zeznało pod przysięgą, że doznało cudownych uzdrowień lub łask albo zaświadczyło, że inni takich uzdrowień doznali. 4 marca 1670 roku komisja ogłosiła dekret, iż „ten Obraz jaśnieje nie tylko udzielonymi pomocami i nadzwyczajnymi łaskami, lecz i cudami".

- Rok później król Michał Korybut Wiśniowiecki zażyczył sobie, aby obraz towarzyszył mu w wyprawie na Ukrainę, gdzie zanosiło się na wojnę z Kozakami. Jednak ostatecznie

dotarł tylko do Lublina, bo niebezpieczeństwo kozackie zostało zażegnane. Uczestnicy tamtych wydarzeń twierdzili, że wydarzyło się to dzięki obecności ikony Matki Bożej z Rokitna.

- To jeszcze jeden dowód na to, jak wielką moc ma wizerunek Pani Rokitniańskiej. Chcąc się odwdzięczyć cudownej Panience, rycerstwo ufundowało orła białego z kości słoniowej, który został przypięty do jej srebrnej sukienki. Król zaś ufundował koronę w kształcie mitry książęcej, wykonaną ze złota, wysadzaną 22 brylantami. Podtrzymywały ją dwa aniołki.

- Na obrazie znajdującym się dziś w Rokitnie nie widać aniołków, korona też ma inny kształt.

- Ta sprawa nie do końca jest jasna. Nie wiadomo, co się stało z tamtą koroną. Zresztą i na temat pierwszej koronacji, która odbyła się we wsi Gołąb koło Lublina informacje również są sprzeczne.

- Na kopii obrazu z Rokitna, znajdującej się w wielkopolskich Koszutach Małych, jest korona w kształcie mitry książęcej i są aniołki.

- Powstało co najmniej osiem kopii obrazu. Wykonały je siostry cysterki w Bledzewie, które w 1639 r. uciekły z łużyckiego klasztoru St. Marienstern koło Budziszyna. Jedna z kopii trafiła do kościoła w Koszutach Małych koło Słupcy, gdzie mieścił się klasztor cysterski. Inna jest w Licheniu, kolejna w niemieckim St. Marienstern na Górnych Łużycach.

- Wizerunek Madonny z Rokitna kryje wiele tajemnic.

- Przede wszystkim nie znamy ani jego autora, ani pracowni, w której powstał. Historycy sztuki przypuszczają, że pochodzi ze szkoły niderlandzkiej lub namalował go jakiś artysta ze wschodu. Wiemy jedynie, co wynika z badań specjalistycznych, że został namalowany na lipowej desce. Nie można ustalić: kto, kiedy i dlaczego zmniejszył jego wymiary. Stare dokumenty podają, że miał on dwie stopy wysokości i półtora szerokości, czyli 60 na 45 centymetrów. Dziś ma 40 na 27 centymetrów.

- Historycy twierdzą, że na początku Maryja spoglądała na małego Jezusa.

- Nigdzie nie znalazłem wzmianki, kiedy Dzieciątko znikło z obrazu. Nie ma Go na oryginale, nie ma też na kopiach.

- Jest jeszcze jedna różnica pomiędzy kopiami a wizerunkiem w Rokitnie: mam na myśli prawe ucho Maryi.

- Nigdy nie udało się ustalić, w jakich okolicznościach domalowano ucho. W tej sprawie znawcy sztuki są zgodni, dodają zresztą, że przemalowano także włosy nad uchem oraz zmieniono układ niebieskiej chusty na głowie. Maryja z Rokitna ma młodzieńczą twarz, półprzymknięte oczy i zastygłe w milczeniu usta. I tylko ucho wysunięte spod chustki świadczy o tym, że nie jest obojętna na to, co się dzieje wokół. To Matka Boża Cierpliwie Słuchająca, zwana też Madonną z Rokitna albo Panią Rokitniańską. Do niej jako naszej patronki diecezjanie kierują swoje modlitwy i prośby.

- Księże Biskupie, czy w czasach niemieckich również istniał kult Maryi w Rokitnie?

- Prusacy, w większości luteranie, zabraniali, by urzędy kościelne zajmowali duchowni narodowości polskiej. W Rokitnie był jeszcze jeden powód do swoistej walki z polskością: orzeł biały na srebrnej sukience Madonny. W czasach Bismarcka i szalejącego hitleryzmu przykrywano go rozetą wykonaną z czerwonej wstęgi. A że w tym rejonie mieszkało sporo Polaków, w zdecydowanej większości katolików, kult Maryi przetrwał.

- Nadeszła zima 1945 r., od wschodu zbliżał się front...

- Proszę sobie wyobrazić, że niemiecki proboszcz podpowiadał parafianom, aby ukryli obraz. Kiedy już po objęciu administracji przybyłem do Rokitna, zastałem zniszczony kościół i straszącą połamanymi meblami, wybitymi szybami plebanię. Cudownego obrazu nie było w kościele, a miejscowa ludność nie chciała ze mną rozmawiać. Delegację parafian zaprosiłem do Gorzowa, by na miejscu przekonała się, że mam zamiar odbudować Kościół na ziemiach zwanych odzyskanymi... I tak wróciliśmy do początku, mojej opowieści, kiedy to 15 sierpnia 1946 r. w obecności może 50 tysięcy wiernych poleciłem opiece Pani Rokitniańskiej tę największą administrację apostolską w Polsce.

- Dziękuję Waszej Ekscelencji za rozmowę.

Diecezjalne daty

1945 – 15 sierpnia: ukazał się dekret kardynała Augusta Hlonda w sprawie utworzenia jednostek administracji kościelnej w zachodniej i północnej Polsce, powstała m.in. administracja apostolska kamieńska, lubuska i prałatury pilskiej w Gorzowie

1972 – 28 listopada: papież Paweł VI wydał bullę *Episcoporum Poloniae*, w której określił granice diecezji gorzowskiej z siedzibą ordynariusza w Gorzowie

1992 – 25 marca: papież Jan Paweł II bullą Totus *Tuus Poloniae* zreorganizował administrację kościelną, ustanawiając diecezję zielonogórsko-gorzowską z siedzibą biskupa ordynariusza w Zielonej Górze

Rządcy administracji apostolskiej kamieńskiej, lubuskiej i prałatury pilskiej; ordynariatu gorzowskiego; administracji apostolskiej gorzowskiej *ad nutum Sanctae Sedis*

ks. Edmund Nowicki (1945-1951)
ks. Taduesz Załuczkowski (1951-1952)
ks. Zygmunt Szelążek (1952-1954)
ks. bp Teodor Bensch (1954-1958)
ks. bp Wilhelm Pluta (1958-1972)

biskupi gorzowscy

ks. bp Wilhelm Pluta (1972-1986)
ks. bp Józef Michalik (1986-1992)

biskupi zielonogórsko-gorzowscy

ks. bp Józef Michalik (1992-1993)
ks. bp Adam Dyczkowski (1993-2007)
ks. bp Stefan Regmunt (2007-)

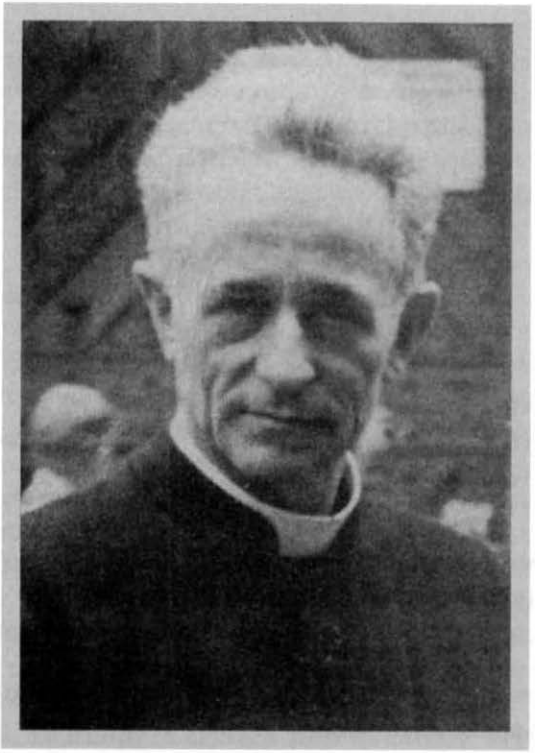

Ks. Kazimierz Michalski – fot. Krzysztof Donabidowicz – z pracy „Konflikt o Dom Katolicki w Zielonej Górze w dniu 30 maja 1960 roku w świetle dokumentów", Poznań 2007

Ks. Kazimierz Michalski

Urodził się w 1889 w Gnieźnie, zmarł w 1975 r. w Poznaniu. W 1922 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Służbę duszpasterską rozpoczął w Wolsztynie. We wrześniu 1939 r. jako kapelan Wojska Polskiego brał udział w działaniach wojennych Armii Poznań. Aresztowany przez Gestapo, do końca drugiej wojny światowej był więziony w obozie koncentracyjnym Dachau. W 1945 został proboszczem parafii św. Jadwigi w Zielonej Górze, z której w 1953 r. usunęły go władze państwowe. W 1956 r. wrócił do Zielonej Góry, gdzie stanął przeciw władzom usiłującym odebrać parafii własność kościelną. Był to pierwszy protest mieszkańców Winnego Grodu przeciw władzom. W 1960 r. został ponownie usunięty, wtedy wrócił do Poznania.

WYDARZENIA ZIELONOGÓRSKIE

Rozmowa z ks. Kazimierzem Michalskim, pierwszym dziekanem zielonogórskim i proboszczem parafii św. Jadwigi

- Czy czuje się Ksiądz odpowiedzialny za to, co się wydarzyło 30 maja 1960 r. w Zielonej Górze?
- W żadnym wypadku. Ani odpowiedzialny, ani winny.

- Ówczesne władze wojewódzkie twierdziły, że główną winę ponosi Ksiądz Proboszcz.
- Czuję jedynie ogromny smutek, że ci niewinni ludzie, stając w obronie własności parafialnej, narazili się na nieprzyjemności. Zostali ukarani wyrzuceniem ze szkoły, zakładu pracy, skazani na karę więzienia, nałożono na nich obowiązek zapłacenia grzywny.

- Czy musiało do tego dojść?
- Jestem pewny, że nie musiało. Ale to nie jest odpowiedź, która zadowoli człowieka myślącego i analizującego historię Polski Ludowej.

- A jaka zadowoli?
- Że jednak musiało do tego dojść. Za wszelką cenę władze chciały doprowadzić do konfrontacji. Z jednej strony chodziło im o budynek i miejsce Kościoła w mieście, z drugiej – o mnie. Byłem im solą w oku. Zielonogórskie władze chciały mnie usunąć z miasta.

- Dlaczego?

- Dlatego, że sumiennie czyniłem to, co czynić powinien każdy duszpasterz. Byłem z wiernymi na dobre i na złe, gdy przeżywali radości i gdy się martwili. Byłem z chorymi i zdrowymi. Byłem ze skrzywdzonymi i ubogimi. Zamiast godzić się z antykościelnymi decyzjami władz, gromadziłem mieszkańców Zielonej Góry przy Chrystusie. Przekonywałem ich, że o swoich sprawach powinni sami decydować.

- Wtrącał się Ksiądz w świeckie życie parafian?
- Wspierałem wiernych i nawoływałem, aby sobie pomagali i żyli w zgodzie. Proszę pamiętać, że do powojennej Zielonej Góry przyjechali ludzie z Kresów Wschodnich, z Polski Centralnej, z Poznańskiego. Różniły ich nie tylko zwyczaje czy doświadczenia historyczne, lecz nawet język. Poleszuk z trudem rozumiał mowę Wielkopolanina. Ludzie spod Krzemieńca na stole wigilijnym stawiali kutię, a z Wielkopolski podawali makiełki. To, co dla jednych było twarogiem, inni nazywali gzikiem. Kresowianie jedli kartofle, a poznaniacy – pyry. Chciałem, żeby te różnice nie dzieliły Polaków. Zdawałem sobie sprawę, że najszybciej zbliży nowych zielonogórzan do siebie Jezus Chrystus. Przybyłych do Zielonej Góry z różnych stron przedwojennej Polski łączył Kościół katolicki. Zresztą nie pierwszy raz. W trudnych czasach Kościół zawsze był ostoją narodowej tożsamości.

- Czy zielonogórski Kościół pierwszych lat był dobrze zorganizowany?
- Już w grudniu 1945 r. powstała Sodalicja Mariańska Pań. Niebawem założyliśmy pierwsze przedszkole i Katolicki Dom Społeczny, który po piętnastu latach odebrano parafii. Udało się uruchomić kuchnię ludową, karmiącą ubogich i chorych. Zbieraliśmy odzież i sprzęt po to, żeby wspomóc najbiedniejszych. Do 1947 r. władze miejskie wspierały nasze działania. Dopiero po referendum „3 razy tak" sytuacja zaczęła się zmieniać na naszą niekorzyść.

- Jak Ksiądz Dziekan to odczuwał?
- Gdy tylko powstało Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, zaczęto usuwać religię ze szkół, mimo iż rodzice sobie tego nie życzyli. Wielokrotnie stawałem w ich obronie, ale bez skutku.

We wrześniu 1947 r. aresztowano starostę zielonogórskiego, Jana Klementowskiego. Za co? Między innymi za to, że, jak to określono w oskarżeniu, „pod gorliwym kierownictwem miejscowego proboszcza konsoliduje katolickie życie organizacyjne przede wszystkim w działaniu charytatywnym". Po Klementowskim starostą został major Zenon Tomaszewski, który ogłosił, że „działalność księdza dziekana jest antyspołeczna i szkodliwa dla narodu polskiego".

- Poczuł się Ksiądz dotknięty tą opinią?

- Owszem. Nie czyniłem przecież niczego przeciw parafianom. Niestety, niebawem nadeszły jeszcze gorsze czasy. W listopadzie 1949 r. wydano okólnik w sprawie ponownej rejestracji stowarzyszeń. Do rejestru mogły zostać wpisane jedynie te, które uzyskały pozytywną opinię Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa. To oznaczało, że Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, Krucjata Eucharystyczna Dzieci czy wymieniona już Sodalicja Mariańska nie uzyskały takiej opinii i stały się organizacjami nielegalnymi. To był cios w naszą działalność, bo nie mogliśmy prowadzić przedszkoli, stołówek, kółek, pomagać ubogim.

- 13 lutego 1949 r. został Ksiądz aresztowany pierwszy raz. Za co?

- To był drugi raz, pierwszy miał miejsce w listopadzie 1939 r., wtedy aresztowało mnie Gestapo i do końca wojny zamknęło w obozie koncentracyjnym w Dachau. W lutym 1949 r. aresztowali mnie Polacy za list Episkopatu Polski w sprawie odebrania Kościołowi organizacji Caritas. Uważałem to za zamach na kościelną własność, powstałą przecież ze składek wiernych. Mimo że prezydent miasta Józef Ziarnkowski przestrzegał mnie przed następstwami, w niedzielę 12 lutego odczytałem ten list z ambony. A w poniedziałek Urząd Bezpieczeństwa kazał mnie aresztować z powodu, jak to określono, „wykroczenia przeciwko wolności sumienia, za rzekome odmówienie posług religijnych niejakiej Tasińskiej dla jej przekonań politycznych". Z aresztu wypuszczono mnie dopiero w kwietniu 1950 r.

- W lutym 1953 r. władze państwowe wydały dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych. Zmuszał on duchownych do

ślubowania wierności państwu ludowemu. Podpisał Ksiądz deklarację lojalności?
- Wielu kapłanów odmówiło podpisania, tym bardziej że ów dekret ignorował kompetencje biskupa diecezjalnego. O tym, kto będzie proboszczem miały decydować władze państwowe. Nie podpisałem deklaracji lojalności, dlatego w sierpniu 1953 r. władze wymeldowały mnie z mieszkania, co było równoznaczne z wypędzeniem z Zielonej Góry. Znalazłem schronienie w kościele farnym w Poznaniu.

- Trzy lata później, zaraz po Październiku pełnym nadziei na zmiany społeczne, Ksiądz wrócił do parafii Świętej Jadwigi.
- Cieszyłem się bardzo z tego powodu. Miałem nadzieję, że tym razem będzie inaczej. Z ogromnym zapałem przystąpiłem do pracy duszpasterskiej. Podczas pobytu w Poznaniu przekonałem się, jak ważny dla człowieka jest częsty kontakt ze sztuką. Postanowiłem więc prezentować przedstawienia teatralne i sztuki religijne mieszkańcom miasta. Najlepiej się do tego nadawał Dom Katolicki na placu Powstańców Wielkopolskich.

- Co na to władze?
- Po Październiku wiele się zmieniło. Przede wszystkim funkcje w administracji państwowej i partyjnej przejęli nowi ludzie. Z początku ci nowi nie wykazywali zainteresowania naszą działalnością. Jednak z upływem miesięcy zaczęło wracać stare. Nakazano w oparciu o niepublikowane przepisy, abyśmy występowali do urzędu cenzury o zgodę na organizowanie przedstawień w naszym Domu Katolickim.

- Czyżby chcieli cenzurować Ewangelię?
- Proszę się nie śmiać, ale właśnie tak było. Pamiętam, że w czerwcu 1958 zespół z Poznania wystawił u nas *Mękę Pańską*. Oczywiście nie wystąpiłem o zgodę do cenzury, a ona uznała to za złamanie prawa. Kilkanaście dni później teatr z Gorzowa wystawił *Rozdroże miłości* Jerzego Zawieyskiego, pisarza katolickiego, co do którego istniał tajny zakaz publikacji, ale ja o tym nie wiedziałem. Za to cenzura postawiła mnie przed kolegium orzekającym, a to stwierdziło niewielką szkodliwość z mojej strony i ukarało drobną sumą do zapłacenia.

- W dokumentach z tamtych lat jest i taki, w którym władze zarzucają Księdzu wtrącanie się do organizacji szkół.
- Zapewne chodzi panu o szkołę nr 5 bez nauczania religii. Taki cel postawiły przed sobą władze, ja zaś uważałem, że w każdej publicznej szkole powinna się odbywać katecheza. W kraju, w którym 97 procent społeczeństwa wyznaje wiarę chrześcijańską, nauczanie religii jest obowiązkiem. Z punktu widzenia organizacji pracy ucznia byłoby najlepiej, aby lekcje odbywały się w szkole. Przypominałem władzom, że jeśli większość rodziców życzy sobie religii w ramach zajęć szkolnych, to nie wolno im odmówić. O tym mówiło rozporządzenie Ministra Oświaty z grudnia 1956 r. A ponieważ władze nie tylko nie chciały wprowadzić religii do szkoły nr 5, ale nawet nie godziły się na zebranie rodziców w tej sprawie, udostępniłem im salę w Domu Katolickim. Wtedy usłyszałem, że budynek jest wykorzystywany do innych celów niż został przeznaczony.

- Czy o zlikwidowaniu religii ze szkół mówił Ksiądz Proboszcz również z ambony?
- Obwiniałem władze o brak poszanowania prawa i zasad demokracji. Mówiłem, że skoro Polska wybrała rodzinę Krajów Demokracji Ludowej, więc powinna przestrzegać obowiązujących w tej mierze norm.

- I wtedy władze wpadły na pomysł, który stał się zarzewiem konfliktu zwanego Wydarzeniami Zielonogórskimi.
- Przy placu Powstańców Wielkopolskich parafia miała Katolicki Dom Społeczny. Odbywały się tam lekcje religii, dzieci przygotowywały się do pierwszej komunii, organizowaliśmy zebrania, mieściła się stołówka i magazyn Caritas. Byliśmy gospodarzem tego budynku od grudnia 1945, kiedy to wydział nieruchomości Tymczasowego Zarządu Państwowego w Poznaniu przekazał go parafii do użytkowania. Do czasu zakończenia wojny należał on do niemieckiej gminy ewangelickiej.

- Władze zarzuciły parafii, że budynek jest niewykorzystywany.
- To też, chociaż szczegółów nigdy nam nie przedstawiono. Przede wszystkim po krótkim okresie odwilży politycznej, jaki był po Paź-

dzierniku 1956, rozpoczęła się walka z Kościołem. Do tego celu w każdym województwie powołano trójki partyjne. Zielonogórska trójka postanowiła odebrać naszej parafii ów Dom Katolicki przy placu Powstańców Wielkopolskich.

- Zielona Góra od dziesięciu lat była stolicą województwa, powstawały nowe urzędy i instytucje, potrzebowały pomieszczeń...

- Gdyby tak ze mną rozmawiano, pewnie przekonałbym parafian, że powinniśmy przyjąć pod nasz dach orkiestrę symfoniczną, biuro Polskiego Związku Głuchych i oddział Związku Zawodowego Pracowników Gospodarki Komunalnej. Ale ze mną nie rozmawiano, mnie kazano. Najpierw więc kazano przedstawić dokument własności budynku. Potem nakazano miejskiej komisji lokalowej odebranie prawa do użytkowania tego budynku. A jeśli parafia nie dostosuje się do tej decyzji, polecono usunięcie nas, czyli eksmisję.

- Czy o tym wszystkim Ksiądz Proboszcz informował parafian z ambony?

- Pamiętam, że kiedy w środę popielcową 1960 r. młody ksiądz Jan Szuścik przekazał parafianom tę wiadomość, władze natychmiast wezwały go na przesłuchanie i zastraszyły. Mnie natomiast postanowiły usunąć z parafii, ale kuria biskupia w Gorzowie nie wyraziła na to zgody. Zdawałem sobie sprawę, że już długo nie będę kapłanem w Zielonej Górze, że przegram, mimo to postanowiłem wykorzystać wszystkie możliwości, jakie daje prawo.

- I wtedy chwycił się Ksiądz ostatniej deski ratunku: petycji do Warszawy.

- Uradziłem z parafiami, że wyślemy prośbę o zaniechanie eksmisji do Rady Państwa z podpisami wiernych. Zebraliśmy ich około 1200. Ksiądz biskup Wilhelm Pluta poparł nasze stanowisko.

- Jaka była odpowiedź Rady Państwa?

- Na początku czerwca przyszła odpowiedź podtrzymująca decyzję zielonogórskich władz. A te wyznaczyły eksmisję na sobotę 28 maja, ale tego dnia nie wyrzucono nas z budynku. Dlaczego, tego nie wiem. Później dotarły do mnie informacje, iż obawiano się, że pod-

czas niedzielnego kazania poświęcę temu problemowi dużo czasu, czym mogę wywołać wzburzenie zielonogórzan.

- Eksmisja rozpoczęła się w poniedziałek rano.
- O ile wiem, milicja przygotowywała się do tego długo i profesjonalnie. Nie spodziewała się jednak, że będzie musiała użyć siły. Gdy w poniedziałek pracownicy Miejskiej Rady Narodowej w towarzystwie milicjantów chcieli wejść do naszego budynku, nie zostali wpuszczeni przez znajdujące się tam parafianki, w większości należące do Trzeciego Zakonu Świętego Franciszka. Niebawem na placu zebrało się, jak mi później powiedziano, około 200 osób. Milicjanci dostali rozkaz usunięcia zebranych i kobiet tarasujących wejście do Domu Katolickiego.

- Ludzie nie chcieli się rozejść, milicja więc rozpędziła ich pałkami.
- To było najgorsze. Nie wolno głosić haseł o równości, sprawiedliwości i przewodniej roli mas pracujących, a potem w taki sposób rozprawiać się z narodem. Milicjanci powinni mieć w pamięci Czerwiec 1956 w Poznaniu. Ci, którzy wydali rozkaz o użyciu siły wobec mieszkańców miasta powinni zdawać sobie sprawę z konsekwencji, jakie to wywoła. Z własnym narodem jeszcze żadna władza nie wygrała.

- Czy Ksiądz wzywał zielonogórzan do ataku na milicjantów?
- Kiedy się dowiedziałem o tym, poszedłem tam i starałem się przemówić do protestujących. Rozwścieczony tłum już mnie nie słuchał. Milicja wyrządziła mu za dużo krzywdy. Wśród zielonogórzan byli pobici, zatrzymani, zakuci w kajdanki, wycierający oczy z powodu gazu łzawiącego. Z placu i sąsiednich uliczek ludzie zrywali kostkę brukową, obrzucili nią milicjantów i ich samochody, wybili szyby w komendzie milicji. Centrum Zielonej Góry wyglądało jak pobojowisko.

- Głównym winowajcą, w ocenie władz, był niepokorny Ksiądz Proboszcz.
- Najbardziej żal mi ludzi, którzy stanęli w obronie Domu Katolickiego. Tych, którzy zostali srodze ukarani za walkę o prawo do wy-

znawania swojej religii. Ja? Byłem tylko księdzem postępującym zgodnie z tym, co ślubowałem biskupowi po zakończeniu studiów w seminarium. Starałem się być dobrym duszpasterzem, sługą Bożym.

- Przegrał Ksiądz?

- Zostałem „zdjęty" z parafii, jak tego żądały władze od biskupa diecezjalnego. Wróciłem do Poznania. Ale czy przegrałem? Chyba nie. Przekonałem ludzi, że jeśli racja jest po ich stronie to powinni walczyć o swoje. Ten zryw w obronie Domu Katolickiego nie zostanie im zapomniany. To będzie zawsze ważne wydarzenie w historii Kościoła i Zielonej Góry.

- Dziękuję Czcigodnemu Księdzu Dziekanowi za rozmowę.

30 maja 1960 r. – godzina po godzinie

9.00 – w Domu Katolickim przebywało około 15 kobiet, odbywała się lekcja religii; delegacja parafian zaniosła petycję do Miejskiej Rady Narodowej o odstąpienie od eksmisji aż do czasu nadejścia odpowiedzi z Rady Państwa

9.50 – do budynku podeszła grupa eksmisyjna w asyście policjantów, ale znajdujące się tam kobiety ich nie wpuściły, placu zebrało się około 200 zielonogórzan obserwujących wydarzenie

10.05 – milicjanci wezwali zgromadzonych do rozejścia się; gdy ludzie odmówili, milicjanci rozpędzili ich przy pomocy pałek; młodzi ludzie dostali się na wieże kościoła pw. Matki Bożej Częstochowskiej i zaczęli bić w dzwony; na placu zebrało się około 2000 ludzi, milicjanci zaczęli wyciągać z tłumu bardziej agresywne osoby

11.30 – milicjanci obrzucili zgromadzonych pojemnikami z gazem łzawiącym, na rozpraszający się tłum ruszył Zmotoryzowany Odwód Milicji Obywatelskiej, część uczestników protestu skryła się w kościele, ale milicjanci rzucili tam pojemniki z gazem bili ludzi pałkami, drobne grupy rozpierzchły się po zaułkach i sklepikach; broniący się zielonogórzanie obrzucili milicjantów, ich samochody i budynek komendy miejskiej kamieniami; do pomocy ZOMO przyszła tzw. milicja robotnicza wezwana przez władze z zakładów pracy

12.00 – komendant wojewódzki milicji wezwał posiłki z Gorzowa i Poznania, gdy te przybyły, rozegrała się bitwa na kamienie, pałki, gaz łzawiący

12.10 – przyjechały posiłki milicyjne z Nowej Soli

13.15 – zomowcy z Gorzowa ruszyli na tłum na ul. Reymonta

14.00 – na placu Powstańców Wielkopolskich i w pobliskich zaułkach było około 5000 osób

15.00 – przyjechały posiłki milicji z Żagania i Żar

16.15 – do ataku przystąpili milicjanci z Poznania, wspierani przez na nowo uformowane oddziały zielonogórskiej milicji

16.30 – na placu Powstańców Wielkopolskich byli już tylko milicjanci, walki toczyły się jeszcze w zaułkach

Władze określiły to, co się działo w centrum miasta jako zajścia chuligańskie. 38 osobom sąd wymierzył karę do roku, 34 – do dwóch lat, 24 – do trzech lat, 18 – do czterech lat, sześciu – do pięciu lat. 110 osób ukarało kolegium orzekające aresztem do dwóch miesięcy i grzywną do 2300 zł

Straty milicji – m.in. 107 funkcjonariuszy odniosło obrażenia, dwa spalone samochody, wybite szyby w komendzie miejskiej.

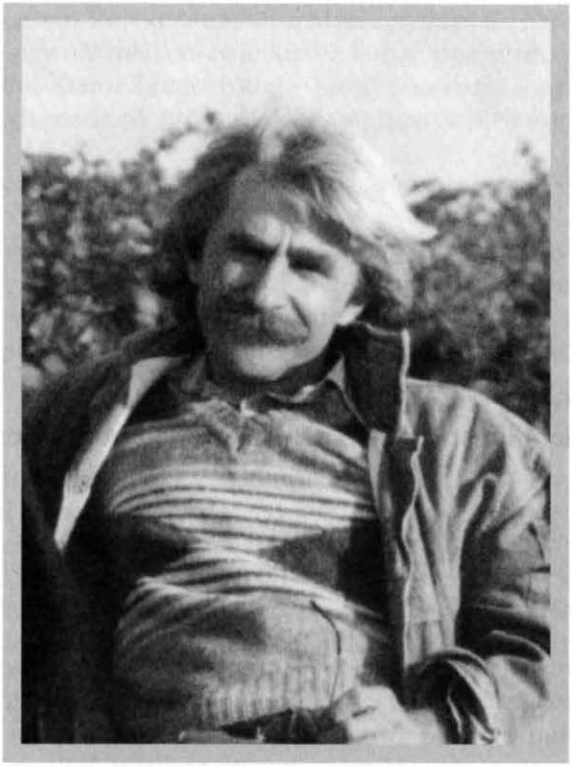

Ryszard Kiełb – fot. z archiwum autora

Ryszard Kiełb

Urodził się 10 lutego 1948 w Mycielinie koło Nowego Miasteczka, zmarł 1 października 1999 r. w kanadyjskim Vancouver. Ukończył studia w byłej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Od 1971 do 1980 r. mieszkał w Zielonej Górze. Zajmował się grafiką, malarstwem i rysunkiem. Był wykładowcą w poznańskiej PWSSP i Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze. Pisał recenzje z wystaw plastycznych. Organizował prezentacje i sympozja naukowe.

MAGICZNE MIEJSCE

Rozmowa z Ryszardem Kiełbem, krytykiem i historykiem sztuki, artystą plastykiem

- Dlaczego warto odwiedzić Łagów?

- Są dwie takie miejscowości na środkowym Nadodrzu. Mam na myśli Lubniewice i właśnie Łagów przez niektórych błędnie nazywany Lubuskim. To po prostu Łagów. Oba te miejsca przed laty uzyskały miano pereł Ziemi Lubuskiej. Oba od dawna mają charakter uzdrowisk, chociaż dziś ani w jednym, ani w drugim nie ma sanatorium z prawdziwego zdarzenia. Pozostał w obu specyficzny klimat, mający szczególny wpływ na twórców kultury i sztuki. Łączy je również to, że oba są położone niedaleko siebie i na przesmykach między jeziorami.

- Do której ze znanych polskich miejscowości Łagów jest podobny?

- Bez dwóch zdań do Kazimierza Dolnego nad Wisłą. Do obu ciągną plastycy, filmowcy, literaci i gdy już się w nich znajdą, nie wyobrażają sobie piękniejszego miejsca. Kto raz tu przyjechał, będzie wracał tu zawsze, choćby we wspomnieniach.

- Czytałem w starych kronikach, że Łagów zawsze był inny niż na przykład położony niedaleko Torzym, od którego ta ziemia wzięła swoją nazwę.

- Współczesny pisarz i poeta zielonogórzanin Krzysztof Fedorowicz podaje, że „Łagów ze starych fotografii leży na średniowiecznym

szlaku, zwanym Polakenstrasse, z Międzyrzecza do Frankfurtu, na drodze, co pewnie miała niewielkie i lokalne znaczenie, ale kreowała przestrzeń Ziemi Torzymskiej – Land Sternberg – z rozrzuconymi po lasach osadami, które należały wyłącznie do zakonników".

- Jakich zakonników miał na myśli zielonogórski autor?
- Chodzi o zakon rycerski Szpitalników Świętego Jana Chrzciciela, powstały w Ziemi Świętej około 1130 r. Po rozpadzie Królestwa Jerozolimy zakonnicy osiedlili się na Cyprze, potem założyli własne państwo na wyspie Rodos, a gdy zostało ono pokonane przez Turków, przenieśli się na Maltę. W Europie kawalerowie maltańscy, zwani też joannitami, byli obdarowywani dobrami przez możnych.

- Oni to dostali Łagów za darmo?
- Najpierw dostali go od margrabiego brandenburskiego Ludwika Wittelsbacha w zastaw za czterysta grzywien srebra z prawem wykupu w ciągu trzech lat. Chodziło o to, że margrabia był winien trzysta grzywien srebra rycerzowi z Lubusza Wesenburgowi. W 1350 r. margrabiowie Ludwik Rzymski i Ludwik Starszy zrzekli się zastawionego majątku, ponieważ nie mieli za co go wykupić. Wtedy Łagów i 22 okoliczne wsie stały się własnością joannitów.

- A ci utworzyli tu komandorię.
- I na przesmyku między jeziorami Trześniowskim i Łagowskim zbudowali zamek, kościół i wieżę. To spowodowało, że zakładając osady i wsie, stali się faktycznymi gospodarzami tej ziemi. Oni też zabezpieczali szlak handlowo-komunikacyjny z Międzyrzecza przez Torzym do zaodrzańskiego Frankfurtu.

- Czy pomiędzy joannitami a Polakami dochodziło do swad o tę ziemię?
- W 1527 r. wojska komandora łagowskiego napadły na Międzyrzecz, co zakończyło się wypłatą odszkodowania stronie polskiej. Prawie półtora wieku później, w czasie potopu szwedzkiego, wojska brandenburskie wypuściły się aż do Wielkopolski. Pospolite ruszenie szlachty wielkopolskiej odpowiedziało uderzeniem na Nową Marchię, zatrzymując się pod Łagowem. Na zamku joannitów miał swój sztab Piotr Opaliński.

- Co się stało z komandorią łagowską w 1810 r. po rozwiązaniu zakonu?
- Dobra dostali pruscy oficerowie w nagrodę albo rodziny szlacheckie jako rekompensatę za utracone majątki. W latach późniejszych zamek często przechodził z rąk do rąk. Przy czym zawsze było to z korzyścią dla Łagowa, bowiem rozwijał się on jako uzdrowisko przy trakcie z Berlina do Poznania. Powstała tu pijalnia wód mineralnych, liczne gospody i zajazdy. W 1926 roku to najmniejsze miasteczko w prowincji pruskiej przyjmowało już dziesięć tysięcy kuracjuszy.

- Druga wojna światowa przeszła obok Łagowa.
- Jeśli nie liczyć utraty praw miejskich, co miało miejsce jeszcze przed wojną, to działania militarne nie dotknęły perły Ziemi Lubuskiej. Wprawdzie zmienili się jej właściciele, ale to sprawa polityczna, a o tej wolę się nie wypowiadać. W 1945 r. zamek był w doskonałym stanie, zresztą identycznie jak łagowskie domy, hotele, pensjonaty.

- Pierwszymi polskimi gospodarzami zamku stali się muzycy.
- W zamku zamienionym na Dom Pracy Twórczej reprezentanci Polski przygotowywali się na przykład do konkursów im. Henryka Wieniawskiego, co wyszło im na dobre. Niestety, to tu w 1949 r. stała się też rzecz straszna. Podczas odbywającego się w Łagowie zjazdu kompozytorów i muzykologów zdecydowano o wprowadzeniu socrealizmu w muzyce. Na szczęście polscy kompozytorzy nie byli tak gorliwi jak ich radzieccy koledzy, dlatego do naszej historii muzyki niewiele przeniknęło takich utworów. Stefan Kisielewski został usunięty z krakowskiej uczelni muzycznej za krytykę socrealizmu w ogóle, a w muzyce szczególnie.

- Po muzykach panami Łagowa stali się filmowcy.
- I to w dosłownym tego znaczeniu. Są tu wymarzone plenery, toteż reżyserzy wykorzystywali je przy kręceniu niektórych scen swoich filmów. Akcja *Godzin nadziei* dzieje się w miasteczku na ziemiach zachodnich. Jan Rybkowski kręcił ten film w 1954 r. właśnie w łagowskich plenerach, angażując też aktorów lubuskich scen teatralnych.

- Czy *Nie będę cię kochać* Janusz Nasfeter również nakręcił w Łagowie?
- Nie mogę tego potwierdzić, chociaż akcja tej niezbyt udanej opowieści nie dotyczy takich ludzi, których spotykałem w Łagowie. W roli głównej wystąpiła publicystka zielonogórskiego „Nadodrza" Henryka Doboszowa. Ta sama, która swoim znakomitym piórem przyczyniła się do przekonania rządzących, że Łagów może być polskim Cannes.

- Ma Pan na myśli 1969 r., kiedy po raz pierwszy odbył się festiwal Lubuskie Lato Filmowe?
- Pomysł natychmiast zyskał poparcie aktorów, reżyserów i krytyków. Rządzący mniej entuzjastycznie wypowiadali się o łagowskiej imprezie, ale nie przeszkadzali w jej organizowaniu. Polska była wtedy chyba jedynym krajem w środkowej i wschodniej Europie bez znaczącego festiwalu filmowego.

- W czyjej głowie narodził się ten pomysł?
- Jak to często bywa, sukces ma wielu ojców. Znam opowieść, że pomysł organizowania festiwalu filmowego padł podczas śniadania w zielonogórskiej Palmiarni. Reżyser Andrzej Żuławski i aktor Daniel Olbrychski tak się zachwycili tym miejscem, że któryś z nich powiedział: „Pięknie tu, może by jakiś festiwal zrobić". Ówczesny kierownik wydziału kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze Józef Pruś powtarzał, że może tak też było, ale przede wszystkim władzom województwa zielonogórskiego chodziło o przywrócenie miejscowości dawnego blasku.

- Był to strzał w dziesiątkę?
- Z pewnością. Krytyk filmowy Aleksander Jackiewicz mawiał o Łagowie: „Od razu się czuje, że jest się bliżej Paryża". Za wyróżnienie poczytywali sobie filmowcy zaproszenie do Łagowa. Tu odbywały się pierwsze festiwale polskich filmów fabularnych. W biografiach najznakomitszych polskich reżyserów Złote Grono występuje tuż za najpoważniejszymi nagrodami światowych festiwali. Należy podkreślić, że nigdy nie nagradzano tu za poprawność polityczną, a wyłącznie za sztukę.

- Czy dlatego w 1981 r. festiwalowe jury na znak protestu przeciw ingerencji władz nie nagrodziło żadnego filmu?
- Proszę pamiętać, że jest to rok z pierwszą Solidarnością. Władze w obawie przed demonstracją artystów najpierw długo nie zezwalały na zorganizowanie festiwalu, potem ugięły się pod naciskiem środowiska filmowego. Nikt nie zliczył tych wszystkich agentów służby bezpieczeństwa, którzy tam się pojawiali. Żeby nie zaogniać, jury przyznało Złote Grono nie filmowi, nie reżyserowi, lecz krytykom. A kiedy w Polsce obowiązywał stan wojenny, festiwal się nie odbywał.

- Filmowy Łagów miał już wtedy konkurenta w filmowym Gdańsku.
- W 1974 r. ma swój początek historia festiwalu polskich filmów fabularnych w Gdańsku, potem przeniesionego do Gdyni. Odbyło się to wbrew środowisku filmowemu, które łagowską imprezę traktowało z wielką powagą. Stowarzyszenie Krytyków Filmowych długo swoją doroczną nagrodę Syrenki Warszawskiej przyznawało w Łagowie, a nie w Gdańsku. Zdaniem krytyków impreza w Łagowie sprzyjała zwyczajnym rozmowom i dyskusjom na temat stanu polskiego kina. Impreza w Gdańsku to zaś wyłączne nagrody.

- W 1991 r. filmowy Łagów ponownie zaskoczył miłośników tej sztuki.
- Nie było już Związku Radzieckiego i upadł mur berliński. Polska przodowała w przemianach nie tylko politycznych, ale i gospodarczych w środkowej i wschodniej Europie. Organizatorzy LLF postanowili to wykorzystać, dlatego zaprosili do Łagowa filmowców z tej części naszego kontynentu. Z dawnego festiwalu wzięli zasady, czyli oprócz projekcji filmowych dyskusję z udziałem krytyków, reżyserów, aktorów i publiczności. Okazuje się, że to jest najbardziej potrzebne zarówno twórcom, jak i filmoznawcom.

- Najmniejsze powodzenie ma Łagów u pisarzy.
- Może bierze się to z tego, że poetę czy pisarza mniej interesuje klimat, w którym pracuje. Ja znam tylko jedną powieść, której akcja toczy się w perle Ziemi Lubuskiej. To *Szachy w Łagowie* zielonogórskiego autora Henryka Ankiewicza.

- To książka z kluczem, jej bohaterami są plastycy tworzący na łagowskim zamku.
- Wbrew oczekiwaniom autora, przeszła nie zauważona ani przez czytelników, ani krytyków. Trochę jej szkoda, bo wcale nie była taka zła. Zawiodła tzw. promocja.

- Łagów miał za to szczęście do plastyków.
- Już w 1948 r. odbył się tu plener malarski. Przyjechała czołówka polskich mistrzów pędzla. Była Hanna Rudzka-Cybisowa, Jan Cybis, Eugeniusz Eibisch. Joannicki duch tego miejsca był obecny jeszcze na poplenerowej wystawie *Łagów w roku 1948* w Poznaniu. Potem uczestnicy pierwszego pleneru często wracali do zamku po to, żeby tworzyć, odpoczywać od miejskiego zgiełku i nasycić się powietrzem tego magicznego miejsca. Razem z nimi przyjeżdżali kolejni przyjaciele Łagowa, wśród nich jeden z najlepszych kolorystów Tadeusz Potworowski.

- Czy ktoś policzył, ile obrazów powstało w Łagowie?
- Nie sądzę, aby to było możliwe. Prawie każdy współczesny, znaczący w polskiej sztuce malarz, ma w swoim dorobku coś z Łagowem w tytule. Niektórzy, jak na przykład Jerzy Duda-Gracz, ten wnikliwy satyryk i moralista, łagowskie motywy zawarł w popularnym cyklu *Obrazy prowincjonalno-gminne*. Zresztą pan Jerzy tak się zadurzył w Łagowie, że spędzał tu każdą wolną chwilę, a z niektórymi mieszkańcami był nawet po imieniu. Tu też odszedł z tego świata. Niedługo po nim zmarła organizatorka łagowskich plenerów.

- W latach 60. XX wieku Zielona Góra zasłynęła wystawami i sympozjami Złotego Grona.
- To było przedsięwzięcie rangi europejskiej, wykoncypowane przez Mariana Szpakowskiego, a dopełnione mądrością Artura Sandauera, Eugeniusza Gepperta, Alfreda Lenicy. Wtedy Julian Przyboś nazwał Zieloną Górę małym Krakowem i powiedział, że stąd jest bliżej do Paryża aniżeli do Warszawy. Miał na myśli nie odległość, a sztukę. Wystawy bowiem były przeglądem polskiej twórczości, a sympozja okazją do dyskusji nad tym, co tworzą artyści plastycy, architekci, poeci, filmowcy. Odbywały się one co dwa lata w Zielonej Górze i na przemian z plenerami plastycznymi w Łagowie.

- W ten sposób przybliżyliśmy się do największego dzieła tamtych lat, do tzw. Karty łagowskiej z 1974 r.

- Ona będzie zawsze w historii polskiej sztuki, mimo iż została przesadnie naszpikowana pojęciami teoretycznymi. Najogólniej mówiąc chodziło o przestrzeń, w której żyje człowiek, o jej humanistyczny wygląd. O to, żeby centra kulturalne były nie przypadkowo, ale logicznie umiejscowione. Żeby przestrzeń, w której żyją ludzie, wypełniały nie tylko budynki, lampy, słupy ogłoszeniowe, ale i rzeźby, i tablice orientacyjne, i nawet reklamy. Żeby to wszystko służyło człowiekowi i pomagało mu żyć. Żeby nie czuł się intruzem. Jan Berdyszak i Stefan Papp, gorące głowy łagowskich dyskusji, mówili, że „spośród wszystkich bytów, dwa są niezniszczalne, może dlatego, że egzystują wyłącznie jako procesy i względności, są nimi czas i przestrzeń".

- Skoro miało to tak ogromne znaczenie dla sztuki, dlaczego przestało funkcjonować?

- Byłem ostatnim komisarzem i współorganizatorem Złotego Grona. Ze smutkiem przyznaję się, że to zadanie przerastało moje wyobrażenie o sztuce. Zresztą nie tylko moje. Po tylu ważnych wystawach, po ekspozycji *Przestrzeń i wyraz*, po Karcie łagowskiej moje pokolenie nie umiało zrobić następnego kroku. Pewnie przyczyn tego należy szukać w nadchodzących zmianach politycznych i społecznych w kraju, a potem na świecie. Teraz potrzebny był inny punkt widzenia. Taki zastrzyk świeżej krwi. Przyznam się ze wstydem, że po 1978 r., kiedy Złote Grono z imprezy plastycznej przekształciło się w forum architektoniczno-urbanistyczne malarze, rzeźbiarze i graficy niewiele już mieli do powiedzenia.

- Lukę powstałą po Złotym Gronie starało się wypełnić Biennale Sztuki Nowej.

- Nie miało ono już nic wspólnego z Łagowem. Była to jedynie w miarę udana próba. Takie skopiowanie metody, ale nie treści.

- Czy Łagów ma swoich wielkich bohaterów?

- To tu w 1895 r. urodził się niemiecki laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny Gerhard Domagk. Na tutejszym cmentarzu spoczywa Leon Pinecki, pięciokrotny mistrz Europy i trzykrotny mistrz świata w zapasach.

- Czego powinniśmy życzyć miasteczku i jego mieszkańcom?
- Odzyskania statusu uzdrowiska. Jeśli będzie pijalnia wód mineralnych, przyjadą kuracjusze. Zostawią tu swoje pieniądze, a wtedy restauratorzy będą mieli i na remonty budynków, i za co kupować obrazy. Mimo że artyści żyją sztuką, ich rodziny potrzebują pieniędzy na chleb.

- Czego i ja życzę, dziękując za rozmowę.

Z Karty łagowskiej:

Gwałtowna, obliczona na doraźny sukces działalność inwestycyjna – pozbawiona refleksji humanistycznej nad skutkami chaotycznego kształtowania środowiska kulturowego – zdewastowała przestrzeń społeczną. Świat zbudowany przez ludzi, którzy posiedli nowoczesna technikę nie mając kultury – zagraża życiu i rozwojowi człowieka. Idee racjonalizmu i funkcjonowania budownictwa – błędnie interpretowane – są urzeczywistniane w sposób uproszczony, tandetny i ahumanitarny. Żywiołowe inwestowanie powoduje nie tylko znaczne straty materialne, ale przede wszystkim wywołuje poważne zakłócenia w funkcjonowaniu życia społecznego, działa destrukcyjnie na stosunki międzyludzkie. Proces kształtowania środowiska kulturowego musi się przeobrazić w powszechną, dalekowzroczną, ogarniającą wszystkie dziedziny życia kreację.

Bronisława Wajs-Papusza – fot. Czesław Łuniewicz – z archiwum autora

Bronisława Wajs-Papusza

Urodziła się 30 maja 1910 (?) w Lublinie, zmarła 8 lutego 1987 r. w Inowrocławiu. Nigdy nie chodziła do szkoły, a umiejętność pisania i czytania zdobyła drogą samokształcenia. Napisała 38 wierszy po cygańsku, uznanych przez krytyków za arcydzieła. Ukazały się one w zbiorkach *Pieśni Papuszy*, *Pieśni mówione* i *Lesie, ojcze mój*. Były tłumaczone m.in. na angielski, francuski, niemiecki, włoski. W latach 1950-53 mieszkała w Żaganiu, skąd przeprowadziła się do Gorzowa, a w 1981 r. do Inowrocławia.

ROMANE GILA / CYGAŃSKIE PIEŚNI

Rozmowa z Bronisławą Wajs-Papuszą, wybitną poetką cygańską

- W ankiecie Związku Literatów Polskich napisała Pani własnoręcznie, że urodziła się 17 sierpnia 1908 r. w Lublinie. W innych dokumentach jest 30 maja 1910, a miejsce urodzenia to Grodno. Podawała Pani też rok 1909. Która data jest prawdziwa?

- Ja się w lesie urodziłam. Gdzieś koło Płońska. Blisko Warszawy. Tam się dzieci rodziły. Z lasu zawieźli mnie do kościoła – mamusia mówiła... Nasz tabor wędrował po terenach Podola, Wołynia i w okolicy Wilna. Przez to ciągłe wędrowanie myśmy nie mieli dokumentów. Czasy były takie, że żadne dokumenty nie były potrzebne. Jeśli panowie urzędnicy pytali o daty urodzenia dzieci to rodzice podawali takie, które im przyszły do głowy. W zależności od okoliczności byliśmy to starsi, to młodsi.

- Kim byli Pani rodzice?

- Tatuś był z Warmijaków i z Berników, mamusia z galicyjskich Cyganów. Z ojca lepsza rodzina. Ojca dobrze nie pamiętam, miałam pięć lat, jak umarł mi na Syberii. Mamusia wyszła za mąż po ośmiu latach za Wajsa Jana. Ja byłam jedna u matki.

- Czy chodziła Pani do szkoły?

- Bardzo chciałam się uczyć czytać, ale rodzice nie dbali o mnie. Ojczym był pijak, w karty grał, matka nie miała pojęcia, co to nauka i czy trzeba, czy nie to dziecko uczyć.

- To jak się Pani nauczyła pisać i czytać?
- Prosiłam dzieci, co chodzą do szkoły, żeby mi pokazały jakieś parę liter. I tak było. Potem coś ukradłam i nosiłam im, żeby mnie uczyły. I tak się nauczyłam a b c d i tak dalej. Blisko nas mieszkała Żydówka, sklepikarka. Łapałam kury i jej dawałam, a ona nauczyła mnie czytać. A potem czytałam dużo gazet i różne książki. Czytać umiem dobrze, ale pisać szkaradnie, bom mało pisała, a czytała dużo.

- A co Cyganie na to, że Pani potrafiła czytać i pisać?
- Co chcieli, to mówili na mnie, a ja im jak na złość czytałam jak najwięcej. I wróżyłam dużo. Pluli na mnie, a ja się nieraz zapłakałam i swoje robiłam, co mi się podobało. Zapisałam się do biblioteki i brałam jakiekolwiek książki, bo nie wiedziałam, jakie dobre – i tak różniłam życie a życie.

- Wyszła Pani za mąż mając 17 lat, za brata swego ojczyma, starszego o 26 lat. To było małżeństwo z miłości?
- Mnie się podobał tatuś Edzia Dębickiego. Już myślałam, że on będzie moim mężem, ale Dyźko Wajs mnie porwał, wrzucił na wóz i odjechał. Dopiero po dwóch dniach wrócił ze mną do taboru. Edzio Dębicki w swojej książce napisał, że „wesele było huczne i pełne muzyki, tak jak Papusza sobie wymarzyła, tyle że mąż nie był wymarzony. Było to w roku 1933 lub 1934."

- Czym się zajmował Dionizy Wajs?
- To sławny w cygańskim świecie harfista i skrzypek. Zwiedził prawie całą Europę, przed wojną miał własną orkiestrę, piętnaście instrumentów, w tym trzy harfy. Kupował mi błyskotki i spódnice z najcieńszych jedwabi.

- Pani swoim śpiewem towarzyszyła jego zespołowi?
- W górach cudnie. Jechaliśmy z potokiem, pienił się, skakał, chodził na kamieniach. Innym razem patrzysz – śliczna dziewczyna. Wstążki, korale, spódnica – bogata, kolorowa. Góralka na koniu, masło wiezie. Ciekawe życie było. Ale to dawno i daleko stąd. W Galicji.

- Jak wyglądało życie w taborze?

- Nikt się nie interesował. Ani władza, ani nic. Wolne jak ptaszek. Ale Cyganie umieli to wykorzystać. Nie robili nikomu źle. Jeździli, nie kradli, ni nic. Chodzili sobie od wioski do wioski, wróżyli. Do ognia przychodzili. Robili patelnie, kotły, grali koncerty i dalej jeździli. Pięknie było. Żyłam jak królewna, miałam na sobie złota, ile chciałam.

- Wędrowanie po lasach Wołynia i Podola w czasie wojny opisał Edward Dębicki w książce *Ptak umarłych*.

- Edzio bardzo młody był i nie wszystko zapamiętał tak, jak ono było. Jak Niemcy weszli, myśmy byli z taborem na skraju Wołynia. Potem ludzie powiedzieli, że Cyganów i Żydów będą zamykać w obozach i gettach. Cyganie nie bardzo chcieli w to wierzyć. Za co nas zamykać? Jeszcze potem mówili nam, że Niemcy i ukraińska policja mordują Cyganów. A myśmy nie mieli żadnej broni, tylko ten wóz, koniki i las.

- W 1945 r. zmieniły się granice Polski. Tabor przyjechał na ziemie wtedy nazywane odzyskanymi.

- Na początku myśmy jeździli od wioski do wioski, od lasu do lasu, od Wrocławia pod Szczecin. Pod lasem ustawialiśmy wozy, rozbijali namioty, mężczyźni robili kotły czy patelnie, a kobiety wróżyły. W 1950 r. władze zabroniły nam jeździć. Wtedy zamieszkaliśmy w Żaganiu.

- I sama z siebie napisała Pani wiersz po cygańsku *Pre łaczho drom cerdżijam*, o zamianie życia wędrownego na osiadłe?

- Na dobrej drodze jesteśmy
I braciom opowiadamy
Cośmy słyszeli w mieście:
– No, posłuchajcie, Cyganie!
Porzućcie już wędrowanie!

Na dobrej drodze jesteśmy,
Co mówili nam – zrobimy.
Chcemy się osiedlić wreszcie,
Inaczej dzieci wychowywać,
Będą się uczyły w szkołach!
Przyszłość zdejmie z nas ciemnotę
I nieczystość serc obmyje.

Żyć będziemy pięknie potem,
Tak jak każdy człowiek żyje!
Lecz płaczą Cyganie starzy
I o dawnych czasach marzą,
O lasach, o rzekach czystych,
Górach wielkich i ogniskach...
Bo ich serca się nie zmienią,
A podobne są kamieniom –
Pośród lasów wyrastały
I wśród lasów skamieniały.
To panowie w dawnych czasach
Uczyli nas kiedy tego.
I daleko i daleko
Cygana jak nie człowieka
Wygnali do lasów,
Że cygańskie serca wreszcie
Stały się dziś kamieniami,
Że ludzie na całym świecie
Zwą nas wszystkich złodziejami
I nie ludźmi, ale psami!

- Czy wtedy poznała Pani Jerzego Ficowskiego?
- Było to wcześniej, jeszcze w taborze. W 1949 r. pan Czarnecki przyprowadził braciszka do taboru. Razu jednego przyszedł ten pan Jerzy Ficowski do ogniska, ja powiedziałam: Zawsze lubiłam w deszczową noc leżeć w namiocie i nie spać. Słuchać. Deszcz stuka w płótno nad głową i tuż – blisko koń przeżuwa owies. Mogłabym tak słuchać i słuchać.

- Wtedy też pokazała mu Pani swoje piosenki?
- Tak. Pan Jerzy Ficowski powiedział do mego męża: „Pan ma poetkę, żonę". A ja mówię: „A co to jest, panie, ta poetka?". Ja nawet nie wiedziałam. Naprawdę nie. On mówi: „Niech pisze, będzie człowiekiem". I mąż już wtedy: „Pisz, pisz".

- Gdyby Ficowski nie odkrył w Pani poetki, co by było?
- Pan Tuwim prosił mnie z panem Ficowskim, żebym to moje śpiewanie spisywała. Widać, dla nich ważne było. Co ja? Ja tylko podleśna dziewczyna. Cyganka spod krzaku. Naprawdę!

- Czy Pani korespondowała z Julianem Tuwimem?
- W 1951 r. dostałam list od pana Tuwima. Pisał: „Miła droga Poetko! Nasz wspólny przyjaciel dopiero teraz mógł posłać mi Pani adres, dlatego z takim opóźnieniem piszę do Pani i najserdeczniej dziękuję za piękny wiersz, jaki od Pani otrzymałem. Trudno mi Pani powiedzieć, z jaką radością czytałem te świeże, żarliwe serdeczne słowa. Będę Pani bardzo wdzięczny za napisanie do mnie paru słów, a gdy Pani będzie w Warszawie, proszę mnie łaskawie odwiedzić. Tymczasem najusilniej namawiam Panią do dalszego pisania wierszy. Gdyby Pani były potrzebne jakiekolwiek książki lub pisma, w ogóle wszystko, co mogłoby się przyczynić do dalszego rozwoju Pani talentu i do pomnożenia wiedzy, proszę mnie o tym zawiadomić, a wszystko załatwię. Łączę serdeczne pozdrowienia."

- To on, wielki poeta, nazwał Panią prawdziwą poetką.
- Dostałam dużo listów od pana Tuwima. W maju 1952 r. napisał: „Ciągle Pani powtarza, że nie jest Pani poetką! Mam nowy dowód – wiersz o kolczykach z liści (...) Niech Pani dalej pisze – i zawsze takie właśnie proste, z serca Cyganki płynące wiersze! Gdy ich się jeszcze trochę uzbiera, wydamy to w książeczce (po cygańsku z polskim przekładem). Będzie to pierwszy na ziemi polskiej druk cygański, więc swego rodzaju historyczna książka."

- W 1956 roku we wrocławskim wydawnictwie Ossolineum ukazała się ta historyczna książka. Miała tytuł *Pieśni Papuszy (Papušakre gila).*
- Wtedy już mieszkałam w Gorzowie. W 1953 r. jeszcze raz Cyganie ruszyli z taborem, ale władze powiedziały: „Nie". W Gorzowie dali nam mieszkanie i tam żyliśmy. Ja nawet nie wiedziałam, że pan Ficowski przetłumaczył moje piosenki na polską mowę. Pięknie przetłumaczył i zrobił z tego książkę.

- Jak tę książkę przyjęli współplemieńcy?
- Nie mam tej książeczki. Porozbierali Cyganie. „Niech ciocia da na pamiątkę. Niech ciocia mi da." Ja miałam tak z dziesięć ich. I tak były wierszyki. A niektóre to takie ładne, ojej, jakie śliczne były jedne. Tylko pamiętam te, co pożyczyłam Cyganom. Te kolczyki z dębianek. To ja zrobiłam. Kolczyki!

- W poezji Pani świat przyrody i świat człowieka to jedność.

- Ileście wy Cyganiąt, lasy, wychowały,
jak gęstwę swoich krzaków małych
Wiatr sercami jak liśćmi porusza
i niczego nie boi się dusza.

Dzieci śpiewają piosenkę,
choć spragnione i o głodzie,
skaczą i tańcują pięknie
las je tego uczył co dzień.

- I jako poetka Pani zamilkła. Dlaczego?

- Coś mi się zrobiło. Chorowałam, osiem miesięcy byłam w szpitalu. Kilka razy. Ja nie chcę pisać. Ja nic nie jestem. Ja dziewczyna spod krzaka.

- Obserwatorzy życia Cyganów mówili, że tą książką zdradziła Pani tajemnice klanowe. Dlatego Cyganie odwrócili się od Pani.

- A ja swego narodu cygańskiego nie zdradziłam ani na szubienicę nie wydałam. Bo każdy wie, że my kradli i wróżyli... i czemu jeździł po świecie ten ciemny a mądry naród... Powiedzą, że Papusza dziuklory (suka). A może kiedyś w świecie zrozumieją, że ja nic złego nie zrobiłam i nikomu nie zrobiłam krzywdy.

- Pani mąż twierdził, że spaliła Pani nowe wiersze i listy od Juliana Tuwima.

- Oni mówią, że jestem wariatka. A ja spaliłam swoje wiersze i listy pana Tuwima, bo byłam zła. Zła z bezsilności. Nerwy nie wytrzymały. Po co mi wiersze moje, po co mi wszystko, kiedy ja jestem niewykształconą Cyganką bez domu? Ja już pisać nie chcę, nie będę.

- Jerzy Ficowski podaje, że po dwudziestu latach milczenia napisała Pani jeszcze parę pięknych wierszy.

- Uległam namowie pana Jerzego. On powiedział, że nowe wiersze są bardziej gorzowskie niż dawne i chyba jeszcze piękniejsze.

- Poetka z takim talentem powinna pisać.

- Pisać? O lasach i polach znów? Pisać prawdziwe wiersze?... Tak, chciałabym. Ale mnie jest źle. Ja chcę tak mało dla siebie. A nic nie mam.

- Co oznacza: Papusza?

- Mama nazywała mnie Lalka, Lalunia, po cygańsku. Tak wołali na mnie w taborze. Mówili, że byłam piękną dziewczyną, wrażliwą, szczerą, uczuciową, a do tego zwinna jak wiewiórka leśna... Gdybym się nie nauczyła czytać i pisać, ja głupia, może byłabym szczęśliwa.

- Dziękuję.

Poeci o Papuszy

Julian Tuwim: „Listy Pani sprawiają mi zawsze dużo radości – tyle w nich serca i prostej, bezpośredniej przyjaźni. Kiedy je czytam, mam zawsze wrażenie, że miła Cyganka Papusza patrzy mi w oczy i mocno ściska moją rękę."

Anna Kamieńska: „Najlepszym utworem Papuszy, którym słusznie zachwycał się Julian Tuwim, jest *Pieśń cygańska z Papuszy głowy ułożona*. Pieśń ta pełna jest prawdziwej poezji, a konkretność jej obrazów i realiów wzrusza, jak zawsze wzrusza w poezji to, co jest wydobyte z najgłębszego przeżycia. Bo choć Papusza skarży się nieraz na ciężkie życie, na głód i zimno, kocha ona swoją – jakby Tuwim powiedział – ojczyznę-cygańszczyznę, kocha w ogóle życie."

Julian Przyboś: „*Piosenka* Papuszy w przekładzie dosłownym, najładniejsza, być może, najbliższa duchowi cygańskiej pieśni ludowej, a będąca czymś w rodzaju *Exegi monumentum* Cyganki. Wyznam rzecz może śmieszną: myśl w tej piosence zawarta wydała mi się głębsza i szlachetniejsza niż dumny testament horacjański."

Jerzy Ficowski: „Papusza nie jest poetką dydaktyki społecznej, choć napisała kiedyś parę wierszy aprobujących akcję produktywizacyjną wobec Cyganów. Były to – przynajmniej w partiach deklaratywnych – jej najsłabsze wiersze. I nic w tym dziwnego: przedstawicielka wędrowników napisała je wbrew sobie, aby się nimi »wkupić« w łaski czynników decydujących o losach społeczności cygańskiej w Polsce i zasłużyć na przydział godziwego dachu nad głową, który – jej zdaniem – mógł się przydać choćby jako stałe zimowisko między jedną wędrówką a drugą, z których zrezygnować dobrowolnie przecież nie chciała."

Zdzisław Morawski: „Poetką o dużej lirycznej wyobraźni była z całą pewnością, a w autorstwie wierszy chyba pomógł jej Jerzy Ficowski, sam poeta liryczny. Czy można tedy powiedzieć, że jego pomoc dla Papuszy w okresie przedgorzowskim była jego winą? Myślę, że więcej było w tej sprawie zasługi Ficowskiego niż winy. Jeśli zaś ktoś chce dziś powiedzieć, że Papusza pisała w okresie

gorzowskim, ten mija się z prawdą. Czy zatem można powiedzieć, że poetka umilkła? Wydaje mi się, że nie umilkła, cały czas mówiła swoje wiersze (lub swoim wierszem), tylko w Gorzowie nie było nikogo, kto utwory by jej zapisywał."

Jan Wąsicki – fot. z archiwum autora

Jan Wąsicki

Urodził się 17 czerwca 1921 w Pruszkowie, zmarł 10 kwietnia 1995 r. w Poznaniu. Uczestnik Września 1939, więzień Pawiaka i Stutthofu. Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim. Tam też uzyskał stopień doktora nauk prawnych, w 1967 r. otrzymał tytuł profesora. Był prezesem Lubuskiego Towarzystwa Naukowego i rektorem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze. Zajmował się historią pogranicza polsko-niemieckiego i ziem zachodnich. Jest autorem m.in. *Miast zachodniego pogranicza*, *Ziem polskich pod zaborem pruskim*, współredaktorem monografii *Zielona Góra – przeszłość i teraźniejszość*.

NAUKA NIE POSZŁA W LAS

Rozmowa z prof. dr. hab. Janem Wąsickim, historykiem i prawnikiem

- Ile prawdy jest w tezie, że wielcy ludzie najczęściej przychodzili na świat na obrzeżach państw? I że na jesień życia wielcy usuwali się na takie obrzeża?

- W Witebsku urodził się Marc Chagall, wybitny artysta plastyk francuski pochodzący z rosyjskiej rodziny żydowskiej. W Drohiczynie tworzył pisarz żydowskiego pochodzenia Bruno Schulz. W Szczawnie na Dolnym Śląsku urodził się niemiecki dramaturg, laureat literackiej Nagrody Nobla Gerhart Hauptmann, który całe swoje życie był związany z ziemią śląską.

- Artystów tłumaczy to, że potrzebują spokoju i ciszy do pracy twórczej.

- To prawda. Przedstawiciele nauk technicznych pracują zazwyczaj tam, gdzie są laboratoria, biblioteki, gdzie toczy się dyskusja. Ale znajdziemy przykłady, które tezę, że nie zawsze wielkie ośrodki są potrzebne wybitnym osobom. Mam na myśli choćby Ignacego Łukasiewicza, który we Lwowie wydzielił naftę i wspólnie z Adamem Bratkowskim skonstruował lampę naftową. Twórca teorii heliocentrycznej budowy Wszechświata, Mikołaj Kopernik, pracował w Lidzbarku Warmińskim i Fromborku. W Żaganiu mieszkał również sławny astronom Jan (Johannes) Kepler.

- Odkrywca podstawowych praw rządzących ruchem planet? Ten Kepler, który wyjaśnił zasady widzenia u człowieka, co przyczyniło się do rozwoju optyki?

- Cesarz Rudolf II był winny Keplerowi 12 tysięcy guldenów zaległej pensji. Zamiast wypłacić pieniądze, władca Austro-Węgier oddał uczonego pod opiekę właścicielowi Żagania. A ponieważ cesarski generał Albert Wallenstein interesował się astrologią, w 1628 r. kazał namiestnikowi swoich dóbr „matematikusa Jana Keplera przyjąć, zapewnić locum godziwe i we wszystkim służyć pomocą".

- Czym się zajmował Kepler w prowincjonalnym Żaganiu?
- Przede wszystkim zależało mu na wydrukowaniu swoich dotychczasowych dzieł. Wallenstein zaoferował mu miejsce na obserwację nieba i pieniądze na założenie drukarni, ale zabrakło kapitału na druk prac astronoma. Kepler ciągle liczył, że nadejdą zaległe pieniądze od cesarza, a gdy tych nie było, w 1630 r. pojechał do bawarskiej Ratyzbony, gdzie obradował sejm Rzeszy. Miał zamiar zwrócić się do książąt o wypłatę wynagrodzenia. Wybrał się konno, a ponieważ nie przywykł do takiej podróży, w kilka dni po przyjeździe do Ratyzbony zachorował i tam 5 listopada zmarł.

- Czy w Żaganiu powstało jakaś znacząca praca tego uczonego?
- W mieście nad Bobrem Kepler skończył dzieło *Somnium astronomia Lunari*, czyli sen o astronomii księżyca. Za życia uczonego praca ta nie ukazała się drukiem. Wydał ją w 1634 r. syn astronoma Ludwik, tłocząc stronice dzieła na tej samej prasie drukarskiej, na której jego ojciec przygotował słynne tablice o mających nastąpić krótkotrwałych zjawiskach astronomicznych.

- Gdyby już wtedy Alfred Nobel ustanowił nagrodę swego imienia, to czy Kepler miałby szansę zostać jej laureatem?
- Z pewnością byłby to jeden z kandydatów do tej najbardziej znanej, prestiżowej nagrody na świecie. Nobel przyszedł na świat dwa wieki po Keplerze, a po raz pierwszy nagrodę z kapitału pozostawionego przez szwedzkiego wynalazcę i filantropa przyznano dopiero w 1901 r.

- Jednym z pierwszych laureatów tej nagrody był uczony związany z regionem środkowonadodrzańskim Robert Koch.

- W 1869 r., dwa lata po ślubie z Emmą Fraatz, mając dyplom doktora medycyny i zdany państwowy egzamin upoważniający do prowadzenia samodzielnej praktyki lekarskiej i akuszerskiej, Koch przeniósł się ze szpitala dla umysłowo chorych w Langenhagen pod Hanowerem do Rakoniewic na pograniczu lubusko-wielkopolskim. Tu miał zamiar być nie tylko lekarzem wolnej praktyki, ale i zarobić na utrzymanie rodziny. W trzecim roku pobytu w Rakoniewicach władze niemieckie powołały go na stanowisko lekarza powiatowego w Wolsztynie.

- Był typem urzędnika czy lekarza rodzinnego?
- Koch miał dużo cech doktora Judyma. Gdy zaczęła się szerzyć zaraza wąglika atakującego bydło i ludzi w powiecie wolsztyńskim, dostał mikroskop w prezencie od żony. Tak powstało jego małe laboratorium, w którym prowadził badania. W 1876 r. odkrył laseczniki wąglika. Tu też, mając do dyspozycji ów mikroskop, mikroprotom i prosty inkubator, z coraz większym zainteresowaniem badał i inne mikroorganizmy.

- Czy po odkryciu laseczek wąglika stał się sławny?
- Wiadomość o tym wydarzeniu obiegła całe Niemcy i przekroczyła granice państw. Władze zaproponowały mu przeprowadzkę do Berlina i pracę w laboratorium, co pozwoliło mu na otrzymywanie czystej kultury bakterii poza organizmem. To ułatwiło mu wyizolowanie i wyhodowanie prątków gruźlicy, odpowiedzialnych za powstawanie gruźlicy we wszystkich postaciach. Potem Koch odkrył przecinkowce cholery, badał trąd, dżumę, chorobę surra, chorobę teksańską i malarię.

- Niedaleko Wolsztyna, w Łagowie urodził się przyszły lekarz, także noblista, Gerhard Domagk.
- Z Łagowem wiąże go jedynie miejsce urodzenia. Tu jego ojciec był nauczycielem i organistą w kościele. Matka pochodziła z pobliskiego majątku ziemskiego. Od piątego roku życia mieszkał w Lubsku, gdzie jego ojciec został dyrektorem szkoły. Po maturze zdanej w Legnicy rozpoczął studia medyczne w Kilonii, ale przerwał je z powodu powołania do wojska w czasie pierwszej wojny światowej. Po wojnie ukończył studia i rozpoczął pracę naukową w po-

morskiej Gryfii (Greiswaldzie). Na tamtejszym uniwersytecie prowadził badania nad szkodliwością różnych promieniowań, z zakresu patologii i anatomii patologicznej.

- Typowe zajęcie profesora niewielkiego uniwersytetu.
- Tak było do 1928 r., kiedy to zakłady farmaceutyczne Bayer zaproponowały mu zorganizowanie laboratorium w Eberfeld. Ze wsparciem finansowym koncernu i sztabem chemików wyprodukował nową broń chemiczną przeciw mikrobom. Był to lek z grupy sulfonamidów zwany prontosilem, zwalczający infekcje powodowane przez bakterie paciorkowce. Za to odkrycie komitet Nagrody Nobla przyznał mu to najważniejsze na świecie wyróżnienie.

- Domagk jest autorem wielu specyfików medycznych, prawda?
- Opracował też środki dezynfekcyjne zephirol i neo-uliron. Ma w swoim dorobku takie leki jak marbadal, supronal i MP-puder. Kolejny rozgłos po prontosilu przyniósł mu farmaceutyk przeciwgruźliczy conteben. W pierwszych latach po drugiej wonie światowej uratował on życie tysiącom ludzi. Pod koniec swego żywota profesor Domagk skoncentrował się na walce z rakiem za pomocą chemioterapii.

- Zanim Walther Nernst zamieszkał w pobliżu Żar, w Zibele (Niwica), miał już osiągnięcia naukowe rangi światowej.
- Jego matka była Polką, ojciec Niemcem, sędzią w Wąbrzeźnie. Tam też urodził się przyszły autor trzeciej zasady termodynamiki, określającej charakter zmian termodynamicznych w temperaturach bliskich zera bezwzględnego. Ten sam człowiek odkrył zjawisko termomagnetyczne. I on skonstruował tzw. lampę Nernsta, emitującą światło zbliżone do dziennego, będącą pośrednim ogniwem między żarówką z żarnikiem węglowym a żarówką z żarnikiem metalowym.

- Wielki odkrywca oskarżony o zbrodnie wojenne?
- Wybuch pierwszej wojny światowej powitał wraz z innymi uczonymi powitał przesłaniem na ręce cesarza Wilhelma II noty potwierdzającej swoje oddanie cesarstwu. Uczestniczył w działaniach wo-

jennych, ale został szybko zdemobilizowany. Wtedy też rozpoczął prace nad uzyskaniem otrzymaniem bojowych środków chemicznych, w tym gazów paraliżujących. Były one po raz pierwszy użyte przez armię niemiecką we Flandrii. Nernst dostał od Wilhelma II order, najwyższe odznaczenie wojskowe Pour le Mérite. A po kapitulacji Niemiec alianci oskarżyli go o zbrodnie wojenne i domagali się postawienia przed sądem. Przyznanie profesorowi Nernstowi Nagrody Nobla zapobiegło wydaniu go sądowi alianckiemu.

- Dlaczego wybrał wieś Zibele, położoną na wschodnich Łużycach, skąd daleko do Berlina, Drezna czy Wrocławia?
- W czasie, kiedy Niemcami rządzili naziści jego córki, Angela i Hildegarda, wyszły za mąż za Żydów, czemu on nie zapobiegł. Mało tego, pomógł zięciom i córkom wyjechać za granicę. Naziści postawili mu wtedy warunek: będzie dalej dyrektorem Instytutu Fizyki, ale obie córki muszą zerwać więzi małżeńskie i wrócić do Niemiec albo on się ich wyrzeknie. Zgorzkniały Nernst kupił majątek w Zibele, gdzie przebywał na wewnętrznej emigracji. Cały czas był pod kontrolą Gestapo, mógł się poruszać po Niemczech, ale miał zakaz wyjazdu za granicę. W 1941 r. umarł niemal całkowicie zapomniany przez świat nauki.

- Do historii ludzkości przeszedł jako autor sławnego cytatu.
- Był on autorem wielu złotych myśli. Najcelniejszą, powtarzaną do dzisiaj jest ta: „Zajmować się biologią oznacza podglądać Boga przy akcie stworzenia".

- Ze środkowym Nadodrzem jest związany jeszcze jeden noblista.
- To Amerykanin niemieckiego pochodzenia Guenter Blobel. Urodził się w Waltersdorf koło Szprotawy trzy lata przed wybuchem drugiej wojny światowej. Po kapitulacji Niemiec w 1945 r. jego rodzina zamieszkała w Saksonii. W Dreźnie uzyskał maturę, ale władze NRD odmówiły mu prawa studiowania we wschodnich Niemczech, więc wyjechał do części zachodniej. Studia medyczne skończył na uniwersytecie w Tybindze. Od 1960 r. jego praca i życie są związane z uczelniami amerykańskimi.

- Nagrodę Nobla podobnie jak dwaj inni „lubuscy" naukowcy dostał w dziedzinie medycyny i fizjologii. Za co?
- Profesor Blobel prowadził badania nad transportem cząsteczek białek przez błony wewnątrzkomórkowe. W uzasadnieniu przyznania Nagrody Nobla czytamy, że odkrył, iż „białka zawierają wbudowane sygnały, które sterują ich transportem i położeniem w obrębie komórki".

- Panie Profesorze, jakie to ma znaczenie dla człowieka?
- Jest to krok na drodze do zrozumienia, jakie są mechanizmy chorób dziedzicznych, a następnie do opracowania nowych leków.

- Związek Carla von Ossietzky'ego ze środkowym Nadodrzem jest niefortunny.
- Był on niemieckim pisarzem i dziennikarzem, wydawcą tygodnika politycznego „Die Weltbühne", na łamach którego przypomniał o pewnym zapisie w traktacie wersalskim. Dotyczył on zakazu zbrojenia Reishswehry, czego Niemcy od samego początku nie przestrzegały. Oskarżony o zdradę państwa, w 1931 r. został skazany na półtora roku więzienia. W jego obronie wystąpili przede wszystkim intelektualiści. Mimo że już był wolnym człowiekiem, po dojściu Hitlera do władzy naziści nakazali mu opuszczenie Niemiec, czego odmówił.

- Czy wtedy naziści osadzili go w obozie koncentracyjnym Sonnenburg koło Kostrzyna?
- Najpierw siedział za drutami obozu Papenberg, od kwietnia 1933 r. w Sonnenburg. Stąd z objawami gruźlicy w 1936 r. przewieziono go do szpitala w Berlinie, potem do prywatnej kliniki, gdzie po dwóch latach walki z chorobą zmarł.

- Za co dostał Nobla?
- Była to pokojowa Nagroda Nobla, przyjęta przez cały świat jako wyraz potępienia faszyzmu. Von Ossietzky nie mógł jej odebrać ze względu na uwięzienie. Ale i dlatego, że Hitler zabronił Niemcom kontaktu z Komitetem Noblowskim.

- Dotąd mówiliśmy o uczonych, którzy żyli bliżej naszych czasów. Czy wcześniej mieszkali na środkowym Nadodrzu uczeni, których nazwiska odnajdziemy w encyklopediach?

- Około 1445 r. w Głogowie urodził się nauczyciel Mikołaja Kopernika. Był to Jan z Głogowa zwany tez Głogowczykiem lub Glogarem, który ukończył szkołę przy głogowskiej kolegiacie i w wieku szesnastu lat wyjechał do Krakowa. Mając stopień bakalarza w Akademii Krakowskiej wykładał wszystkie siedem sztuk wyzwolonych. Ma w swoim dorobku traktaty astronomiczne i astrologiczne. Był też lekarzem.

- A kim był Jan Benedykt Solfa?
- To też medyk, urodzony w Trzebielu. Był osobistym lekarzem królów Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. W historii medycyny zapisał się jako autor opracowania patologii kiły, którą leczył rtęcią. Był znawcą plag średniowiecza.

- Rektorem Uniwersytetu Berlińskiego był przedstawiciel sławnego zielonogórskiego rodu Foersterów.
- To sławny niemiecki astronom Wilhelm Julius Foerster urodzony w Zielonej Górze w 1832 r. Zajmował się on wieloma dziedzinami nauki, m.in. filozofią, prawem, ale najwięcej dokonał w dziedzinie astronomii. Badał planetoidy, komety i zaćmienie gwiazd. Zanim został rektorem Uniwersytetu Berlińskiego, przez szesnaście lat, do 1885 r. kierował Komisją Legalizacji Miar, był nawet przewodniczącym Międzynarodowego Komitetu Miar i Wag.

- Przypomniał Pan uczonych. A przecież z tym regionem związało się wielu wybitnych artystów.
- Jest ich bardzo dużo. Chciałbym wymienić Andreasa Gryphiusa, urodzonego i zmarłego w Głogowie dramaturga, autora pierwszego niemieckiego dramatu mieszczańskiego *Gardenio i Celinde*. W Głogowie urodził się niemiecki pisarz i pacyfista Arnold Zweig. W Żarach prowadził orkiestrę i komponował Georg Telemann, najwybitniejszy obok Bacha kompozytor niemiecki XVIII wieku. Skoro mowa o ludziach związanych z muzyką to wypada przypomnieć, że mieszkający w Gorzowie Carl Teike skomponował słynny marsz *Alte Kameraden* (Starzy towarzysze), który od 120 lat jest w repertuarze prawie wszystkich orkiestr dętych na świecie. W Zielonej Górze urodził się Tadeusz Kuntze albo Konicz, malarz krakowski i rzymski.

- Wielokrotnie słyszałem, że środkowe Nadodrze jest białą plamą na naukowej i kulturalnej mapie świata. Czy zgadza się Pan Profesor z taką opinią?

- Kto tak sądzi, nie ma racji. W tej krótkiej rozmowie przywołaliśmy zaledwie kilkunastu mistrzów. Nie wspomnieliśmy o rzeźbiarzu Marcinie Rożku, urodzonym w Kosieczynie koło Zbąszynka, o wizjonerze i reformatorze matematyki rodem z Wolsztyna Józefie Marii Hoene-Wrońskim. Zabrakło czasu, żeby przypomnieć dokonania Joachima Pasteriusa, Victora Klemperera, Jana Raka...

- Może kiedyś odbędziemy ciąg dalszy tej rozmowy. Dziś dziękuję Panu Profesorowi za przekazaną wiedzę.

„Lubuscy" nobliści

Robert Koch – ur. 11 grudnia 1843 w Clausthal w górach Harzu, zm. 27 maja 1910 r. w Baden-Baden, w latach 1869-1880 mieszkał w Rakoniewicach, był powiatowym lekarzem w Wolsztynie – Nagrodę Nobla dostał w 1905 r. w dziedzinie fizjologii i medycyny za badania nad gruźlicą.

Walther Hermann Nernst – ur. 25 czerwca 1864 w Wąbrzeźnie, zm. 18 listopada 1941 r. w Zibelle (dziś: Niwica, pow. żarski), jego prochy spoczywają na cmentarzu w Getyndze, niemiecki fizyk i chemik – Nagrodę Nobla otrzymał w 1920 r. w dziedzinie chemii za prace z zakresu termodynamiki i teorię roztworów.

Gerhard Domagk – ur. 30 października 1895 w Lagow (dziś: Łagów, pow. świebodziński), zm. 24 kwietnia 1964 r. w Burgberg w Schwarzwaldzie, niemiecki lekarz – Nagrodę Nobla przyznano mu w 1939 r. w dziedzinie fizjologii i medycyny za odkrycie działania antybakteryjnego sulfonamidów, ale władze niemieckie nie pozwoliły, aby ją odebrał, stało się to dopiero w 1947.

Guenter Blobel – ur. 21 maja 1936 r. w Waltersdorf (dziś: Niegosławice, pow. żagański), amerykański biolog – Nagrodę Nobla dostał w 1999 r. w dziedzinie fizjologii i medycyny za odkrycie wewnętrznej syntezy białek rządzącej ich transportem i umiejscowieniem w komórce.

Carl von Ossietzky – ur. 3 października 1889 w Hamburgu, zm. 4 maja 1938 r. w Berlinie, niemiecki dziennikarz, pisarz i pacyfista, w latach 1933-1934 więzień obózu koncentracyjnego Sonnenburg (dziś: Słońsk, pow. sulęciński) – otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla w 1935 roku, której osobiste odebranie uniemożliwiły mu władze nazistowskich Niemiec.

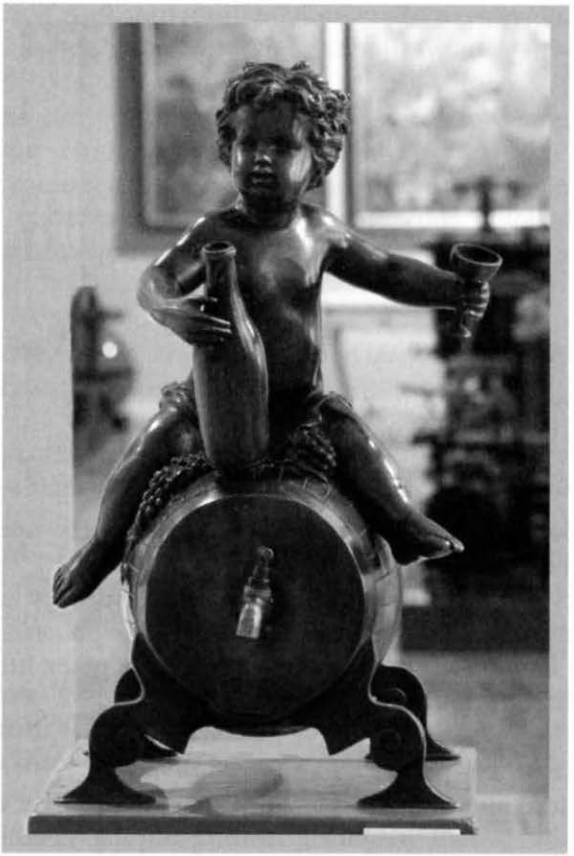

„Młody Bachus", brąz, XIX/XX w. – fot. Konrad Czapliński – ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze

Bachus

Pod takim imieniem występuje w mitologii rzymskiej. W mitologii greckiej to Dionizos, bóg wina, płodnych sił natury, plonów. Syn Zeusa i Semele, mąż Ariadny. Nauczył ludzi uprawy winnej latorośli i robienia z niej wina. Podróżował na rydwanie, z wesołym i hałaśliwym orszakiem bachantek, satyrów, nimf. Występuje w tradycji zielonogórskiej, m.in. jako postać z pomników, rzeźb i pamiątek.

KRAINA WINIARSKA

Rozmowa z Bachusem, bogiem wina, płodnych sił natury i plonów

- Kto pierwszy doszedł do wniosku, że warto uprawiać winną latorośl?

- Mędrcy greccy byli przekonani, że już pięć tysięcy lat temu uprawą winnych krzewów i wyrabianiem wina zajmowali się Egipcjanie. Do Europy roślina ta przywędrowała poprzez kraje Bliskiego Wschodu, Grecję i Imperium Rzymskie.

- Dlaczego wino uznano za napój boski?

- Czyż jest inny napój, który gasi pragnienie, daje tyle witamin i związków potasu, magnezu, fosforu, wapnia, żelaza oraz mikroelementów miedzi i manganu? Który ma korzystny wpływ na pracę serca i naczyń krwionośnych oraz układ trawienny? Któryż jeszcze napój tak szybko rozwiązuje języki i brata ludzi? Gdybyż było inaczej, Jezus nie zamieniłby wody w wino podczas wesela w Kanie Galilejskiej.

- Od chwili „wynalezienia" wino było owiane tajemnicą.

- Pite jako sacrum, po przedawkowaniu staje się profanum. Nawet w Biblii masz tego przykłady. Noe upił się winem i rozebrał się do naga, za co został ukarany Cham, bo nie zasłonił śpiącego ojca. Jego potomkowie zostali skazani na ciężką pracę. Albo Lot z Sodomy, którego upiły własne córki i wykorzystały seksualnie, z czego narodziły się kazirodcze dzieci. Dam sobie głowę obciąć, że gdyby

Macedończyk Aleksander nie pił, nie miałby tej siły, która prowadziła go do zwycięstw w bitwach i podboju świata.

- „Błogosławiony jesteś Panie, Boże wszechświata, bo stworzyłeś owoc winnego krzewu"...
- Żydzi wygłaszają to błogosławieństwo w szabat przed każdym posiłkiem, poczynając od piątkowej wieczerzy. Wypijają wówczas lampkę koszernego napitku, zazwyczaj jest to słodkie wino kiduszowe.

- Czy wiesz, boski Bachusie, że wino zachwalał w swoim walcu Johann Strauss junior?
- „Kto nie miłuje wina, kobiety i śpiewu, ten przez całe życie zostanie głupcem?" On zapisał to, co ja odkryłem podróżując z wesołym orszakiem bachantek i satyrów po świecie starożytnej ery. Niektórych pieśni nie da się śpiewać na trzeźwo. Do zdania mistrza Straussa dodałbym łacińską maksymę: „Wino rozwesela serce człowieka" i przysłowie cysterskie: „Kto się winem raczy, ten Boga zobaczy".

- Niedawno dostałem książkę *Kuracja winogronowa*, w której jej autor, niemiecki lekarz Ewald Wolff, zaleca picie soku z winogron w dużych ilościach, bo działa on niczym woda z uzdrowiska.
- Taką kurację stosował doktor Wolff w Zielonej Górze, gdy zwała się Grünbergiem. Przyjeżdżali do niego pacjenci z całych Niemiec. Kuracja uzdrawiała chorych cierpiących na choroby klatki piersiowej, jamy brzusznej, pomagała usuwać anomalie menstruacyjne. Pacjentami doktora Wolffa były osoby skarżące się na kamienie nerkowe, otyłość, choroby skóry, a przede wszystkim na miażdżycę. Współczesna twoim czasom, skrybo, doktor Alina Świderska troszkę kpi z soku winogronowego jako eliksiru nieśmiertelności, ale nie podważa celu, do którego zmierzał doktor Wolff.

- Wiem już, czym jest wino i jak winorośl dostała się do Europy. A skąd ta ciepłolubna roślina w chłodnej Zielonej Górze?
- Powinieneś wiedzieć, pisarczyku, że Zielona Góra jest najdalej na północ wysuniętym miejscem na świecie, gdzie od co najmniej

ośmiu wieków ludzie uprawiają winną latorośl. Tutejszy klimat jest bardzo łaskawy dla tej rośliny. Zważ na to, że są tu liczne wzgórza wygrzewające się w słońcu, dużo gęstych lasów, między którymi winorośl znajduje schronienie przed przymrozkami i wiatrami. Gdyby ziemia tu była bardziej urodzajna, ludzie pewnie obsiewaliby ją pszenicą i rzepakiem, a że jest licha, uprawiają winorośle, którym takie warunki odpowiadają.

- Kto pierwszy posadził tę roślinę na zielonogórskim wzgórzu?

- Wedle historii w 966 roku Mieszko I przyjął chrzest. Trzeba było czekać jeszcze prawie sto lat, zanim chrześcijaństwo upowszechniło się w kraju Polan. Pewnie trwałoby to dłużej, gdyby kolejni władcy Polski nie sprowadzali cystersów z zachodniej Europy. Ci nie tylko budowali klasztory i świątynie, ale i upowszechniali uprawę roślin znanych w Italii czy Germanii. Taką rośliną była winna latorośl, z której wyrabiano tam wino niezbędne do obrzędów religijnych. Na twoje pytanie nie potrafię odpowiedzieć tak, jak tego oczekujesz. Wiadomo, że w 1314 r. tłoczono wino w Zielonej Górze, zwanej wówczas z łacińska Grunebergią.

- Skąd to wiadomo?

- Nie znajdziesz na ten temat potwierdzenia w dokumentach źródłowych. Z opowieści wszechwiedzących dziejopisów tej ziemi wynika, że wtedy panowała w Zielonej Górze i okolicy szalejąca zaraza. Przetrwali ją jedynie ci, którzy znaleźli schronienie w winnicach na tzw. starych górach, czyli od strony północnej.

- Dlaczego przetrwali?

- A bo żywili się winnymi gronami i gasili pragnienie przechowywanym tam winem. W ten to sposób dowiedli, że wino ma właściwości lecznicze. Przetrwało około stu zielonogórzan. Oni to na pamiątkę ocalenia przed pomorem wznieśli kapliczkę z kamienia polnego, która mimo upływu wieków ciągle tam stoi. Potomni nazwali ją Kapliczką na Winnicy i umieścili tablicę, z której to, co ci, wnikliwy pisarczyku, powiedziałem, możesz wyczytać.

- Czy ci uratowani, wróciwszy do swoich siedzib, nadal uprawiali winne latorośle i tłoczyli wino?

- Nie mieli szczęścia miejscowi winoogrodnicy. Niedługo po tej zarazie na wzgórza runęła plaga szarańczy. Zanim zawiązały się owoce, owady te zjadły liście krzewów. Wiosną 1349 r. do miasta przyszła czarna śmierć, czyli dżuma, zwana też czarną ospą, uśmiercając ogromną ilość mieszczan. Miasto tak się wyludniło, że nie miał kto pracować na plantacjach. Były lata, kiedy spodziewano się obfitych plonów, a tu ku zaskoczeniu nawet najlepiej rozumiejących przyrodę pogoda stawała się niekorzystna dla tej kruchej i delikatnej roślinki. Oto przykłady. W czerwcu 1352 r. po gwałtownym ochłodzeniu spadł śnieg, pokrył krzewy i ziemię aż na dwa łokcie. W 1513 r. zima była tak mroźna, że wymarzły wszystkie drzewa i krzewy owocowe. Po odbudowie plantacji obfitych plonów doczekano się dopiero po ośmiu latach.

- Miejscowi winoogrodnicy powinni więc wyhodować odmiany odporne na nagłe chłody.

- Tego nie trzeba było im podpowiadać. Zdawali sobie sprawę, że wypielęgnowana w słońcu południowej Francji, wypieszczona łagodnymi podmuchami ciepłego wiatru w górzystej Nadrenii winna latorośl musi zostać przystosowana do srogich mrozów, tęgich śniegów i nagłego chłodu. Powinieneś wiedzieć, że Zielona Góra była tylko jednym z kilku miast, gdzie ta roślinka się przyjęła. Ogromne winnice rozciągały się również na wzgórzach koło Krosna, Lubska, Cigacic, sięgały nawet rogatek Głogowa.

- Boski, czy dużą powierzchnię zajmowały zielonogórskie winnice?

- W 1453 r., kiedy książę Henryk IX sprowadził z Węgier, Austrii i Francji nowe gatunki winnego krzewu, wśród których te z miasta Tramina w Tyrolu cieszyły się szczególną sławą, zielonogórskie plantacje zajmowały około tysiąca hektarów. Dwieście lat później nawet wydano zakaz powiększania i zakładania nowych upraw. Wtedy w mieście i wokół niego było około półtora tysiąca hektarów zajmowanych przez winorośle.

- A czy każdy mógł zostać winoogrodnikiem?

- Regulowała to specjalna ustawa wydana w 1797 r. przez władze pruskie, wtedy bowiem Zielona Góra leżała w królestwie Frydery-

ka Wilhelma II. Na winnicy miał prawo pracować ten, kto uzyskał dyplom majstra, a można go było dostać dopiero po trzech latach nauki. W 1929 r. powstała nawet Uczelnia Sadownictwa, Winiarstwa i Ogrodnictwa. Od niedawna znowu można się uczyć zawodu winiarskiego.

- Pewnie istniał też cech winoogrodników i dbał o ten zawód?
- Cech dbał, ale i dbały władze miejskie. Ta dziedzina gospodarki przynosiła Zielonej Górze niemały dochód. Dlatego burmistrz wydawał przepisy określające, co i kiedy należy robić na winnicy. Od Zwiastowania, czyli 25 marca, do świętego Michała, a to przypadało 22 września, dzień pracy wynosił dwanaście godzin. Od świętego Michała do świętego Marcina, czyli 11 listopada, należało pracować do dziesięciu godzin. Kto tego nie przestrzegał, mógł się spodziewać srogiej kary.

- Czy można powiedzieć, że wino było źródłem utrzymania zielonogórzan?
- Produkcja tego napoju była ogromna, bywało, że przekraczała półtora miliona litrów rocznie. A w latach klęski urodzaju, tak było na przykład w 1484 r., kiedy to wiadro saskie, czyli około 67 litrów wina, dostałeś za jajko kurze. Wtedy to bednarze nie nadążali z robieniem beczek na przechowywanie wina. Za pustą beczkę dawano zawartość pełnej.

- Nadprodukcja?
- Można to i tak określić. Kto nie zajmował się sukiennictwem, a to dziedzina gospodarki równie ważna w Zielonej Górze, żył z produkcji wina. Wyobraź sobie, pisarczyku, że w 1850 r. w uroczystości 700-lecia winnic uczestniczyło 1300 miejscowych winoogrodników.

- Skoro przepisy określiły, ile godzin można pracować na winnicy to i pewnie uregulowały inne czynności?
- Miasto czerpało z tego korzyści, dlatego dbało nie tylko o porządek, ale również o jakość wina. Zbioru winogron nie można było rozpocząć o dowolnej porze jesieni. Początek winobrania ustalały władze miejskie „dla wszystkich winiarzy w jednym terminie". Kto rozpoczął zbiór wcześniej, płacił karę grzywny.

- Co robiono z winem? Wypijano je na miejscu?
- Przede wszystkim wysyłano za granicę. To było główne źródło utrzymania zielonogórzan. Na miejscu można było pić wino w zajazdach i gościńcach. Pierwszą winiarnię otwarto w podziemiach ratusza, raczono tam wyłącznie miejscowym napojem. W 1854 r. poczmistrz Fryderyk Dehmel otworzył winiarnię przy dzisiejszym placu Pocztowym. Spotykała się tam śmietanka towarzyska. W mieście się mówiło: „Idę do Dehmela na kubek wina". Raz w tygodniu drzwi lokalu otwierały się przed paniami. Wtedy przyjeżdżały najznakomitsze żony z okolicy, bywała też księżna Maria Radziwiłłowa z Klenicy.

- Znawcy trunków podają, że zielonogórskie wino było gorsze od węgierskiego, a już na pewno od nadreńskiego.
- Może nie każdego roku, ale niestety wiele jest w tym prawdy. Było w nim za dużo osadów i zanieczyszczeń. „Niektórzy wolą kufel piwa, osoby zaś szlachetnego urodzenia nawet za darmo tego wina nie wypiją", powiadali krytycy. Musiało być w tym dużo prawdy, bo król Fryderyk II odmówił poczęstunku, tłumacząc: „Tak, z pewnością może jest ono dobre, ale tylko dla tych, którzy nie muszą go pić, poza tym lepiej wygląda niż smakuje".

- Jaki smak miało zielonogórskie wino?
- Chciałbyś, abym potwierdził, że było zbyt kwaśne, octowe, co stało się przedmiotem dowcipów. Tak pisali o nim choćby Fryderyk Engels i Karl von Holtei. Ten drugi to nawet miał odwagę w 1834 r. ułożyć farsę *Trzydzieści trzy minuty w Zielonej Górze albo w połowie drogi*, po raz pierwszy wystawioną w winiarni Dehmela. Oglądali ją też mieszkańcy Berlina i Rygi. Holtei ośmieszał wino zielonogórskie, że przykro było słuchać. Na przykład podawał, że aby przymusić kogoś do wypicia poczwórniaka męskiego, potrzeba aż czterech mężczyzn. Trzech do trzymania delikwenta, a czwarty do wlewania napoju do jego gardła.

- Produkowano napój, którego nikt nie chciał pić?
- Ależ nie. Miejscowi uważali zielonogórskie wino za znakomite. Nawet niektórzy poeci je wychwalali. August Kopisch twierdził, że aby pić tak kwaśne wino, trzeba być Dolnoślązakiem.

- Niemieccy mieszkańcy miasta ponoć byli pierwszymi w środkowej Europie, którzy robili szampany?
- Szampany robiło się wyłącznie we Francji, w krainie zwanej Szampanią. W Zielonej Górze robiono wina musujące. A zaczęło się w 1826 r., kiedy to panowie August Grempler, Friedrich Gottlob Förster i Karl Samuel Häsler założyli pierwszą w Niemczech wytwórnię win musujących.

- To wino miało zwolenników?
- Na początku wytwórnia robiła te wina w oparciu o miejscowy surowiec, ale nie było wielkiego zainteresowania klientów. Wtedy też właściciele wpadli na pomysł, żeby udawały one wina francuskie. Po prostu nadali im obco brzmiące nazwy: eperanay, remis i versaney. Smakosze nie zorientowali się, że są to wina zielonogórskie.

- Prof. Zbigniew Bujkiewicz z zielonogórskiego Archiwum Państwowego trochę inaczej o tym mówi.
- Pewnie ma na myśli kipera Jose Jourdana. Właściciele winiarni sprowadzili go z Francji i powierzyli mu nadzór nad produkcją miejscowych szampanów. To dzięki jego wiedzy zielonogórskie wina musujące zdobywały medale na najważniejszych wystawach światowych.

- Wytwórnia Gremplera była jedyną w mieście i okolicy?
- Skądże. Było wiele winiarni, ale ta o nazwie Grempler & Co. A-G Alteste Deutsche Sektkellerei była największa i najbardziej znana w Niemczech.

- Dlaczego niebawem zaczęła się zmniejszać powierzchnia plantacji?
- Coś zaczęło się psuć w klimacie. Zimy były dłuższe i bardziej mroźne, a lata krótsze. Jeszcze w XIX wieku winobranie odbywało się w połowie października. Na początku XX wieku termin ten przesunięto najpierw o dwa tygodnie, a pod koniec stulecia na połowę września. Za krótki okres wegetacji i mało słońca to jedna przyczyna. Druga to przemysłowa produkcja wina, co oznaczało, że stało się ono tanie. Wprowadzono też wina owocowe. Była i trzecia przyczyna: rozwój browarnictwa, moda na koniaki oraz wódki.

- Czy w sztuce są winne ślady?
- Niemało. O farsie Karla von Holteia już wspomniałem. W latach 60. XX wieku Andrzej Krzysztof Waśkiewicz organizował konkursy na wiersz winobraniowy. Większość poetów zielonogórskich starszego i średniego pokolenia ma takie utwory w swoim dorobku. Plastyków również zainteresował ten temat. Interesujący jest cykl dwunastu obrazów *Rok na zielonogórskiej winnicy* Doroty Komar-Zmyślony. Możesz go obejrzeć w jedynym w Polsce Muzeum Wina w Zielonej Górze. Spotkasz tam również motywy winne będące ozdobami naczyń, rzeźby, wśród nich i moje podobizny nieznanych z nazwiska autorów. A przecież do historii sztuki przeszły wystawy i sympozja Złotego Grona.

- W tym roku znowu odbędzie się Winobranie. Będziesz w nim uczestniczył, boski Bachusie, otoczony bachantkami?
- Takie święto nie może się odbyć bez mojego udziału. Tym bardziej że plantacji przybywa, a wino zielonogórskie ma coraz lepszy smak. Jeszcze nie dorównuje napojom znad Renu, ale to kwestia najbliższych lat, a Zielona Góra będzie winem stała.

- To...?
- „Kielich wina i miodu, i dalej do korowodu". Bo wino spożywane w umiarze wzmacnia słaby żołądek, reguluje ciśnienie krwi, współdziałając z kwasem żołądkowym powoduje unieszkodliwienie wielu bakterii i zarazków chorobotwórczych, pobudza do działania trzustkę, usprawnia pracę nerek. Zawiera ponad sto składników pożytecznych dla zdrowia, co poświadczam ja, Bachus.

- Dziękuję za rozmowę i zapraszam na kieliszek wina.

UNIWERSYTET ZIELONOGÓRSKI BU SHNO

Zielonogórskie lata winne

1314 – pierwsze wzmianki o istnieniu plantacji winnej latorośli na dzisiejszym os. Słowackiego
1338 – klęska szarańczy zniszczyła winnice
1431 – silne mrozy zdziesiątkowały plantacje
1453 – wymarzły krzewy winorośli
1466 – książę Henryk IX sprowadził z Austrii, Francji i Węgier nowe gatunki winnego krzewu, winnice zajmują około 1000 hektarów
1484 – zbiory winogron były tak obfite, ze zabrakło beczek na wino, za pustą beczkę dawano zawartość pełnej beczki
1513 – znowu wymarzły krzewy winorośli
1623 – bardzo obfite zbiory winogron
1639 – w podziemiach ratusza otwarto winiarnie, gdzie podawano tylko miejscowe wino
1648 – gradobicie zniszczyło plantacje winnej latorośli
1728 – mimo ostrej zimy, zbiory winogron były tak duże, ze plantatorom zabrakło beczek na wino; władze miasta zakazały rozszerzania uprawy winorośli
1740 – na skutek ostrej zimy winorośle wymarzły w 1045 ogrodach
1742 – większość winnic przejęli sukiennicy
1797 – ogłoszenie Zbioru praw i obowiązków członków cechu winoogrodników
1800 – winnice zajmowały 2800 mórg magdeburskich (715 hektarów)
1812 – winoogrodnicy wyprodukowali 33.156 wiader wina ponad 2 miliony litrów wina
1813 – producenci wina uzyskali tylko 4975 wiader tego napoju, czyli niewiele ponad 335 tysięcy litrów
1818 – budowa domku winiarskiego na Winnym Wzgórzu (część dzisiejszej Palmiarni)
1824 – powstanie wytwórni win Gremplera
1826 – utworzenie Towarzystwa dla Podniesienia Kultury Uprawy Winorośli i Owoców, początek produkcji wina na skale przemysłową
1842 – rada miejska określiła prawa i obowiązki winoogrodników
1850 – 27 października: uroczyście obchodzono 700-lecie uprawy winorośli w Zielonej Górze

1852 – rada miejska po raz pierwszy ogłosiła urzędowy dzień winobrania
1859 – ogrodnicy wysłali na eksport 320.000 kg winogron, głównie szlachetnej odmiany żółtej Chrupka złota
1881 – zielonogórzanie wyprodukowali 8000 okseftów wina (1.648.840 litrów)
1890 – plantacje winorośli zajmują 1400 hektarów
1925 – winnice zajmowały 153 hektary, wyprodukowano zaledwie 115 tys. litrów wina
1946 – 21-22 września: pierwsze w powojennej historii miasta uroczystości winobraniowe
1955 – winnice miejskie zajmowały 43 hektary
1965 – otwarto kawiarnię Palmiarnia
1960 – w Muzeum Ziemi Lubuskiej powstał dział winiarski
1999 – upadła Lubuska Wytwórnia Win
2006 – 19 maja: powstało Muzeum Wina
2006 – 30 czerwca: z połączenia Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Plantatorów Winorośli i Producentów Wina oraz Lubuskiego Stowarzyszenia Winiarskiego powstało Zielonogórskie Stowarzyszenie Winiarskie
2008 – 10 lipca: Sejm znowelizował tzw. ustawę winiarską, oznacza to, że polscy producenci wina mogę je sprzedawać

ŹRÓDŁA

Pod tekstami nie podawałem źródeł, z których czerpałem, nie chcąc czynić pracy naukową. Korzystałem obficie z publikacji polskich i czasem z zagranicznych. Niżej wymieniam tylko te najciekawsze, zakładając, że ktoś spośród Czytelników będzie miał ochotę do nich zajrzeć, aby dowiedzieć się więcej o regionie nad środkową Odrą.

Adam Horst, *Samo mamutowe bomy w Mużakowje rostu* (Same mamucie drzewa rosną w Mużakowie). „Nowy Casnik" 2007, nr 42.

Ankiewicz Henryk, *Przechadzki zielonogórskie*. Zielona Góra 1992.

Besala Jerzy, *Car na bani*. „Polityka" 2007, nr 43.

Bohatkiewicz Józef, *Oflag II C Woldenberg*. Warszawa 1971.

Bolesław Krzywousty. Władcy Polski. Red. Maciej Rosolak. Dodatek do „Rzeczypospolitej" 2007.

Bończuk Leszek, *Papusza, czyli wolność tajemna*. Gorzów Wlkp. 1996.

Borucki Marek, *Polska Piastów 1039-1200*. Multimedialna historia Polski. Dodatek do „Gazety Lubuskiej" 2007.

Brandys Marian, *Wyprawa do oflagu*. Warszawa 1955.

Chutkowski Janusz, *Dzieje Głogowa*. Legnica 1991.

Ciosk Anna, *Złote Grono – okoliczności powstania i proces zmian (1963-1983)*. „Studia Zielonogórskie" 1999, tom 5.

Dębicki Edward, *Ptak umarłych*. Warszawa 2004.

Dratwa Bolesław i Golemski Marek, *Biskup lubuski Jan Borschnitz (Próba biogramu)*. „Colloquia Lubuskie" 1989.

Fedorowicz Krzysztof, *Imiona własne*. Kraków 2000.

Frydryczak Beata i Kardasz Helena, *Muskauer Park Mużakowski.* Przestrzeń i pamięć pojednania. Zielona Góra 2007.

Gall-Anonim, *Kronika Polska.* Przeł. Roman Grodecki. Wrocław 1951.

Golemski Marek, *Co wiadomo o kancelariach i dyplomach biskupów lubuskich do połowy XIV wieku?* „Colloquia Lubuskie" 1994.

Jasiński Tadeusz, *Mieczem i krzyżem.* Zielona Góra 1967.

Jurga Robert, *Architektura militarna w rysunkach perspektywicznych.* Boryszyn 2001.

Katukow Michaił, *Pancerny grot.* Warszawa 1976.

Konflikt o Dom Katolicki w Zielonej Górze w dniu 30 maja 1960 roku w świetle dokumentów. Redakcja naukowa: Tadeusz Dzwonkowski, Stanisław Jankowiak, Filip Leśniak i Czesław Osękowski. Poznań 2007.

Korcz Władysław, *Pierwsi Piastowie na Ziemi Lubuskiej.* „Colloquia Lubuskie" 1989.

Korcz Władysław, *Procesy czarownic w Zielonej Górze w wieku XVII.* „Rocznik Lubuski" 1959, tom I.

Korcz Władysław, *Przesławne lanie.* „Kalendarz Zielonogórski" 1984.

Korcz Władysław, *Z najstarszych tradycji uprawy zielonogórskich winorośli.* „Studia Zielonogórskie" 1966, tom 2.

Kotlarek Dawid, *Zielona Góra w niemieckim piśmiennictwie do roku 1945 (w ujęciu historyczno-bibliograficznym).* „Zielonogórskie Studia Bibliotekoznawcze" 2008, zeszyt 3.

Kozłowski Zbigniew, *Legendy lubuskie.* Zielona Góra 2006.

Kraina księcia Pücklera w Łużycach Górnych. Śladami historii / Fürst-Pückler-Region um Bad Muskau. Historische Spurensuche. Pod red. Janusza Begera. Łęknica 2005.

Kronika Thietmara. Z tekstu łacińskiego przetłumaczył, wstępem poprzedził i komentarzem opatrzył Marian Zygmunt Jedlicki. Poznań 1953.

Leśniewski Sławomir, *Zniknął w mrokach średniowiecza.* „Polityka" 2007, nr 41.

Madonna z Rokitna. Oprac. Jerzy Zysnarski. Gorzów Wlkp. 1997.

Majchrzak Jerzy Piotr, *Krwawa potyczka pod Sulechowem.* „Kalendarz Zielonogórski" 1984.

Majchrzak Jerzy Piotr, *Szaleństwa wiary albo procesy czarownic w Zielonej Górze.* Zielona Góra 1999.

Majchrzak Jerzy Piotr, ... *więcej niż życie.* (Dorota Talleyrand-Périgord i jej czasy). Żagań 2004.
Miśkiewicz Benon, *Przegląd bitew stoczonych w obronie granicy Zachodniej Polski wczesnofeudalnej.* „Nadodrzańskie szkice historyczne". Zielona Góra 1960.
Mystkowski Waldemar, *Gdzie depczesz?* Zielona Góra 1999.
Olesik Jan, *Oflag II C Woldenberg.* Warszawa 1988.
Osękowski Czesław, *Konflikt o Dom Katolicki w Zielonej Górze w 1960 roku.* „Studia Zielonogórskie" 1995, tom I.
Osękowski Czesław, *Zielona Góra – Rok 1960.* Rozm. Konrad Stanglewicz. „Puls" 2007, nr 5.
Park Mużakowski i atrakcje geoturystyczne okolic Łęknicy / Muskauer Park und die geoturistischen Sehenswürdigkeiten in der Umgebung von Łęknica. Pod red. Jacka Koźmy. Łęknica 2005.
Paukszta Eugeniusz, *Czarownica z Zielonej Góry.* Warszawa 1957.
Papusza, czyli wielka tajemnica. Red. Krystyna Kamińska. Gorzów Wlkp. 1992.
Piwoński Witold, *Mikołaj Jakubica i jego Biblia.* „Kronika Ziemi Żarskiej" 1997, nr 3.
Południowe Pogranicze. Słownik historyczny. Pod red. Joachima Benyskiewicza. Zielona Góra 1983.
Przybył Maciej, *O zamku joannitów w Łagowie / Über die Johanniterburg in Łagów / The castele of the Knights Hospitallers in Łagów.* [Świebodzin] 2001.
Sauter Wiesław, *Jan Cichy 1878-1957.* Zielona Góra 1987.
Siatecki Alfred, *Znaki graniczne.* Warszawa 1988.
Siatkowska Ewa, *Czy Jakubica to Jakubica i inne zagadki.* „Zeszyty Łużyckie" 1999, nr 27.
Stanglewicz Konrad, *Spór o Dom Katolicki.* „Gazeta Nowa" 1991, nr 104 i 109.
Stendhal, *Korespondencja* (wybór). Warszawa 1963.
Strzyżewski Wojciech, *Herby biskupów lubuskich.* „Colloquia Lubuskie" 1994.
Šołta Jan, *Zarys dziejów Serbołużyczan.* Wrocław 1984.
Toczewski Andrzej, *Międzyrzecki Rejon Umocniony.* Zielona Góra 2001.
Toczewski Andrzej, *Tradycje zielonogórskiego winiarstwa.* Zielona Góra 2001.
Toczewski Andrzej, *Zielonogórskie czarownice.* „Museion" 2008, nr 22.

Tomaszewski Jerzy, *Preludium zagłady*. Wygnanie Żydów polskich z Niemiec w 1938 roku. Warszawa 1989.
Tomaszewski Jerzy, *Przystanek Zbąszyń*. „Polityka" 2008, nr 44.
Weiss Anzelm, *Diecezja lubuska i jej biskupi*. „Colloquia Lubuskie" 1989.
Wiesław Sauter. W 90. rocznicę urodzin. Rozm. Emilia Ćwilińska. Zielona Góra 1995.
Winobranie w Zielonej Górze dawniej i dziś. Pod red. Wiesława Hładkiewicza i Mieczysława Tracewskiego. Zielona Góra 1995.
Wolff Ewald, *Kuracja winogronowa*. Zielona Góra 2007 (niemieckie wydanie: Grünberg 1852).
Wydarzenia zielonogórskie w 1960 r. Pod red. Tadeusza Dzwonkowskiego. Zielona Góra 1995.
Ziemia Lubuska. Pod red. Michała Sczanieckiego i Stanisławy Zajchowskiej. Poznań 1950.
Zysnarski Jerzy, *Czarownice z Kobylej Góry*. Gorzów Wlkp. 2000.
Żeromski Stefan, *Walka z Szatanem*. Warszawa 1919.

ZAMIAST PODSUMOWANIA

1000 – 24 marca: w grodzie Ilua (Ilwa, Iława) Bolesław Chrobry powitał cesarza Niemiec Ottona III

1003 – 10 listopada: koło Międzyrzecza ponieśli męczeńską śmierć Benedykt, Jan, Izaak, Mateusz i Krystyn, zwani Pięcioma Braćmi Międzyrzeckimi

1109 – 24 sierpnia: zaczęła się obrona Głogowa przed najazdem cesarza niemieckiego Henryka V, który zażądał wydania dzieci głogowskich jako zakładników

1234 – 22 września: książę wielkopolski Władysław Odonic odstąpił Santok księciu piastowskiemu Henrykowi Brodatemu, a ten wzniósł tu potężny gród

1241 – 9 kwietnia: doszło do bitwy pod Legnicą, podczas której śmierć poniósł książę Henryk Pobożny, nastąpił rozpad księstwa głogowskiego

1249 – 20 kwietnia: książę Bolesław Rogatka oddał połowę Ziemi Lubuskiej Brandenburczykom w zamian za pomoc w walce ze swoim bratem Henrykiem

1254 – książęta wielkopolscy podarowali Brandenburgii północną część kasztelanii santockiej

1257 – lokowanie miasta Landisberch Nova, które dało początek Landsbergowi, po 1945 nazwanemu Gorzowem Wielkopolskim

1279 – 19 stycznia: powstało księstwo żagańskie

1303 – pojawił się termin Nowa Marchia, oznaczający wschodnią część Ziemi Lubuskiej

1312 – 28 lutego: pojawiła się pierwsza wzmianka o Zielonej Górze jako o mieście
1331 – Wincenty z Szamotuł w imieniu króla Władysława Łokietka zawarł z Niemcami pokój landsberski
1343 – Kazimierz Wielki przyłączył Ziemię Wschowską do Wielkopolski
1363 – 25 lutego: król Kazimierz Wielki poślubił księżniczkę żagańską Jadwigę we Wschowie
1385 – frankfurtczycy napadli na Górzycę i zniszczyli siedzibę biskupa lubuskiego
1454 – 31 marca: w Strzelcach sejm krajowy zdecydował, że Drezdenko i okoliczne miejscowości przechodzą we władanie elektorów brandenburskich
1462 – 17 maja: odbył się zjazd głogowski z udziałem króla Kazimierza Jagiellończyka i króla czeskiego Jerzego z Podiebradu
1483 – 28 grudnia: ostatni piastowski władca Głogowa Jan II zrzekł się miasta na rzecz króla czeskiego Macieja Korwina
1526 – Śląsk i południowa część środkowego Nadodrza przeszły w ręce Habsburgów austriackich
1537 – margrabia Jan rozpoczął budowę twierdzy w Kostrzynie
1548 – Mikołaj Jakubica przetłumaczył Nowy Testament na język dolnołużycki
1598 – sekularyzacja dóbr biskupstwa lubuskiego
1657 – pod Górzycą wojska Stefana Czarnieckiego przeprawiły się na drugi brzeg Odry w ramach wyprawy duńskiej
1742 – Prusy zajęły Śląsk
1758 – 25 września: zaczęła się bitwa wojsk rosyjskich z pruskimi pod Sarbinowem koło Kostrzyna
1759 – 12 sierpnia: pod Kunowicami wojska rosyjsko-austriackie rozgromiły armię pruską
1946 – 29 maja: Rada Ministrów wydała rozporządzenie o utworzeniu Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego w Gorzowie
1946 – 15 sierpnia: Matka Boża Rokitniańska została patronką diecezji
1950 – 26 czerwca: powstało województwo zielonogórskie
1975 – 1 czerwca: nastąpił podział kraju na 49 województw, powstały woj. gorzowskie i zielonogórskie

1998 – 24 lipca: Sejm uchwalił ustawę o podziale kraju na 16 województw, powstało woj. lubuskie

2001 – 28 września: pierwszy rok działalności zainaugurował Uniwersytet Zielonogórski, powstały z połączenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Politechniki Zielonogórskiej

2006 – 1 maja: Polska została członkiem Unii Europejskiej

PODZIĘKOWANIA

Bez pomocy historyków, archiwistów, księży, miłośników regionu sam zrobiłbym niewiele. Za to pięknie dziękuję Beacie Bieleckiej ze Słubic, Leszkowi Bończukowi z Gorzowa, Maciejowi Borynie ze Szprotawy, Dariuszowi Brożkowi z Międzyrzecza, Edwardowi Dębickiemu z Gorzowa, Karolowi Irmlerowi z Poznania, Eugeniuszowi Kurzawie z Wilkanowa, Andrzejowi Lisieckiemu z Międzyrzecza, Józefowi Tarniowemu z Żar, Jerzemu Zysnarskiemu z Gorzowa. Szczególnie dziękuję tym, którzy podpowiedzieli, gdzie szukać materiałów i często sami mi je dostarczyli. Dziękuję zatem Jolancie Liskowackiej ze Szczecina, Dariuszowi Chajewskiemu z Zielonej Góry, dr. Markowi Golemskiemu z Gdańska, dr. Filipowi Leśniakowi z Poznania.

Dziękuję zielonogórzanom: dr. Tadeuszowi Dzwonkowskiemu z Archiwum Państwowego, ks. dr. Robertowi Kuflowi z Archiwum Diecezjalnego, dr. Andrzejowi Toczewskiemu i Leszkowi Kani z Muzeum Ziemi Lubuskiej oraz Marii Wasik z Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej.

Dziękuję historykom z Uniwersytetu Zielonogórskiego: dr. hab. Tomaszowi Jaworskiemu, dr. Zygmuntowi Kowalczukowi, prof. Czesławowi Osękowskiemu, dr. hab. Wojciechowi Strzyżewskiemu.

Specjalne podziękowanie składam Małgorzacie Radeckiej z Muzeum Ziemi Lubuskiej, bez spostrzegawczości i pomocy której nie z wszystkim w tej książce umiałbym sobie poradzić.

Dziękuję tym wszystkim, z którymi wymieniałem uwagi na temat postaci historycznych zaprezentowanych w książce.

SPIS TREŚCI

Zamiast wstępu 5
Brat cesarza 7
Święci bracia eremici 15
Ku pamięci dzieci głogowskich 25
Zakała rodziny 35
Królewskie wesele 43
Kościół nad Viadriną 53
Biblia lubanicka 63
Polowanie na czarownice 73
Przesławne lanie 83
Pustelnia żagańska 91
Arcydzieło ludzkiego geniuszu 101
Preludium zagłady 111
Podziemne miasto 121
Osada za drutami kolczastymi 131
Polacy tuż za miedzą graniczną 141
Cierpliwie Słuchająca Pani z Rokitna 151
Wydarzenia zielonogórskie 159
Magiczne miejsce 169
Romane gila / Cygańskie pieśni 179
Nauka nie poszła w las 189
Kraina winiarska 199
Źródła 210
Zamiast podsumowania 214
Podziękowania 217